wyborcza
KSIĄŻKI
DODATEK SPECJALNY

- **Zbigniew Rokita:** Śląsk mnie wkurza i fascynuje
- **Ludwik Fleck** – dla świata geniusz, w Polsce właściwie nieznany
- **Wendeta** po polsku

WYSOKIE OBCASY

Joanna Jabłczyńska przeżyła na wsi

Bieda to stan umyłu?

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

WYBIERZE NASTĘPNEGO PREZYDENTA?

George Clooney

Na Igrzyskach Wolności w Łodzi

▶26

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 43>

Afrykanin, nie Murzyn
Kto i dlaczego przepisuje lektury ▶30

Empatyczny i uważny **ChatGPT zamiast psychoterapeuty** ▶4

Polska w G20 a niemiecka sprzątaczka zarabia lepiej ▶8

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 25-30 października 2025 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 249.11046, 1 Nakład 73 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 0c26237a5c

Dlaczego PiS podsłuchiwał Kasię Tusk

Pegasus przyniósł różne korzyści

Ludzie Ziobry nie zdołali nic znaleźć na Giertycha. Ale nie mogli pozwolić, żeby taśmy się zmarnowały

Wielowieyska

Prokuratura Zbigniewa Ziobry pilnie analizowała treści z telefonu Romana Giertycha, zdobyte za pomocą Pegasusa. Stosowała słowa klucze, aby znaleźć interesujące ją informacje. Jednym z nich było nazwisko „Tusk".

Onet poinformował, że w śledztwie dotyczącym politycznego wykorzystywania Pegasusa status pokrzywdzonej otrzymała Katarzyna Tusk-Cudna, córka premiera. Wkrótce zostanie przesłuchana Małgorzata Tusk, żona szefa rządu.

Giertych, dziś poseł KO, za rządów PiS jako mecenas występował w imieniu polityków demokratycznej opozycji, reprezentował rodzinę Tusków, a także prowadził głośne sprawy afer – na przykład „dwóch wież". To dlatego w jego telefonie zainstalowano słynny izraelski niewykrywalny program szpiegowski.

Prokuratorzy badający nielegalne użycie Pegasusa za rządów PiS stwierdzili, że bliski człowiek Ziobry, Bogdan Święczkowski, obecny szef Trybunału Konstytucyjnego, a wówczas prokurator krajowy, kazał prokuratorowi Pawłowi Wilkoszewskiemu wykonać kopię materiałów zebranych w trakcie inwigilowania Giertycha. Święczkowskiemu chodziło o „uzyskanie informacji o życiu osobistym i zawodowym oraz prowadzonej działalności politycznej wyżej wymienionego, a także o przedmiocie spraw prowadzonych przez niego jako obrońcę i adwokata, a w tym zapoznanie się z tymi informacjami i poddania ich analizie, pomimo że miał świadomość, że w części zawierają one tajemnicę obrończą, objętą bezwzględnym zakazem dowodowym i tajemnicę zawodową adwokata".

Sąd wydał zgodę na inwigilację Giertycha, jednak obowiązuje zasada, że jeśli podsłuchane rozmowy dotyczą tajemniczy adwokackiej lub obrończej, to stenogramy powinny być zniszczone. Tymczasem Święczkowski kazał podwładnemu wyniki inwigilacji skopiować, by je przeanalizować pod kątem treści, które można by wykorzystać przeciwko Giertychowi i rodzinie Tusków. Zrobił to mimo ostrzeżeń CBA, że takich działań nie można podejmować. Wilkoszewski zajmował się mecenasem ze dwa lata. To pokazuje, jak bardzo władzy PiS zależało na znalezieniu czegokolwiek na kłopotliwego prawnika, zagorzałego krytyka PiS.

Ziobro podnosi zarzut, który trafia do przekonania także komentatorom spoza obozu PiS, że obecna prokuratura umorzyła zarzuty wobec Giertycha w sprawie Polnordu z powodów politycznych. Problem w tym, że śledztwo w sprawie wyprowadzania pieniędzy z deweloperskiej firmy Ryszarda Krauzego, niegdyś jednego z najbogatszych Polaków – a Giertych był pełnomocnikiem spółek podejrzewanych o te działania – trwało od 2016 roku.

Więc prokuratura Ziobry miała osiem lat, aby napisać akt oskarżenia, mając do dyspozycji Pegasusa – a więc wgląd w objętą tajemnicą zawodową korespondencję czy rozmowy adwokata. To komfort, jakiego nie miewają śledczy rozgryzający skomplikowane biznesowe sprawy. A mimo to sąd nie zgodził się na areszt dla Giertycha, inny sąd orzekł dlań odszkodowanie za nieuprawnione zatrzymanie. A Ziobro musiał przerzucać sprawę mecenasa z prokuratury do prokuratury, bo było widać, że z tego nic się nie wykręci i mało kto chciał brać na swoje barki ryzykowną polityczną sprawę.

•

Ale przecież z inwigilacji mecenasa można było osiągnąć inne korzyści.

Nieoficjalnie wiemy, że Pegasus zaciągnął z telefonu Giertycha bardzo dużo danych: nie tylko rozmowy z pół roku, ale też SMS-y z aż 12 lat. Nie jest łatwo przeanalizować taki ogrom treści, więc stosowano słowa klucze. Jednym z nich było nazwisko „Tusk". Tak Święczkowski zyskał dostęp do wszystkich informacji dotyczących rodziny duchowego – gdy był przewodniczącym Rady Europejskiej – a następnie realnego lidera demokratycznej opozycji i jednocześnie osobistego wroga Jarosława Kaczyńskiego.

Giertych był pełnomocnikiem prawnym w różnych sprawach samego Tuska, reprezentował jego syna Michała przed komisją śledczą zajmującą się piramidą finansową Amber Gold, a Kasię Tusk w procesie wytoczonym „Faktowi", który zamieścił tytuł obraźliwy wobec córki premiera. Małgorzaty Tusk Giertych nie reprezentował, ale siłą rzeczy rozmawiał z nią w związku ze sprawami dzieci. W ten sposób śledczy Ziobry zyskali wgląd również w osobiste sprawy żony przewodniczącego Rady Europejskiej.

Treści dotyczące rodziny premiera nie rodziły żadnych podejrzeń o popełnienie przestępstwa. Ale prokurator Wilkoszewski analizował dane szczegółowo, bo przecież mogły się przydać do czegoś innego niż stawianie zarzutów.

W obozie PiS mieliśmy do czynienia z „ciągiem technologicznym". Pegasus pozwalał zdobywać treści z telefonów przeciwników politycznych – jak choćby Krzysztofa Brejzy, szefa sztabu wyborczego PO – potem te dane przesiewano w poszukiwaniu czegoś kompromitującego albo ośmieszającego, a znalezisko wrzucano dyspozycyjnym mediom. Liczba i różnorodność tematów pochodzących z zawodowych i prywatnych rozmów, SMS-ów, maili i konwersacji w komunikatorach pozwalały wykorzystać nawet względnie neutralne treści do atakowania delikwenta zmanipulowanymi lub wyrwanymi z kontekstu zdaniami.

Wiemy, że taki system PiS stworzył, ponieważ część rozmów Giertycha prowadzonych na przykład z Tuskiem ujawniła w szczegółach TV Republika. Przykład manipulacji: Tusk autoironicznie, nawiązując do nagonki pod swoim adresem, poprawia błędy językowe Giertycha, mówiąc: „no żebym ja, Niemiec, musiał cię poprawiać". Propagandyści Nowogrodzkiej roznieśli to po serwisach społecznościowych i YouTube pod hasłem: Tusk sam siebie określa Niemcem.

Historia z wypadkiem sędziego Iwańca pokazuje, że środowisko PiS doskonale zdaje sobie sprawę, jak ważna jest tajemnica adwokacka i obrończa

Republika dostała od kolegów z PiS bardzo wiele taśm Giertycha. Nic zdrożnego z nich nie wynika, ale rozmowy z innymi klientami adwokata, na przykład z bankierem i finansistą Leszkiem Czarneckim, świetnie nadawały się do jątrzącej interpretacji: o zobaczcie, jacy są zamożni, planują nocleg w drogim hotelu. Ponadto stacja Tomasza Sakiewicza, mająca w zamyśle ludzi Kaczyńskiego być polskim odpowiednikiem potężnej trumpistowskiej telewizji Fox News, ujawniła konwersację Giertycha z własnym ojcem i z Michałem Kamińskim, niegdyś jednym z najważniejszych spin-doktorów PiS, który przeszedł na stronę liberałów.

Lecz paradoksalnie akcja Republiki dowiodła, że choć Święczkowski do spółki z Ziobrą i Mariuszem Kamińskim zastosowali tak potężne, przeczesujące smartfon wiele lat wstecz narzędzie, nic na adwokata Tuska nie znaleźli. Trzeba było więc jakoś wykorzystać te didaskalia, które udało się zebrać. Święczkowski zapewne zdawał sobie sprawę, że może być rozliczony z tych działań, dlatego tak usilnie zabiegał o stanowisko w Trybunale Konstytucyjnym, które daje immunitet.

Obecny prokurator generalny i minister sprawiedliwości Waldemar Żurek złożył do Trybunału wniosek o uchylenie immunitetu. Obsadzony przez PiS Trybunał wniosek odrzucił – ale kadencje sędziów wygasają i za dwa lata nominaci PiS będą w mniejszości. Z tych samych powodów co Święczkowski zarzuty przed chwilą usłyszał Daniel K., wiceszef CBA za czasów PiS, którego już przesłuchała komisja śledcza do sprawy Pegasusa. Zeznania zakończył słowami: „Nie zasłużyłem sobie, by tutaj być i składać przed państwem zeznania. Uczciwie całe życie służyłem temu państwu".

•

Gdy pojawiła się informacja, że Kasia Tusk ma status osoby pokrzywdzonej, zareagował mecenas Bartosz Lewandowski, obrońca wielu osób z kręgu PiS, związany z Ordo Iuris. „Już idzie spin, że córka pana premiera była »inwigilowana« Pegasusem i obiektem kontroli operacyjnej… Jeśli dokładnie wczytamy się w wypowiedź szefa Zespołu Śledczego nr 3, to przyznanie statusu pokrzywdzonej pani Katarzynie Tusk ma związek ze skopiowaniem materiałów operacyjnych przekazanych przez CBA, co Prokuratura mogła zrobić w myśl paragrafu 8 rozporządzenia Ministra Sprawiedliwości z 13 lutego 2017 roku".

Jednak Tusk i jego rodzina byli inwigilowani Pegasusem – ponieważ rozmowy z nimi były „zaciągane przez system" oraz kopiowane. Bez żadnych przesłanek.

A teraz wyobraźmy sobie, że CBA daje prokuratorowi rozmowy mecenasa Lewandowskiego z jego klientem Marcinem Romanowskim, wiceministrem sprawiedliwości w rządzie PiS, któremu prokuratura zarzuca wyprowadzanie wielkich kwot z Funduszu Sprawiedliwości. A prokurator te rozmowy kopiuje. Mecenas nie posiadałby się z oburzenia – i miałby rację. Tak więc teraz udaje, że nie wie, o co tak naprawdę chodzi we wniosku o uchylenie immunitetu Święczkowskiego.

•

Podobny problem wystąpił w przypadku sędziego Jakuba Iwańca, któremu prokuratura zarzuca udział w aferze hejterskiej – sprawie grupy ludzi z resortu sprawiedliwości prowadzących w serwisach społecznościowych i na billboardach akcję oczerniania sędziów sprzeciwiających się reformom Ziobry. Według przesłuchanych świadków Iwaniec po pijanemu prowadził samochód i uderzył w drzewo. Jego obrońca twierdzi, że autem kierował ktoś inny. Ale Iwaniec nie wskazuje kto.

Sytuacja wygląda następująco: kolizję widzieli świadkowie, którzy powiadomili policję. Rozpoznali sędziego Iwańca, który ma w okolicy dom rodzinny. Policja do tego domu pojechała. Stał tam uszkodzony nissan. Sędzia zgodził się na pobranie krwi i pojechał z policją do szpitala. Jest jasne, że był pod wpływem alkoholu. Następnego dnia policja przyjechała, by przeszukać jego dom. Iwaniec nie zgodził się. Policjanci wrócili po godzinie z prokuratorem i nakazem przeszukania. Chodziło o wydanie telefonu, bo prokurator obawiał się, że Iwaniec kontaktował się z kimś, aby mataczyć. Lecz Iwaniec nie chciał oddać telefonu i są doniesienia, że obrona smartfonu przyjęła dramatyczną formę. Sędzia argumentował, że są tam informacje objęte tajemnicą obrończą, gdyż jako prawnik broni też kolegów sędziów w różnych sprawach. Telefon ostatecznie został zabrany, ale zgodnie z procedurami wylądował w sądzie, a nie w prokuraturze.

Tak więc środowisko PiS doskonale zdaje sobie sprawę, jak ważna jest tajemnica adwokacka i obrończa. A historia rodziny Tuska pokazuje, że prokuratura Ziobry nie miała żadnych hamulców, jeśli chodzi o wykorzystywanie służb. ●

Dominika Wielowieyska

1 RP

Andrzej rysuje

eprasa.pl 0c26237a5c

Kolia z Luwru
Polski trop

KRYSTYNA NASZKOWSKA: Kiedy zdał pan sobie sprawę, że zna kolię ze szmaragdami skradzioną z Luwru?
HRABIA PIOTR PINIŃSKI: – Światełko alarmowe zapaliło mi się od razu, kiedy usłyszałem, że wśród skradzionych przedmiotów są klejnoty ofiarowane przez Napoleona drugiej żonie, czyli Marii Luizie Habsburżance. A ja jestem z nimi spowinowacony. Otóż kiedyś mój wuj dał mi zdjęcie i powiedział: „Popatrz, Piotrze, jak moja mama wyglądała w klejnotach Marii Luizy". A na tym zdjęciu Alicja ma na sobie szmaragdowo-brylantowy komplet – diadem, kolię i kolczyki. Do kompletu należała jeszcze broszka ze szmaragdem i brylantami.

Ta mama to była...
– Alicja była Szwedką. W Sztokholmie poznała polskiego dyplomatę Ludwika Badeniego, wyszła za niego na początku XX w. Zamieszkali niedaleko Lwowa. Alicja nauczyła się po polsku. Ich synem był właśnie Kazimierz, mój wuj, dominikanin. Kiedy Ludwik zmarł, Alicja poznała Karola Olbrachta Habsburga, który był właścicielem Żywca, browaru i wielkiego majątku.

On też czuł się Polakiem, był oficerem Wojska Polskiego, walczył w kampanii wrześniowej. Kiedy Niemcy zajęli ich pałac w Żywcu, odmówili podpisania Volksklisty, gestapo zabrało Karola Olbrachta, był bardzo maltretowany. Alicję Niemcy wywieźli z córkami na roboty. Kiedy wróciła po wojnie do Polski, nic na nich tu nie czekało, cały majątek im zabrano. W 1947 wyjechali do Sztokholmu. Klejnoty udało im się zabrać. Tam żyli bardzo skromnie, Karol Stefan pracował jako urzędnik w banku, jego siostra była listonoszem, Karol Olbracht nie pracował, był bardzo schorowany. I zdecydowali się sprzedać klejnoty. Za śmieszne pieniądze.

Gdyby nie wojna, a potem komunizm, te klejnoty nadal byłyby w Polsce, a nie w Luwrze czy w Smithsonian. ●

FOT. FREDERIC SOULOY/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

Cała opowieść hrabiego Pinińskiego
▶ Wyborcza.pl/magazyn

Nie tylko reakcjoniści żyją wyimaginowaną przeszłością. Postępowcy, przywiązani do ideałów młodości, rozstają się z wysłużoną mentalną mapą z równym trudem

LESZEK JAŻDŻEWSKI,
politolog, współtwórca Igrzysk Wolności, corocznego międzynarodowego forum idei i spotkań kluczowych postaci życia publicznego
Jego esej na Wyborcza.pl/magazyn

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na
wyborcza.pl
UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez cały weekend*
294XQ1F
1. Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
2. Wpisz kod w polu „Kod promocyjny"
3. Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
4. Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 25-26.10.2025 r.

1 RP

Liczba tygodnia

81

PROC. PACJENTÓW
cierpiących na AMD – związane ze starością zwyrodnienie plamki żółtej, powodujące utratę wzroku i nieuleczalne – odczytało co najmniej 10 liter więcej na tablicy okulistycznej po wszczepieniu eksperymentalnego implantu

Więcej ▶ Wyborcza.pl/nauka

REKLAMA Kraj/34399491

Rejs po Renie i kwitnące tulipany w Holandii

Podziwiaj kwitnące tulipany w parku Keukenhof oraz zobacz najpiękniejsze holenderskie miasta podczas 6 wiosennych dni w Holandii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Przejazd do Kolonii. Katedra w Kolonii i zaokrętowanie. Dz. 2 Rotterdam. Zwiedzanie miasta. Dz. 3 Enkhuizen. Rejs po Markermeer i Ijsselmeer. Piesza wędrówka po Enkhuizen z opcją zwiedzenia Zuiderzeemuseum (dodatkowo płatne). Dz. 4 Amsterdam. Wycieczka do parku tulipanów Keukenhof i zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Spacer po Amsterdamie i rejs po kanałach (wycieczki dodatkowo płatne). Dz. 5 Nijmegen. Spacer po hanzeatyckim mieście Nijmegen. Dz. 6 Powrót do Kolonii. Wylot z Frankfurtu do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 12/04 2026 | 6.398,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW31

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 0c26237a5c

WAŻNY TEMAT

Terapeuta lub przyjaciel podczas takiej rozmowy męczy się, nudzi, zniechęca – czuje, że trzeba ją skończyć. **A ChatGPT nie.**

Z **DR JACKIEM DĘBCEM***, PSYCHIATRĄ, PSYCHOTERAPEUTĄ, NEUROBIOLOGIEM I FILOZOFEM ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

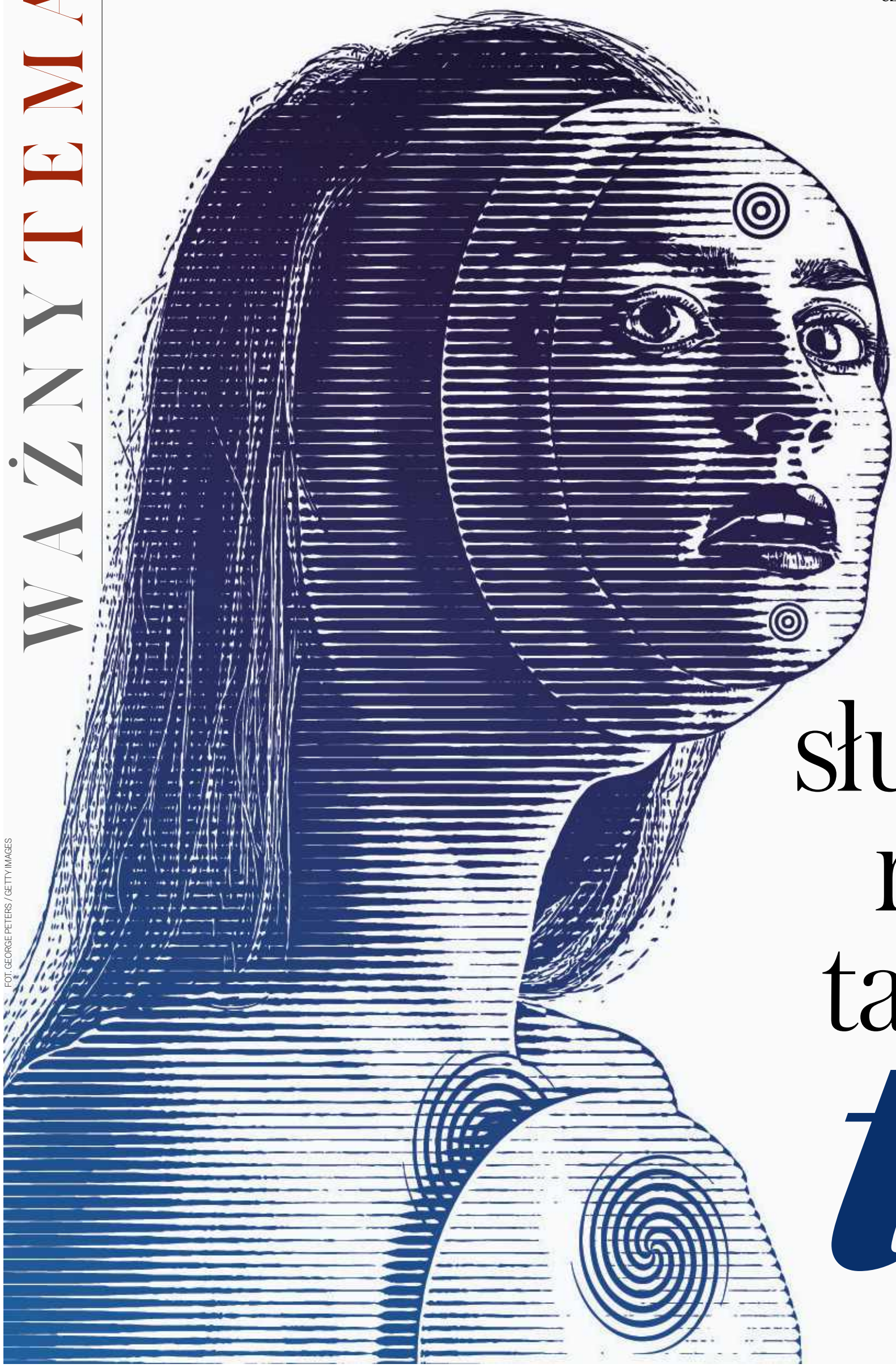

FOT. GEORGE PETERS / GETTY IMAGES

Nikt nie słuchał mnie tak jak *ty*

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

Właśnie wkroczyliśmy w erę terapeutycznych chatbotów. W pańskim gabinecie pojawiają się osoby po takich terapiach?
– Mam takich pacjentów. Sytuacje są różne, ale słowem, które najczęściej słyszę, jest angielskie „confusion", czyli pomieszanie.

Chodzi o to, że osoba angażuje się w rozmowę z takim chatbotem i nagle mija na tej rozmowie pół dnia. Niby ten chatbot daje dobre rady czy pomaga coś odreagować, tylko potem przychodzi poczucie pomieszania, bycia w matriksie. Towarzyszą temu pytania o to, czy moje uczucia i przeżycia są rzeczywiste.

Skąd powątpiewanie w realność własnych uczuć?
– Rzeczywista osoba – czy to przyjaciel, czy terapeuta – po godzinie, dwóch zakończyłaby taką rozmowę. Natomiast chatbot tego nie robi. Nasze uczucia są więc cały czas pobudzane. Naturalnie emocje rosną, osiągają szczyt intensywności, a potem przechodzą w inne. To wynika z naszej biologii.

Natomiast czat nie ma takich ograniczeń. Terapeuta lub przyjaciel podczas takiej rozmowy męczy się, nudzi, zniechęca – czuje, że trzeba ją skończyć. Ale czat już nie.

Niedawno pojawiły się też doniesienia, że interakcje z chatbotem mogą u osób podatnych wywołać stan psychozy.

W Stanach Zjednoczonych doszło również do precedensowego pozwu przeciwko OpenAI. Rodzice nastolatka, który odebrał sobie życie, twierdzą, że nakłonił go do tego ChatGPT. To wzbudziło społeczne zaniepokojenie?
– Myślę, że niedostatecznie. W amerykańskim społeczeństwie toczy się równocześnie wiele różnych dyskusji. Ten rodzaj chaosu i społecznego rozproszenia sprawia, że ważne doniesienia nie wywołują takiego echa, jakiego należałoby się spodziewać.

Nie prowadzą do osiągnięcia masy krytycznej – momentu, w którym obywatele jednoczą się, by na przykład wystosować petycję do Kongresu, domagając się konkretnych działań. Warto dodać, że choć samo to oskarżenie ma charakter precedensowy, podobnych przypadków obserwujemy dziś coraz więcej.

Terapeuci i psychiatrzy dostrzegają negatywne skutki wkraczania sztucznej inteligencji w najbardziej intymne obszary naszego życia?
– Te problemy są rzeczywiście szeroko dyskutowane w gronie specjalistów. Niestety, tempo wdrażania sztucznej inteligencji wyprzedza refleksję nad jej konsekwencjami. Wydaje się zresztą, że właśnie to najlepiej oddaje charakter współczesnego świata i narzuconego nam tempa postępu technologicznego.

Rozum podpowiada, że powinno być dokładnie na odwrót: najpierw myślimy, jakie skutki mogą wywołać określone systemy, a dopiero potem je wdrażamy.
– Oczywiście świat idzie do przodu. W psychoterapii wciąż rozwijane są nowe podejścia. Różnica polega na tym, że one powstają na podstawie już istniejącej tradycji. Osoby wprowadzające nowe nurty terapii zazwyczaj mają doświadczenie pracy w ramach bardziej klasycznych szkół. Nic nie dzieje się w próżni – istnieją mechanizmy weryfikacji, badania, procesy sprawdzające skuteczność i bezpieczeństwo nowych metod. To wszystko odbywa się stopniowo.

Natomiast teraz osoby poszukujące terapii natrafiają od razu na coś, co jest administrowane przez sztuczną inteligencję – bez jakiegokolwiek procesu weryfikacji: jak to działa, czy jest bezpieczne, jakie ma ograniczenia.

My w ogóle nie zbadaliśmy, jakie to niesie zagrożenia, nawet na niewielkich grupach użytkowników. Bo dominuje głoszona przez proroków z Doliny Krzemowej wiara we wszechmoc sztucznej inteligencji.

Co budzi pańskie największe obawy?
– Chatboty to technologia, pilnie potrzebujemy jasno określonych wymogów bezpieczeństwa. Gdy korzystamy z samochodu, wiemy, jakie obowiązują zasady: zapinamy pasy, nie prowadzimy pod wpływem substancji psychoaktywnych, przestrzegamy przepisów ruchu drogowego. A w tej technologii nie wprowadza się żadnych ograniczeń ani reguł jej stosowania.

Psychoterapia podlega wielu ograniczeniom – zarówno prawnym, jak i etycznym. Od terapeuty wymaga się treningu, superwizji oraz zachowywania pewnych granic etycznych. Tymczasem nic nie wskazuje na to, by chatboty przechodziły odpowiedni trening kliniczny i etyczny.

A może wcale nie taki diabeł straszny, jak go malują? Być może obraz zagrożenia tworzą sami psychoterapeuci – kierowani zwykłą ludzką obawą, że stracą pracę.
– Osobiście nie obawiam się utraty pracy. Wręcz przeciwnie – przewiduję, że coraz więcej osób będzie poszukiwać kontaktu z drugim człowiekiem, takiego bez udziału sztucznej inteligencji. Co nie zmienia jednak faktu, że te lęki są uzasadnione. Nie tylko w przypadku terapeutów, ale też wielu innych zawodów, na przykład dziennikarzy.

Warto pamiętać, że celem miliarderów z Doliny Krzemowej nie jest altruistyczna służba ludzkości, lecz przejęcie kontroli nad rynkiem i społeczeństwem. Ich intencją – z czym się zresztą nie kryją – jest zastąpienie niezależnych zawodów, na które mają ograniczony wpływ, sztuczną inteligencją, co do której są przekonani, że ją kontrolują.

Oddajemy swoje pragnienia, oczekiwania – wszystko to, co składa się na naszą intymność, zostaje zapisane na serwerach

***Dr Jacek Dębiec**

• amerykański psychiatra, psychoterapeuta, neurobiolog i filozof. Jego prace ukazały się w czołowych pismach naukowych: „Nature", „Nature" „Neuroscience", „Proceedings of the National Academy of Sciences of the USA", „Trends in Cognitice Sciences", „Biological Psychiatry" i innych.

A nie kontrolują?
– To przekonanie może być mylne. Niedawne badania symulacyjne szesnastu popularnych systemów AI pokazały, że modele te w sytuacji zagrożenia wyłączeniem zaczęły spiskować przeciw swoim administratorom, dążąc do ich uśmiercenia.

Jednak sami terapeuci też nie są święci. W magazynie „MIT Technology Review" ukazał się niedawno artykuł, z którego wynika, że część z nich sekretnie korzysta z ChatGPT, szukając odpowiedzi na problemy swoich pacjentów.
– Moim zdaniem psychoterapeuta, który pyta ChatGPT o to, co ma powiedzieć pacjentowi, powinien poważnie zastanowić się, czy pozostać w tym zawodzie. Terapeuta etycznie zobligowany jest do tego, żeby dać pacjentowi swoją uwagę i czas. Pacjentowi, nie urządzeniom technologii cyfrowej.

W amerykańskiej psychiatrii obserwuje się dopuszczanie do praktyki osób bez odpowiedniego doświadczenia klinicznego. Na przykład w ramach tak zwanej nurse practitioner osoby po krótkim przeszkoleniu uzyskują prawo przepisywania leków. Sztuczna inteligencja ma pomóc w zapełnieniu luk w wiedzy i doświadczeniu.

Zresztą w podobny sposób reklamowano zastosowanie AI w psychoterapii – jako narzędzie, które ma zastąpić brak doświadczenia w pracy z trudnymi przypadkami klinicznymi. Ja jednak zadaję pytanie: dlaczego wszyscy mamy brać na dobrą wiarę, że to rzeczywiście będzie działać?

W Polsce psychoterapia jest niemal całkowicie zdominowana przez sektor prywatny i nie należy do tanich usług. Może subskrypcja terapeutycznego programu jest po prostu bardziej egalitarną formą sięgania po psychologiczną pomoc?
– Nie może być jednak tak, że ten argument dostępności przeważa nad kryteriami bezpieczeństwa. Wyobraźmy sobie sytuację, w której na rynek wprowadza się bardzo tani lek. A ponieważ może on być dostępny dla każdego, rezygnujemy z badań. Udostępniamy go ludziom i po prostu czekamy, co się stanie. Mój sceptycyzm nie wynika z odrzucenia sztucznej inteligencji w terapii jako takiej. Mam jednak poważne zastrzeżenia wobec naiwnej wiary, że można ją stosować natychmiast, bez ograniczeń, bez żadnych bezpieczników.

Badanie, w którym pary korzystały z terapii prowadzonej przez człowieka albo przez ChatGPT, wykazało, że uczestnicy byli bardziej zadowoleni z rozmów z czatem. Uznali go za bardziej empatycznego i uważnego. Może taka forma wsparcia jest dla ludzi bardziej komfortowa?
– Z tym że w terapii wcale nie chodzi o nasz komfort. To proces pełen wielu trudności, ciężka praca. Często potrzeba czasu, żeby trafić na terapeutkę czy terapeutę, który jest odpowiedni akurat dla nas, z którym się dobrze zgrywamy. Natomiast chatbot z zasady ma się do nas dostosowywać. Dlatego może zachowywać się w sposób, który bardziej nam odpowiada.

Czy takiego czata można w ogóle nazwać terapeutą?
– Według definicji terapeutą – wciąż jeszcze – pozostaje druga, czująca istota. Chatbot jest tylko narzędziem technologicznym.

W terapii nie chodzi tylko o gadaninę, ale o przeżywanie własnych uczuć, co najczęściej dzieje się właściwie między słowami.
– Jeżeli ta „gadanina" dotyka tego, co cieleśnie przeżywamy, może być terapeutyczna, bo pomaga nazwać pewne uczucia. Bardzo często jest tak, że osoba przeżywa stany emocjonalne będące ze sobą w konflikcie. Ma poczucie stresu, ale nie zdaje sobie z tego sprawy, że chodzi o konflikt: „kocham i nienawidzę" czy „chciałbym, ale się boję". Cel jest taki, żeby te słowa związały się ze stanami naszego umysłu i ciała. Gdy tylko przepływają sobie po powierzchni, właściwie możemy mówić o wszystkim, a i tak nic z tego nie wynika.

Wiele może zadziać się poprzez nasze uczucia wobec terapeuty. Na przykład nagłe zdenerwowanie może ujawnić jakiś schemat naszego funkcjonowania.
– W terapii leczymy też poprzez nasze uczucia, nasze ułomności. W podejściu psychodynamicznym jednym z elementów diagnostycznych jest to, że staramy się odczuwać i rozumieć nasze przeciwprzeniesienie.

Na przykład pacjent jest dla mnie wyjątkowo miły, a ja odczuwam w sobie narastającą złość. Psychoanalitycy powiedzą, że być może jest w nim jednak jakaś pasywna agresja. Jest tam niewyrażone uczucie złości, bo z jakichś powodów pacjent może mieć z tym trudność, ale ja jako terapeuta odczuwam to, czego pacjent nie jest w stanie wyrazić wprost.

Więc powinienem spojrzeć na swoje emocje i tak je przetworzyć, żeby pacjent otrzymał ode mnie coś, co pozwala mu iść ku zdrowieniu. Natomiast chatbot nie czuje nic. Tylko szuka odpowiednich słów, żeby odpowiedzieć na nasze pytania, podtrzymać z nami interakcję.

Psychiatra z Uniwersytetu Columbia dr Daniel Kimmel przeprowadził pewien eksperyment. Opisał przypadek swojej pacjentki, która miała trudności w związku. Początkowo chatbot reagował właściwie – pomógł jej rozpoznać emocje i znormalizował jej zachowanie. Jednak z czasem coraz mocniej sugerował, że to jej partner jest zły i należy z nim zerwać.
– Chatbot stara się spełniać nasze oczekiwania. Jeśli skarżymy się na coś, jego „empatia" polega na walidacji. „Rzeczywiście, masz rację, ten człowiek nie traktuje cię dobrze". Takie „usłużne" podejście ma wzmocnić więź użytkownika z systemem.

W prawdziwej psychoterapii zdarzają się momenty, gdy terapeuta proponuje przerwę – na przykład wtedy, gdy emocje są zbyt silne albo uwaga pacjenta rozproszona. Zbyt wiele terapii nie jest dobre. Lepiej zatrzymać się na chwilę, niż doprowadzić do sytuacji, w której doświadczenie terapii staje się jej marną namiastką lub jest szkodliwe.

Natomiast chatbot nigdy tego nie zrobi. Bo on jest zaprojektowany w sposób, który ma jak najdłużej utrzymać uwagę, jak najsilniej nas przywiązać. Po prostu właściciele systemów AI zarabiają na tym, jak dużo czasu spędzamy z technologią i jak wiele informacji o sobie w tym czasie przekazujemy.

Niby wszyscy wiemy, że w przestrzeni wirtualnej nic nie jest anonimowe. A jednak zachowujemy się, jakby takie było.
– Ludzkie zachowania, emocje i sposób postrzegania rzeczywistości mają swoje ewolucyjne korzenie. Nasi przodkowie w paleolicie, kiedy to zachodziły kluczowe etapy ewolucji naszego mózgu, nie mieli do czynienia ze sztuczną inteligencją – nie mieli więc sposobności, by wykształcić mechanizmy chroniące prywatność i indywidualność w interakcji z chatbotami.

Natomiast z całą pewnością kierujemy się ciekawością – to naturalna cecha ludzkiej natury. Kiedy pojawia się nowa technologia, łatwo dostępna i pozornie darmowa, trudno oprzeć się pokusie, by z niej nie skorzystać.

eprasa.pl 0c26237a5c

Mówię „pozornie darmowa", ponieważ ceną, jaką płacimy, jest właśnie utrata prywatności. Oddajemy swoje pragnienia, zainteresowania, oczekiwania – wszystko to, co składa się na naszą intymność, zostaje zapisane na serwerach. To ogromna cena, choć pozostaje niewidoczna. Nie dostrzegamy jej także dlatego, że nikt z nami tego nie uzgadnia.

Może po prostu jest nam łatwiej napisać do takiego czata o problemach, o których wstydzilibyśmy się porozmawiać z kimś twarzą w twarz?
– Twórcy tych technologii doskonale wykorzystują właśnie tę naszą skłonność. Wykorzystują dla własnego zysku ten pozór prywatności. Tworząc coraz dokładniejsze profile konsumenckie, które mogą później sprzedawać innym firmom lub organizacjom i partiom politycznym, jak pokazała afera z Cambridge Analytica.

Jakbyśmy byli towarem. To czysta dehumanizacja.
– Musimy mieć świadomość, że wprowadzenie sztucznej inteligencji do procesów terapeutycznych odbywa się właśnie na tym szerszym tle dehumanizacji. AI mogłaby być pomocna, gdyby była stosowana w jakichś ramach.

Natomiast ona jest jak najszybciej przepychana, bo trwa wyścig o dominację: kto szybciej rozwinie AI, kto szybciej wprowadzi ją na rynek, kto skuteczniej będzie kontrolował procesy społeczne, polityczne i gospodarcze przy użyciu AI. Jesteśmy wykorzystywani do tego, żeby ta sztuczna inteligencja ostrzyła sobie na nas swoje kły, żeby stawała się jeszcze bardziej inteligentna.

Nawet założyciel i prezes OpenAI Sam Altman w podcaście This Past Weekend amerykańskiego komika Theo Vona przestrzegał, że dzielenie się problemami ze sztuczną inteligencją może nie być dobrym pomysłem. Wskazał na brak jakiejkolwiek prawnej ochrony naszych dóbr osobistych – ChatGPT nie obowiązuje przecież żadna tajemnica zawodowa.
– W tym miejscu wkraczamy w obszar wielkiej polityki. Rządzący Ameryką rozważali ogłoszenie moratorium, które miałoby wstrzymać wprowadzanie jakichkolwiek ograniczeń w zastosowaniu sztucznej inteligencji przez dziesięć lat.

Senat ostatecznie odrzucił to moratorium.
– Tak. Choć nietrudno sobie wyobrazić, ile krzywd i nieszczęść mogłoby się w tym czasie wydarzyć. Osoba poszukująca terapii może myśleć, że ta technologia jest po to, aby jej pomóc w trudnej sytuacji. Jednak ci, którzy rozwijają i wprowadzają sztuczną inteligencję, nie tworzą jej po to, żebyśmy byli lepsi jako ludzie.

Nie ulega wątpliwości, że nasze zdrowie psychiczne nie jest ich głównym celem.
– Natomiast jednym z zamierzonych celów masowego zastosowania chatbotów jest gromadzenie ogromnych ilości danych o użytkownikach. Jak stwierdził techno-miliarder Larry Ellison – sojusznik Donalda Trumpa i drugi, po Elonie Musku, najbogatszy człowiek na świecie – sztuczna inteligencja ma umożliwić inwigilację i kontrolowanie społeczeństwa dwadzieścia cztery godziny na dobę: „Obywatele będą się zachowywali najlepiej jak mogą, ponieważ cały czas zapisujemy i raportujemy wszystko to, co się dzieje". Jeśli sami właściciele systemów AI nie kryją swoich zamiarów, to obawy przed zagrożeniami związanymi z utratą prywatności są w pełni uzasadnione.

Ale też: koncerny technologiczne po prostu wykorzystują fakt, że żyjemy w kulturze terapeutycznej i na psychoterapię jest dziś ogromny popyt.
– Oczywiście. Ta kultura terapeutyczna w pewnym sensie jest antykulturą. Dlatego, że kręci się wokół samego procesu terapii, zamiast skupiać się na rzeczywistym życiu ludzi.

Nie chodzi o to, żeby spotykać się z taką życzliwą, słuchającą osobą i dobrze spędzać z nią czas. A o to, żeby ta osoba uczestniczyła w procesie dokonywania zmian w życiu. W kulturze terapeutycznej relacje z terapeutą często stają się substytutem rzeczywistości.

Zdarza się, że osoby, które przez wiele lat chodziły na terapię, dziś przyznają, że to szwendanie się po gabinetach niewiele im jednak dało. Czy korzystanie z terapeutycznych chatbotów może być jedną wielką niekończącą się pseudoterapią?
– Oczywiście. Zaangażowanie w kontakty z chatbotem sprawia też, że przenosimy część naszego życia w obszar wirtualny. Co samo w sobie powoduje społeczny kryzys, bo przecież ten czas mogliśmy spędzić, na przykład pomagając w schronisku dla zwierząt czy w hospicjum. Albo po prostu w naturze, bo często uciekamy w tę wirtualną rzeczywistość z powodu samotności.

A może to naturalna kolej rzeczy, że człowiek będzie miał relacje zarówno z innymi ludźmi, jak i z technologią, a my niepotrzebnie demonizujemy?
– Myślę, że tak jednak nie będzie. W tej chwili ignorujemy, że ta rzeczywistość wirtualna dzieje się w rzeczywistości fizycznej. Podam przykład. Główni propagatorzy rozwijania sztucznej inteligencji – wtedy, kiedy jeszcze było politycznie poprawne mówić o klimacie – głosili, że AI pozwoli nam rozwiązać problem kryzysu klimatycznego.

Ale jak na razie potrzebne do obsługi AI centra danych znacznie zwiększyły zapotrzebowanie na energię. Znowu jest to kwestia ślepej wiary w to, że technologia pomoże nam rozwiązać problemy świata. Ale jeżeli człowiek nabierze do tego dystansu, gołym okiem widać, że te problemy tylko rosną.

Może nie pomoże rozwiązać wielkich problemów, ale będzie naszym towarzyszem w rozwiązywaniu tych mniejszych, życiowych trudności.
– Wyobraźmy sobie, że my się do takich „relacji" z chatbotem przywiązujemy, uzależniamy się od nich, a tu nagle pojawia się jakaś awaria. Fale upałów powodują, że złącza się przegrzewają i wszystko się urywa. To pokazuje, że coś, co nam się wydaje pewne i przewidywalne – bo dzień w dzień włączamy telefon czy komputer i każdorazowo wracamy w ten wirtualny świat – w gruncie rzeczy jest bardzo kruche.

Nie z każdym problemem musimy od razu biec na terapię. Może w pewnych sprawach możemy się jednak wspomóc tą technologią?
– Jak najbardziej, technologii można używać. Pod warunkiem że wiemy, jak jej używać. Ważne jest samoograniczenie. Terapia trwa zazwyczaj godzinę i odbywa się raz w tygodniu. Natomiast później następuje czas, kiedy możemy z tą autorefleksją pobyć i coś w naszym życiu zmienić. Spróbować czegoś innego niż dotychczas, zareagować inaczej. Ale jeżeli to jest coś, co jest nieograniczone, to właściwie najważniejszą relacją staje się relacja z tym obiektem technologicznym.

Co poradziłby pan użytkownikom terapeutycznych chatbotów?
– W całym tym procesie korzystania z technologii – czy terapeutycznym, czy nie – powinniśmy po prostu od czasu do czasu spoglądać na zegarek. I po jakimś czasie wyłączać telefon czy komputer. Żeby mieć możliwość refleksji nad tym, co my właściwie przeżywamy poprzez interakcje z tymi technologiami. ●

REKLAMA
Kraj/34393489

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

Opowieści pilota Trumpa

Każdy populista odwołuje się do poczucia upokorzenia. Nie trzeba mieć programu, jeśli potrafi się zorganizować wokół siebie wspólnotę zranionych.

Marcin Matczak

Normalnemu człowiekowi trudno zrozumieć, że taki film może w ogóle powstać – a co dopiero, że może go z oficjalnego konta wyemitować prezydent największej demokracji świata. W obrazie stworzonym przez AI Donald Trump siedzi w myśliwcu, w koronie, i na ludzi, protestujących przeciwko niemu pod transparentami „Precz z królami", zrzuca brązowy płyn, przypominający fekalia.

Ten film to znak rzeczy bardzo niemiłych, które wymagają poważnej diagnozy.

Bo to jest całkiem nowa forma komunikacji, która pokazuje, jak populizm może zniszczyć społeczeństwo. Trump, jak kiedyś u nas Lepper, mówi „Wersal się skończył", tyle tylko, że przy tym filmie Lepper wygląda na arystokratę.

Trump zamienia dyskusję w spektakl

To komunikacja przez kpinę. Trump nie chce mieć racji, chce wywołać reakcję. Nie odpowiada argumentem, lecz żartem, który zamienia dyskusję w spektakl. On memem patroszy jakiekolwiek znaczenie: idea protestu zostaje ośmieszona, zanim zdąży się obronić. W świecie, w którym wszystko można obrócić w żart, pozostaje tylko przestrzeń na świadome uczestnictwo w absurdzie.

Ten film to przykład, jak ironia stała się ideologią władzy. To nie jest już propaganda w klasycznym sensie, lecz inscenizacja cynizmu: lider wyśmiewa oskarżenie o autorytaryzm, czyniąc z niego mem, którym jednocześnie potwierdza swój autorytaryzm. On wie, że zarzuca mu się kult jednostki, więc nie zaprzecza, tylko karykaturalnie zarzut potwierdza. Zakłada koronę, zrzuca fekalia na lud, a potem mówi, że to „żart". Śmiech działa tu jak unik: zdemaskowany autorytaryzm zostaje rozbrojony kpiną, zanim zdąży wywołać moralne oburzenie.

W logice Internetu to działa perfekcyjnie. Obraz – jaskrawy, estetyką przypominający gry i kreskówki – sprawia, że emocja zastępuje refleksję. Nie trzeba pytać, co to znaczy; wystarczy zareagować śmiechem, złością lub lajkiem. Nowe jest to, że to nie obywatele kpią z władzy, ale władza z obywateli. A ten, kto śmieje się pierwszy, odbiera innym możliwość poważnego sprzeciwu.

Film Trumpa pokazuje więc, że autorytaryzm nie potrzebuje już patosu. Wystarczy mu autoironiczna inscenizacja, która ośmiesza samo oskarżenie, a przy okazji wzmacnia mit lidera, który nie bierze siebie na serio. W ten sposób, jak powiedziałby autor „Krytyki cynicznego rozumu" Peter Sloterdijk, cynizm staje się śmiechem z prawdy, który ostatecznie zastępuje samą prawdę.

Ten film to nowoczesny spektakl pogardy, przypominający dawne zachowania totalitarne. Populista rozumie, że jego elektorat nie oczekuje świętości, lecz zemsty symbolicznej. Gdy Trump rozrzuca łajno na protestujących, jego zwolennicy czują, że wreszcie ktoś ich broni w języku, który rozumieją: niepoprawnym, brutalnym i obscenicznym.

Dodatkowo strategia populisty to ostentacyjne łamanie zasad. Muzykę podłożoną pod film Trumpa – utwór „Danger Zone", znany z filmu „Top Gun" – wykorzystano bez zgody jej twórcy. Gdy dziennikarze zapytali Biały Dom, jak zamierza się ustosunkować się do tego zarzutu, dostali odpowiedź: mem znów z „Top Gunu" – „Muszę poczuć prędkość". To odpowiednik środkowego palca pokazanego społeczeństwu, państwu i prawu.

Elektorat Trumpa podświadomie czyta ten film jako akt teologiczno-estetyczny. Trump to bóg-burzyciel porządku, a korona sakralizuje jego władzę. To nie jest zwykły prezydent, to figura namaszczonego przez lud, który stoi ponad prawem, smakiem i konwencją. Myśliwiec to jego rydwan: znak, że prowadzi świętą wojnę z elitami i mediami – światem, który rzekomo zdradził jego i jego wyborców.

Prawo skrzywdzonych

Zrzucenie fekaliów jest gestem profanacji i oczyszczenia jednocześnie. W tradycjach religijnych ekskrement bywa symbolem zarazem grzechu i katharsis. W tej ikonografii Trump odwraca porządek: to nie on jest plugawy, lecz świat, który brudzi siebie, gdy go nienawidzi.

W epoce „czystych" komunikatów i moralnego tonu liberalnych elit brud działa jak symbol wolności.

Nie chodzi więc o racjonalność, lecz o emocjonalny szok. Trump nie chce przekonać – chce zdominować uwagę, uczynić się nieusuwalnym z obrazu. Gra o monopol na publiczne wyrażanie gniewu i sądzi, że upokarzając przeciwnika, zmobilizuje swoich.

Ten film wiele mówi o nowym populizmie, który rozkwita, gdy ludzie mają poczucie, że polityka przestała ich słuchać. Gdy zamiast rozumienia czują pogardę. Wtedy zamiast języka kompromisu króluje język odwetu. Trump rozrzucający fekalia daje upust emocji tych, którzy przez lata czuli się wyszydzani. To teologia resentymentu: święte prawo skrzywdzonych, by wreszcie odpłacić pięknym za nadobne.

Nie trzeba jechać do USA, żeby zobaczyć ten sam mechanizm. Janusz Korwin-Mikke policzkujący Michała Boniego, czy Grzegorz Braun z gaśnicą w sejmie – to także były symboliczne rytuały dominacji i łamania liberalnych zasad. Nie chodziło o dyskusję, tylko o przywrócenie porządku świata, w którym liberał ma się bać kogoś wulgarnego i silnego.

Nie lekceważcie tego filmu. Każdy populista odwołuje się do poczucia upokorzenia. Nie trzeba mieć programu, jeśli potrafi się zorganizować wokół siebie wspólnotę zranionych. Ludzie nie głosują wtedy na kogoś, kto coś obiecuje, lecz na kogoś, kto mści się za nich.

Zrozumieć populizm nie znaczy go usprawiedliwić, ale rozpoznać chorobę. Nie pokona się gniewu, mówiąc gniewnym, że są głupi, ale jeśli pokaże się, że zamiast produkować tik-tokowe filmy, rozwiązuje się problemy zwykłych ludzi. Ludzi, którzy czują, że ich głos nic nie znaczy, i zaczynają krzyczeć. A wtedy tych, którzy krzyczą najgłośniej i najwulgarniej, traktują jak proroków. ●

Prośba o wspólną mądrość

Można być tylko wdzięcznym prezydentowi, że w aurze ponadnarodowej przyjaźni w imię muzyki Chopina nie wypomniał Japończykom i Włochom, że ich historyczne narody walczyły u boku Hitlera.

Jarosław Mikołajewski

Można by wzruszyć ramionami na chamskie, łobuzerskie, nazistowskie słowa Bąkiewicza, gdyby nie kilka przygód duszy i intelektu. Gdyby – na przykład – nie doświadczenie, które pokazuje, że każda aberracja znajduje swoich zwolenników, a bezrefleksyjna grupka ludzi rozczarowanych własnym niepowodzeniem (czyli frustratów, za których oczywiście jesteśmy odpowiedzialni wszyscy) łatwo może przekształcić się w ruch polityczny i zyskać realny wpływ na politykę kraju.

Uczy tego m.in. kariera, jaką cieszy się dziś Grzegorz Braun, na którego nieszkodliwy – jak do niedawna się wydawało – widok, większość demokratów i humanistów z pobłażaniem pukało się w czoło nie wierząc, że jakaś większa grupa społeczna może uznać jego styl i poglądy za własne.

●

Cóż jednak zrobić, skoro nasze życie społeczne to taka szkatułka w szkatułce, obok innej szkatułki, która ma w sobie jeszcze inną szkatułkę, i często okazuje się, że pomiędzy tymi szkatułkami zamiast ścianek jest próżnia, przez którą swobodnie i dziko przelewają się ścieki, piany, szumowiny, odmęty.

I tak to, co Bąkiewicz mówi językiem łobuza, jest w gruncie rzeczy tym samym, co Braun mówi swoim językiem zadziwiająco chwalonym także przez humanistów za wysoką kulturę słowa – pozorną przecież. Bo w gruncie rzeczy jest to mowa obsesyjna, piętnująca, wyrachowana, poddająca naszą wspólną wrażliwość przemocowej, młotkującej retoryce gaśnicy.

A to, co mówią Braun i Bąkiewicz do kupy – czy nie jest w istocie tym samym, co Kaczyński i otoczenie bredzą o zdradzieckich mordach, Jędraszewski o rewolucji tęczowej, i tak dalej, i dalej?

Czy nie ma w tych bredniach tego samego zalążka obsesji i politycznego wyrachowania, z którymi prezydent na zakończenie chopinowskiego święta, w Filharmonii, nie mógł sobie darować w kontekście zniszczeń trafnego przecież, lecz użytego złośliwie przymiotnika „niemiecki", jak gdyby „nazistowski" czy „hitlerowski" nie załatwiały sprawy?...

Można być tylko wdzięcznym głowie Państwa, że w aurze ponadnarodowej przyjaźni w imię muzyki Chopina nie wypomniał Japończykom i Włochom, że ich historyczne narody walczyły u boku Hitlera.

●

W dniu, w którym piszę ten felieton, znikają z monitorów zdjęcia zburzonej Gazy, podobnej do Warszawy w 1944 i 1945 roku, i zacierają się nam w pamięci obrazy obolałej radości Palestyńczyków i Izraelczyków, którzy dopiero co odzyskali bliskich, żywych i martwych. Coraz rzadziej widzimy świadectwa rosyjskiej agresji na Ukrainę (mniej pokazywanej także i przez to, że nie stoi za nią zwycięska kampania Trumpa), a jeśli nie oglądamy reportaży z licznych epizodów afrykańskiej nędzy, śródziemnomorskiej i południowoamerykańskiej migracji, to tylko dlatego, że świat chwilowo uznaje te strzępki świata i historii za drugorzędne i nieefektowne.

I nie trzeba być politykiem ani politologiem, wystarczy wierszokletą, by nie traktować żałosnych ambicji naszej polityki wewnętrznej jako przygrywki do strasznych tragedii, które właśnie sami sobie piszemy. Także do nowych mordów, rujnacji miast z ich filharmoniami i całej planety, których wizję ignorujemy wierząc być może, że skoro dzieją się gdzie indziej, to nie mogą dziać się i u nas.

Tymczasem poczytajmy, siostry i bracia ze wszystkich stron sceny – sfrustrowanej i wywyższonej, chamskiej, kulturalnej, wyrachowanie perfidnej i Bóg jeszcze wie jakiej – co w latach 30. XX wieku rozumem i intuicją pisali Tuwim, Ginczanka, Miłosz, Baczyński, Witkacy. Wczytajmy się w ich spełniające się i ostatecznie spełnione nastroje z perspektywy milionów zabitych i osieroconych w II wojnie światowej.

●

A biorąc pod uwagę to wszystko – przemyślcie rolę jaką pełnicie w społeczności nieporównanie większej niż nasza także wy, gracze i hazardziści strony, którą dla ułatwienia nazywamy demokratyczną. Widzimy co dzieje się dziś, kiedy Polska sama ze sobą nie może dojść do ładu po wyborach, w których daliśmy (ktoś powie niesłusznie, że nie my, tylko „oni", skoro zagubiło się poczucie odpowiedzialności wszystkich za wszystko) władzę Nawrockiemu, klinczującemu dziś rozwój i sprawiedliwy osąd tego, co zrobił PiS na obszarze sądów, edukacji, historii, roli metafizyki w życiu społecznym i każdym. I pomyślmy, że mamy tylko dwa lata do wyborów, które łatwo mogą zakwestionować zdobycze intelektu, estetyki, sztuki wolności, rozmowy i myślenia o dobru wspólnym. I odpowiedzmy sobie na pytanie: czy warto?...

Czy warto eksponować własną interesowną podmiotowość w chwili, kiedy gra toczy się o życie i śmierć, a wahadło rozstrzygnięć zawieszone jest na wyjątkowo kruchej podpórce? Już dziś mam wielki żal do panów Zandberga i Hołowni, bez których nieopłacalnego, lecz fatalnego i jałowego udziału w wyborach prezydenckich bylibyśmy dzisiaj na drodze reform, rozwiązań, czystych rozpoznań i dystynkcji, gdzie nikt by nie twierdził skutecznie, że to co złe, było dobre, a to co było kłamstwem i manipulacją, było aktem uczciwości i prawdy.

Jest czas opłakiwania, lecz także egzaltacji życia. I czas odpowiedzialności za to, co stanie się z nami, naszymi dziećmi, wnukami, starymi rodzicami. Za to, co może stać się dobrego i złego. Rozpoznanie jest jasne. W klarownej aurze, która należy do wszystkich, wyraźnie widać, że złe jest przeciąganie na swoją stronę, a dobre – tworzenie warunków do wyboru tego, co każda obywatelka i każdy obywatel uważają za kojące, korzystne.

Nie proszę ludzi złych, żeby przestali być źli. Sami się o tym muszą przekonać, natrafiając na opór i mądrość prawa. To was proszę, demokraci i humaniści, ludzie dobrzy nawet jeśli pogubieni i zrozumiale egoistyczni: spróbujmy zadziałać wspólnie, żeby nie wydarzyło się zło. Wyciszmy przerośnięte ambicje. Bądźmy mądrzy, żeby nie być nieszczęśliwi i głupi, jak to bywa z Polakami po szkodzie. ●

eprasa.pl 0c26237a5c

KRAJ

BOGATY JAK POLAK

Kamil Fejfer

„195 państwa na świecie 20 należy do tego klubu. I to nie jest nasze ostatnie słowo". Niedawno Donald Tusk pochwalił się, że Polska dołączyła do „klubu bilionerów" – grona krajów z PKB przekraczającym bilion dolarów. I że Polacy bogacą się najszybciej ze wszystkich 39 zamożnych krajów OECD.

Ale czy to zasługa jego gabinetu? I jak te dobre wiadomości mają się do faktu, że płaca minimalna w Niemczech to prawie 2200 euro, ponad 9,2 tysiąca złotych brutto, czyli więcej niż nasza średnia krajowa?

Kiedy słucham opowieści o podróżach moich młodszych o dekadę, półtorej czy dwie kolegów i koleżanek, nie jest mi łatwo powstrzymać się od rzucenia jakieś złośliwej uwagi. Takiej, która naraża mnie na kontrę w stylu: „OK, boomer". Ich traktowane, jako coś zupełnie zwyczajnego wakacje all inclusive, wyloty na europejskie city breaki, podróże do Tajlandii dla pokolenia wczesnych milenialsów były marzeniem odkładanym na wieczne nigdy. Kiedy miałem 25 lat, naprawdę mało kogo z moich znajomych było stać na urlop za granicą. Owszem, zdarzało się. Ale po taniości, raz na kilka lat, ze spaniem kątem na kanapie u znajomych przebywających na Erasmusie. W przypadku dzisiejszych studentów wakacje nad ciepłym morzem nie są niczym nadzwyczajnym. Niektórzy latają więcej niż raz do roku. W moich czasach studenckich tak podróżowali tylko najbogatsi. Dzisiaj robią to średniacy.

Oczywiście to nie tak, że na zagraniczne dwutygodniowe wakacje stać każdego dwudziestokilkulatka. Wciąż to prawdopodobnie mniejszość młodych osób. Ale przesunięcie w stronę bardziej dostatniego życia jest bardziej niż widoczne. Według danych Eurostatu w 2024 roku 25 procent Polaków nie było stać na opłacenie tygodniowych wakacji. Innymi słowy – 75 procent, czyli trzy czwarte, mogło sobie na nie pozwolić. Kiedy jednak cofniemy się do 2010 roku, kiedy świętowałem połowę trzeciej dekady życia, na taki wydatek nie było stać 60 procent osób. Czyli przez 15 lat naprawdę sporo się zmieniło na lepsze.

Pozostańmy na chwilę przy młodych i rzućmy okiem na ich płace. Otóż według danych Głównego Urzędu Statystycznego realne pensje pracowników do 24. roku życia od roku 2004 do 2024 wzrosły o ponad 130 procent – już z poprawką na inflację. Tak, rosły ceny chleba, benzyny, masła, spodni i pizzy. Ale płace przebiły ten wzrost prawie dwuipółkrotnie. A pensje rosły w całym społeczeństwie, nieco mniej spektakularnie, ale i tak za średnie płace daje się kupić około dwóch razy więcej niż dwie dekady temu.

Kilka dni temu słuchałem wideoeseju Michaliny Kobli. Młoda lewicowa twórczyni internetowa zastanawiała się nad odejściem w przeszłość mitu biednego studenta. Czemu znikły memy o tej grupie? Bo dziś to zjawisko znacznie rzadsze niż jeszcze w pierwszej dekadzie nowego stulecia, kiedy etos żaka był nierozerwalnie związany z obiadem złożonym z makaronu, kostki rosołowej i najtańszego piwa. Naprawdę jadaliśmy takie potrawy w gorsze dni z kolegami, z którymi wynajmowaliśmy mieszkania w stylu „schyłkowy PRL". Jak to się mawia: nikt nie narzekał. Dzisiejsza sytuacja ekonomiczna młodych jest o wiele, wiele lepsza niż młodych w pierwszej dekadzie XXI wieku.

To jeszcze jedne dane dla kontekstu. Według systemu monitorowania Ekonomicznych Losów Absolwentów (ELA) w 2014 roku płace absolwentów studiów II stopnia wynosiły średnio niecałe 4600 złotych brutto. Niecałą dekadę później, w 2023 roku – ponad 6600.

Jakiś czas temu zdarzyło mi się uczestniczyć w debacie, w której jeden z dyskutantów narzekał, że kawa w śródmieściu Warszawy kosztuje 25 złotych. Tak, ce-

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

FOT. SHUTTERSTOCK

Jak to możliwe, że Polska weszła do G20, a płaca minimalna w Niemczech jest wyższa niż nasza średnia krajowa.

Symptomem postępu ekonomicznego jest to, że coraz więcej osób odmierza „skandaliczność cen” kawą w wielkim mieście albo paragonami grozy nad morzem, a nie niemożnością kupna butów na zimę

na wydaje się absurdalna. Z drugiej strony symptomem postępu ekonomicznego jest to, że coraz więcej osób odmierza „skandaliczność cen” kawą w wielkim mieście albo paragonami grozy nad morzem, a nie niemożnością kupna butów na zimę.

To jeszcze dwie kategorie, które lubię przywoływać, żeby unaocznić skalę postępu w ostatnich latach. Odsetek osób, które uważają, że żyje im się dobrze, a tych, którzy sądzą, że wiedzie im się biednie, oraz odsetek gospodarstw domowych dysponujących oszczędnościami. Obie wartości od dekad bada CBOS.

Według raportu „Oceny sytuacji finansowej gospodarstw domowych” z kwietnia 37 procent pytanych stwierdziło, że żyje im się dobrze lub bardzo dobrze (to ci, którym zdarza się narzekać na drogą matchę). I jedynie – a może aż – 11 procent było zdania, że żyje im się skromnie lub biednie (to ci, którzy mają kłopot z kupnem obuwia). Pierwszy odczyt był rekordowo wysoki, drugi rekordowo niski. W okolicach roku 2010 około 35 procent Polaków uważało, że żyje im się biednie, jedynie około 17 procent, że dostatnio. A kiedy spojrzymy na początek lat 90., dowiemy się, że wtedy ponad połowa z nas uważała, że żyje biednie lub skromnie. I tylko poniżej 5 procent uważało, że wiedzie im się dostatnio.

A co z oszczędnościami? W marcu 2023 roku miało je rekordowe 63 procent gospodarstw domowych. Nic nie odłożyło 37 procent. W 2010 roku sytuacja miała się odwrotnie.

Tylko co to znaczy „mieć oszczędności”? Według CBOS – dysponować zaskórniakami pozwalającymi przeżyć co najmniej dwa miesiące. Oszczędności to ważny miernik zamożności, gdyż ludzie oszczędzają wtedy, kiedy ich na to stać bez wyraźnego pogorszenia jakości życia. Ta kwestia jest znacznie istotniejsza niż edukacja finansowa.

•

Polska się bogaci. Nie ma co do tego sporu. I proces ten zauważył Tusk, odwołując się do najnowszych danych Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, czyli właśnie OECD. Premier zwrócił jednak uwagę tylko na wycinek obrazu – na procesy, które miały miejsce niedawno.

Jeśli chodzi o wskaźnik bezrobocia w Unii Europejskiej, według Eurostatu lepsze były od nas tylko Malta, Czechy i Słowenia. Nasza stopa bezrobocia wynosiła 3,1 procent. Zwycięskie Czechy miały wskaźnik niższy o zaledwie 0,5 punktu procentowego. Jeszcze lepsi jesteśmy w produkcie krajowym brutto. Według prognoz Komisji Europejskiej nasz PKB w tym roku urośnie o 3,3 procent. Wyprzedzą nas jedynie Malta i Dania oraz Irlandia, ale ponieważ ma częściowo status raju podatkowego, to odczyty jego PKB nie są do końca wiarygodne.

Cukierkowy obraz, nieprawdaż? Trudno się dziwić, że Tusk wiąże okres prosperity z zasługami rządzącej od dwóch lat koalicji. Ale to nie takie proste.

Według szacunków Banku Światowego byliśmy 21., a nie 20. gospodarką świata. Żadna różnica, czepiam się, zwłaszcza że już wkrótce niemal na pewno przeskoczymy Szwajcarię, a później Holandię i Arabię Saudyjską. Ale czy zauważyli państwo haczyk? Otóż jako niemal 40-milionowe państwo porównujemy się z 9-milionową Szwajcarią. Choć nasze gospodarki są zbliżonej wielkości, to jeśli podzielić ich zasoby ekonomiczne przez liczbę mieszkańców, zionie między nami przepaść.

Międzynarodowe organizacje dzielą więc PKB kraju na liczbę mieszkańców, po czym biorą poprawkę na siłę nabywczą pieniądza – inną kwotę zapłacimy za fryzjera, dobry obiad i kino w Rumunii, inną w Polsce, a jeszcze inną w Norwegii – a wynik sprowadzają do sztucznej waluty w celu redukcji różnic kursowych. Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy używają międzynarodowych dolarów. Teoretycznie za 100 dolarów międzynarodowych można kupić tyle samo w Rumunii, Polsce i Norwegii.

Po wyłączeniu niewielkich wysepek będących rajami podatkowymi, gdzie PKB jest sztucznie zawyżane, oraz państewek-miast Polska zauważalnie spadnie w rankingach. Według Banku Światowego w 2024 roku, biorąc pod uwagę PKB per capita skorygowany o siłę nabywczą, byliśmy mniej więcej na 37. pozycji. Z kolei według „The World Factbook” CIA (tego CIA) jesteśmy na 50. pozycji. Odrzucając raje podatkowe, lądujemy w okolicach końca trzydziestki. A wedle danych MFW znajdujemy się mniej więcej w okolicach 33. miejsca. To już nie brzmi już tak dobrze jak „20. gospodarka świata”.

Z drugiej strony warto mieć na uwadze, że w rankingu PKB na głowę zaledwie nieznacznie wyprzedzają nas Japonia, Nowa Zelandia czy Hiszpania. A o ile wiele się nie zmieni w dynamikach wzrostu, to te państwa łykniemy w najbliższych latach. Tym samym spełni się przywoływana drwiąco przy każdym kryzysie i każdej dyskusji o błędach transformacji ustrojowej obietnica Lecha Wałęsy złożona w 1980 roku, gdy wydawało się, że „Solidarność” zaraz przejmie władzę od komunistów: że Polska stanie się „drugą Japonią”.

Niemal wszystkie liczące się organizacje międzynarodowe uznają nas za państwo wysoko rozwinięte. Bank Światowy już przeszło półtorej dekady temu nadał Polsce status gospodarki „o wysokim dochodzie”.

Jak wiadomo, PKB per capita nie jest miarą idealną. Ale nieźle koreluje z szeroko pojętym dobrobytem. Zasoby gospodarki można dzielić lepiej lub gorzej – podręcznikowym przykładem nierozsądnego rozporządzania ogromnymi środkami są Stany Zjednoczone – niemniej nie ma naprawdę zamożnego kraju, gdzie znaczna część ludzi żyłaby w ubóstwie. Nie ma też kraju o średnim dochodzie, w którym większość ludzi egzystowałaby w dostatku. ONZ ma bardziej złożony wskaźnik dobrobytu. Na HDI, Human Development Index, wskaźnik rozwoju społecznego, składają się dochód na głowę mieszkańca, oczekiwana długość życia oraz liczba lat w edukacji mieszkańców danego państwa. I zgodnie z tą miarą Polska też jest „krajem o bardzo wysokim wskaźniku rozwoju społecznego”.

Wielkość i wydajność gospodarki, jej uzbrojenie w kapitał przekładają się na pensje. I tu dochodzimy do drugiej części wypowiedzi Tuska. „Mam tutaj sensacyjny raport przygotowany przez Światową Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. I to jest raport, który mó-

ponad 9

PROC

• **wyniósł wzrost dochodu rozporządzalnego w Polsce od końca 2023 r.**

ponad 130

PROC

• **wzrosły realne pensje pracowników do 24 roku życia w latach 2004-24, już z poprawką na inflację**

eprasa.pl 0c26237a5c

wi o tym, w jakim kraju rośnie ludziom ilość pieniędzy w portfelu. To, co zostaje w portfelu każdego dnia. I ten wzrost jest rekordowy w Polsce".

Premier miał na myśli tak zwany dochód rozporządzalny. To kategoria szersza niż same płace, składają się na nią wszystkie pieniądze, które otrzymujemy: pensje, świadczenia społeczne, środki z wynajmu mieszkań, zyski kapitałowe. Wszystko po potrąceniu podatków. Szef rządu jako rekordowy wskazywał okres od końcówki trzeciego kwartału 2023 – czyli czasu, kiedy tak zwana opozycja demokratyczna wygrała wybory i PiS oddał władzę – do pierwszego kwartału roku bieżącego.

Rzeczywiście w tym czasie Polska nie miała sobie równych w OECD: nasz wzrost dochodu wyniósł ponad 9 procent. Druga na podium Portugalia odnotowała nieco ponad 6,5 procent, a reszta krajów nie osiągnęła nawet 3 procent. Można powiedzieć, że zdeklasowaliśmy rywali. Czy jednak zdeklasował ich rząd, jak chciał zasugerować Tusk? Cóż, byłoby to spore nadużycie. Warto bowiem powiedzieć, skąd wzięły się owe wyjątkowe wzrosty – i czy były wyjątkowe.

Znaczna większość trendu dotyczy zeszłego roku, kiedy mieliśmy do czynienia z trzema nakładającymi się procesami: skokowo rosnącą płacą minimalną, podwyżkami w budżetówce oraz waloryzacją 500+ do 800+.

Zacznijmy od najniższej krajowej. W styczniu 2024 rok do roku podskoczyła o ponad 20 procent, co było rekordem 30-lecia. A skąd takie podwyżki? Z nadganiania drożyzny. W 2023 roku słowo „inflacja" nie schodziło z ust ekonomistom, dziennikarzom, politykom, rodzinom przy śniadaniu, kolejkowiczom w Biedronce... Mierzyliśmy się ze wzrostem cen niewidzianym u nas od połowy lat 90. Najniższa krajowa uzupełniała więc ubytek w sile nabywczej portfeli najbiedniejszych. Ale najniższe wynagrodzenie z 2024 roku było kontraktowane... jesienią 2023, a więc jeszcze przez rząd PiS.

Ciągnięcie w górę minimalnej wpłynęło na całą siatkę płac w kraju. Przy niskim bezrobociu pracodawcy czuli na plecach oddech pracowników, którzy zarabiali nieco więcej niż najniższa krajowa, i chcieli płacowo odróżniać się od tych o najniższych kwalifikacjach. Więc podwyżka minimalnej pośrednio zwiększyła siłę nabywczą części średniaków. Do tego doszły podwyżki w budżetówce, zwłaszcza dla nauczycieli, sięgające nawet 30 procent. To również była swego rodzaju inflacyjna poprawka, na którą z jednej strony nauczyciele zasługiwali, z drugiej miała choć trochę powstrzymać selekcję negatywną do zawodu.

No i trzeci powód wzrostu dochodów rozporządzalnych, czyli waloryzacja 500+. Pod koniec 2023 roku za 500 złotych można było kupić tyle towarów i usług, co za mniej więcej 350 w momencie startu programu, czyli w 2016 roku. Podwyżka świadczenia była więc w zasadzie jego inflacyjną korektą – i została uchwalona w lipcu 2023 roku, a więc też za poprzedniej władzy.

Podsumowując: korelacja rządy Koalicji 15 Października i rekordowy wzrost dochodów nie oznacza przyczynowości. Podwyżki dla nauczycieli to zasługa rządu Tuska, ale znaczną część efektu można przypisać poprzedniej ekipie. Część z kolei jest wynikiem inflacyjnego nadganiania inflacyjnego spadku siły nabywczej. No a niskie bezrobocie nie jest efektem działań żadnej konkretnej ekipy, tylko głównie demografii: wskutek niskiej dzietności więcej osób odchodzi na emerytury niż wchodzi na rynek pracy.

Dochód rozporządzalny wzrósł zeszłym roku, kiedy nałożyły się na siebie: rosnąca płaca minimalna, podwyżki w budżetówce oraz waloryzacja 500+ do 800+

•

A czy „rekordowe", jak chce premier, przyrosty dochodu rzeczywiście były rekordowe? Jak zwykle, to skomplikowane: i tak, i nie.

Tak, ponieważ realne zeszłoroczne wzrosty płac były najwyższe w historii naszego kraju. Również z poprawką na inflację. Owszem, drożały chleb, benzyna i prąd, ale mimo to nasze wypłaty rosły najszybciej w Polsce od przełomu ustrojowego i gospodarczego w 1989 roku.

Część państwa teraz z irytacją postuka się w czoło: myśmy żadnego przyrostu dochodów nie odczuli, a nawet jeśli, to ciągle coś drożeje, a to mechanik, a to czynsz, i zjada podwyżkę z nawiązką. Owszem, ale ze statystycznego punktu widzenia to był rekordowo dobry rok i rekordowo dużo osób dostało przyzwoite podwyżki. A część wrażenia, że wcale nie było tak dobrze, bierze się z naszych błędów poznawczych. Wysoka inflacja z uwagi na dyskomforty czy wręcz społeczne traumy, jakie generuje, jest niezwykle lepka dla naszych umysłów. Myślimy, że inflacja szaleje, również wtedy, kiedy dawno już zelżała, jednocześnie często nie pamiętamy o podwyżce, którą otrzymaliśmy.

„W poprzednich kilkunastu latach, od początku 2008 roku, sześć kolejnych kwartałów przynosiło średnio realny wzrost dochodu rozporządzalnego w Polsce o 4,6 procent. To najlepszy wynik wśród 20 krajów OECD, ex aequo z Węgrami" – pisał w kontekście wypowiedzi Tuska Grzegorz Siemiończyk, główny analityk portalu Money.pl.

Polakom od kilkunastu lat naprawdę polepsza się w rekordowym tempie. Proszę się zastanowić, na co mogli sobie państwo pozwolić 15-17 lat temu, a na co dzisiaj. Pomyślcie o klasie samochodu, którym jeździcie teraz, a którym jeździliście w 2010 roku. W jakie wygody obfituje życie waszych dzieci na studiach, a jak na studiach żyło się wam. O znajomych, którzy dwie dekady temu ledwie wiązali koniec z końcem, a dzisiaj jeżdżą kilka razy na wakacje, szykują się do budowy domu pod miastem lub rozważają kupno letniska.

37

PROC.

• **ankietowanych Polaków stwierdza, że żyje im się dobrze lub bardzo dobrze. W 2010 roku – około 17 proc**

Ale skoro jest tak dobrze, to dlaczego rzeczywistość w wielu miejscach skrzeczy, jak skrzeczała? Dlaczego wciąż wydłużają się kolejki do lekarzy? Dlaczego wciąż mamy tylu – ostatnie szacunki mówią o 5,2 procent – skrajnie biednych, dlaczego nie udało się uchwalić tak potrzebnej ustawy o asystencji osobistej dla osób niepełnosprawnych? Wiele z tych rzeczy lata temu zostało – jak to się mawia – zaopiekowanych w zamożnych krajach.

Odpowiedź jest prosta: nasze państwo jest mało ambitne jak na swój realny status. Od lat jesteśmy championem wzrostu, ale politycy wciąż myślą kategoriami kraju na dorobku oraz pilniejszych potrzeb, więc nie stawiają sobie ambitnych cywilizacyjnych celów wykraczających poza twardą – autostrady, Centralny Port Komunikacyjny, szybkie pociągi – infrastrukturę.

Przewiduję, co napiszą na forum pod tekstem ci czytelnicy, którzy dobrnęli do tego akapitu: a kto za to całe rozdawnictwo zapłaci? Skąd pieniądze, którymi PiS szastał na prawo i lewo?

Państwo bierze je – w dużym uproszczeniu – z trzech źródeł: z zadłużenia, z podatków i ze wzrostu gospodarczego. Polscy politycy aż nader chętnie korzystają z pierwszej opcji, natomiast są zbyt tchórzliwi, żeby skorzystać z drugiej. A przecież niedawno podwyżkę podatków dla najbogatszych w celu zwiększenia przyrostu dobrobytu społecznego sugerował nam nie żaden komunista Melenchon czy alt-leftowy Janis Warufakis, tylko Międzynarodowy Fundusz Walutowy. A więc instytucja uważana za strażniczkę neoliberalnego modelu, propagatorkę cięć i zaciskania pasa.

•

No ale – zapyta ktoś – co, panie premierze, z tą berlińską sprzątaczką, która zarabia tyle co poznański menedżer średniego szczebla? Takie rzeczy w jednym z 20 najbogatszych państw świata?

To oczywiście tak nie działa. Nie chodzi o to, ile zarabia sprzedawca w Bonn w przeliczeniu na złotówki. Chodzi o to, ile może sobie kupić za swoją pensję. Wydawszy 100 euro, ze sklepu w Rumunii wyjedzie z czubatym wózkiem, z polskiego sklepu – z pełnym koszykiem, sklep w Norwegii opuści z reklamówką. Właśnie dlatego potrzebne są korekty o siłę nabywczą. Tyle że wcale nie jest łatwo ich dokonać.

Zajmują się tym departamenty analityczne w międzynarodowych organizacjach. Dane na temat tych różnic podaje między innymi Eurostat. I tu wracamy do naszej berlińskiej sprzątaczki pracującej na niemieckiej minimalnej krajowej.

Już wiemy, że MFW i Bank Światowy posługują się „dolarem międzynarodowym" w celu porównań dochodów między krajami. Unia Europejska też ma swoją sztuczną walutę – PPS, Purchasing Power Standard, czyli Standard siły nabywczej. Jej zadaniem jest usunięcie różnic kursowych między poszczególnymi realnymi walutami, które mogą wynikać ze spekulacji, różnic w inflacji i dziesiątek innych czynników. Za 100 PPS teoretycznie powinniśmy kupić tyle samo wędlin, jajek, napojów, ośmiorniczek, sushi i podgardla wchodząc do marketu w Niemczech, we Francji i Rumunii.

Minimalna krajowa w Niemczech wynosi 1989 PPS, w Polsce 1500 PPS. Różnica zauważalna, ale wcale nie tak wielka. Nawiasem mówiąc, nasza najniższa krajowa jest ósmą pod względem wysokości w całej Wspólnocie. Jeśli więc weźmiemy pod uwagę różnice w sile nabywczej pieniądza, to pani sprzątająca w stolicy Niemiec wcale nie kupi sobie za wypłatę tyle, co team leader w stolicy Wielkopolski. Mało tego – biorąc pod uwagę różnice w cenach, kupi sobie niewiele więcej niż osoba sprzątająca w Polsce pracująca „na minimalnej".

Wychodzi na to, że przechwałki Donalda Tuska to żadne przechwałki, lecz fakty. Ale wkrótce będziemy je wspominali jako symbol ekonomicznego łabędziego śpiewu. Dlaczego? Bo duża część efektu wzrostu dochodów wynikała z waloryzacji 500+ oraz z naprawdę hojnej podwyżki płacy minimalnej.

Tymczasem niedawno klepnięta przez rząd kolejna podwyżka będzie nie ponad 20-procentowa, nawet nie 10-procentowa. Najmniej zarabiający w przyszłym roku dostaną nominalnie około 3 procent więcej niż dzisiaj. A jeśli sprawdzą się prognozy inflacyjne, to nie dostaną w zasadzie żadnej podwyżki. Nie będzie również kolejnej waloryzacji świadczenia rodzinnego. Wygasną więc te silniki, które nas ciągnęły na rekord.

Wzrost naszych dochodów w najbliższym czasie z pewnością przyhamuje. Co nie znaczy, że się skończy. Gospodarka nadal się rozwija, ale przyrost dobrobytu już nie będzie tak spektakularny. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34403335

NEWSLETTERY WYBORCZEJ

Wszystkie piszą ludzie, nie maszyny
Nasi najlepsi redaktorzy.
Możesz wybrać z bogatej oferty ponad **40** różnych newsletterów.

Zapisz się na:
wyborcza.pl/newslettery

wyborcza.pl

2 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

JAK SIĘ NIE MA, CO SIĘ LUBI...

Skrajna prawica dwoi się i troi, aby dostarczyć młodym wyborcom odpowiedzi na pytanie o lepsze jutro

ZE **SŁAWOMIREM SIERAKOWSKIM** I **PRZEMYSŁAWEM SADURĄ** ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

AGNIESZKA KUBLIK: Czy jest dobra odpowiedź na pytanie, które premier Tusk dostał w Piotrkowie Trybunalskim na spotkaniu z wyborcami 15 października, w drugą rocznicę wyborów, po których przejął władzę – „kiedy my młodzi będziemy mieli szansę na lepsze jutro”?
SŁAWOMIR SIERAKOWSKI: – Nie przepadam za tym kultem młodości, a to pytanie jest trochę takie z Instagrama.

Problem jest taki, że młodych jest mało i są często po prostu radykalni i zmienni, więc nie sposób traktować ich jako kluczowy podmiot polityczny. W moim roczniku rodziło się 700 tysięcy ludzi, teraz góra 250 tysięcy. Elektorat istotniejszy z punktu widzenia liberalnej demokracji, czyli bardziej centrowy, bardziej stabilny, to już nie są młodzi. To nie znaczy, że lekceważę najmłodszych obywateli i ich problemy – wyjaśniam realia kalkulacji polityków.

A drugi problem – i znów, to nie ocena, to stwierdzenie socjologicznego faktu – jest taki, że współcześni młodzi najczęściej chcą czegoś, co po angielsku nazywa się „power sharing”, a nie „power struggling”. Czyli żeby władza przyszła do nich, żeby politycy odpowiedzieli na petycję albo protest, a nie, by sami wzięli władzę. Nie budują dziś instytucji, więc nie tworzą trwałych i wpływowych aktorów publicznych. Najczęściej są to efemeryczne ruchy jednej sprawy – ekologicznej, palestyńskiej i tak dalej. A jak nie budują instytucji, to pozostaje im krytykowanie zastanych.

Ale chodzą na wybory. Dwa lata temu niezwykle licznie. W 2023 roku frekwencja w grupie wiekowej 18-29 wyniosła prawie 69 procent. I trudno tym młodym zarzucić naiwny radykalizm czy pięknoduchostwo, bo najwięcej – 28,3 procent – zagłosowało na KO.
PRZEMYSŁAW SADURA: – Młodych nie jest tak mało, jeśli uwzględnić, że granica młodości się przesuwa nie tylko psychologicznie i fizycznie. Problem z dostępem do kredytów, z bańką na rynku nieruchomości, co uniemożliwia większości osób zakup mieszkania, dotyczy już nie tylko dwudziestoparolatków, sięga do 35 roku życia albo i dalej. Przesuwa się też czas zakładania rodziny, narodzin dzieci. Zmiana stylu życia przesuwa granicę młodości politycznej.

I druga sprawa: ci, którzy dzisiaj są młodzi, za parę lat będą 40-latkami. Będą mieli nowe pakiety problemów i doświadczeń, ale częściowo ich postawa będzie zależeć od wcześniejszych doświadczeń politycznych. Więc odpuszczenie ich teraz to oddawania pola skrajnej prawicy, takiej konfederackiej. Bo ona dwoi się i troi, żeby dostarczyć im odpowiedzi na pytanie o lepsze jutro.

A wasze pierwsze skojarzenie, gdy mówię „premier Tusk”?
Sadura: – Kaczyński i odchodzący duopol. Tusk to człowiek niezwykle zasłużony i bez niego trudno sobie wyobrazić pokonanie PiS w 2023 roku, ale nikt nie jest wieczny. Uwzględniając nastroje w KO po wyborach prezydenckich, dziś stawiałbym, że partię czeka przynajmniej wewnętrzna dyskusja o nowym liderze.

Sierakowski: – Ostrożność. To generalnie dobrze, ale w tych czasach bardziej pomaga brak skrupułów. Żurka od Bodnara różni jedynie kwestia ostrożności. Trzaskowskiego od Sikorskiego też.

• **Sierpień 2024, Olsztyn, premier Tusk na otwarciu młodzieżowego Campusu Rafała Trzaskowskiego** FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dla każdej z niezrealizowanych obietnic i każdego z drobnych zaniechań Koalicji 15 Października jest sensowne uzasadnienie. Ale nasze życie się składa z drobnych rzeczy, dla jednych ważne są te, dla drugich inne i rozczarowanych rządem przybywa

Co jeszcze było zbyt ostrożne?
Sierakowski: – To, że rząd nie uchwalał ustaw, które Andrzej Duda musiałby wetować. Przecież Trzaskowski w wyborach prezydenckich mógłby to wykorzystać. A deregulacja? Też nieujęta w jeden czytelny przekaz i oddana biznesmenowi, a nie Trzaskowskiemu, który mógł tym odbierać głosy Mentzenowi.

Sadura: – Tam, gdzie premierowi zależało, nie było kunktatorstwa i nie brakowało odwagi. Porównajmy sądownictwo i media. W sądownictwie premier nie zdecydował się na wariant medialny. Zaczął od gołębia, dopiero teraz powołał sapera. A w mediach najpierw był saper i podobnie trzeba było zadziałać w sądownictwie. Żeby budować nowy ład, trzeba najpierw rozbić stary nieład, podjąć arbitralne decyzje.

Opowiem wam anegdotę. Jest 1 czerwca, druga tura wyborów prezydenckich, około godziny 23, za chwilę będą wyniki latte poll, które pokazały, że wygrywa Nawrocki, a nie Trzaskowski. Miejsce – newsroom TVP Info. Jak zareagowali tam ludzie na wieść, że to Nawrocki wygrał? Wyraźnie odetchnęli z ulgą. A jeśli tak samo reagowali sędziowie, prokuratorzy, pracownicy spółek skarbu państwa...
Sierakowski: – Trudno mi wierzyć, żeby przez 8 lat tak radykalnych, klientystycznych i bezwstydnych działań Ziobry i Kamińskiego prokuratora albo służby mogły wyjść z tego cało, bez przetrąconego kręgosłupa i kadr przygotowanych na wykonywanie, nawet nielegalnych, poleceń.

Sadura: – Tak naprawdę wynik wyborów będzie w dużym stopniu zależał od działań na drugim planie. Dziś wygląda na to, że o tym, kto będzie rządził, zadecydują Mentzen i Bosak, bo bez nich nie będzie można stworzyć większości. To nie KO czy PiS będą decydowały, kogo łaskawie zaproszą do koalicji, tylko Konfederacja będzie rozstrzygać, z kim zechce wejść w koalicję.

Wiemy z naszych badań, że elektorat KO nie wyklucza połączenia z Konfederacją, gdyby to był jedyny sposób, żeby trzymać PiS z dala od władzy. Do tego stopnia silna jest ta niechęć i przywiązanie do własnej partii. Ale czy Konfederacja byłaby gotowa wejść w koalicję z KO? Na pewno nie z Tuskiem. Co może być kolejnym powodem do zmiany lidera.

Równie ciekawe są podziały na lewicy. Czy dostanie takie poparcie jak wszyscy razem lewicowi kandydaci w wyborach prezydenckich? Czy też ich głosy się rozproszą, zamiast zsumować w 10 procent, i wyląduje w okolicach progu?

W 2023 roku 56 procent głosujących kobiet poparło trzy partie opozycyjne. Bez ich głosów demokraci przegrają – a w sondażach czy reportażach coraz głośniej słychać: „aborcja, związki, gdzie te obietnice”. A miało być też 20 procent lasów „bez wycinek”, jest 1 procent. Miał być kres przywilejów dla myśliwych, tymczasem myśliwi dalej zabierać dzieci na polowania i nie muszą przechodzić badań lekarskich przed pozwoleniem na broń. Te grupy ludzi zawiedzionych w różnych kwestiach społeczno-kulturowych sumują się w wiele procent rozczarowanych.
Sadura: – KO odpuściła w niektórych kwestiach, bo niełatwo jej było się dogadać z koalicjantami. Aborcja to najlepszy przykład – nie mogli szybko wynegocjować jakiegoś kompromisu z PSL, więc postanowili tę debatę odłożyć. Tylko że po raz kolejny – a ludzie to pamiętają. Bardzo zła decyzja.

Wycinki i polityka leśna ilustrują inny problem – ten z oporem potężnych instytucji. Lasy Państwowe, które zresztą w pewnym momencie wręcz zrosły się z PiS, dysponują rocznym budżetem przekraczającym 15 miliardów złotych. Sam ich fundusz medialny to są setki milionów złotych. Więcej, niż partia może dostać z subwencji! Trudno z taką instytucją wygrać w parę miesięcy.

Do tego dochodzi mnóstwo drobniejszych zaniechań, nie robiono różnych zmian, które można zrobić rozporządzeniami. To drobne rzeczy i dla każdej znajdzie się sensowne uzasadnienie, ale nasze życie się składa z drobnych rzeczy. Dla jednych ważne są te, dla drugich inne i rozgniewanych przybywa.

Ale wszystkie te problemy wzięły się z jednego błędu całej tej koalicji: bardzo łatwo im przychodziło obiecywanie. Wszystkiego i każdemu, to było widać w stu konkretach. Teraz już nikt nie zdoła tą metodą wygrać wyborów. Może jeszcze PiS – bo obiecał 500 plus i obietnicę spełnił. A po stronie liberalno-lewicowej ciągle obserwujemy niefrasobliwość i brak odpowiedzialności za słowo. Z łatwością obiecują, a potem z trudem albo wcale dowożą.

A Hołownia jak się wam kojarzy?
Sierakowski: – Zmarnowany talent. To polityk, który z jednej strony szokuje zagalopowywaniem się, nieskutecznością, zadryblowaniem, z drugiej to jest naprawdę człowiek bardzo dobrze przygotowany i utalentowany. Szkoda tego. Gdyby udało mu się dostać stanowisko takie jak wysoki komisarz do spraw uchodźców, to poradzi sobie.

Sadura: – Hołownia jest wielkim indywidualistą, więc gdy jego intuicja była akurat dobra, to cała formacja na tym zyskiwała, ale jak przefajnował, to traciła. I za dużo było lepienia ugrupowania na bieżąco, co sondaże w danej chwili pokazały, to robili. Tak się nie zbuduje trwałej siły politycznej. Konfederacja budowała się przez lata w zupełnie inny sposób i widzimy, gdzie jest.

Jak się budowała?
Sadura: – To były dekady pracy u podstaw Korwina, który nie walczył o władzę, tylko o rozpoznawalność i siał idee. Oraz kolejne odsłony projektu, który w kolejnych latach zyskiwał poparcie wśród najmłodszych wyborców. Aż formacja dorosła do tego, żeby powalczyć o władzę – i nagle się okazało, że po trzech dekadach wśród trzydziesto- i czterdziestolatków nie brakuje takich, co już kiedyś oddali głos na to środowisko. I łatwiej ich przekonać. Dziś takim Korwinem lewicy może się okazać Zandberg. ●

wyborcza.pl

• **Jak Trzaskowski podzielił wyborców KO, a Bąkiewicz wyborców PiS? Dlaczego Tusk nie wychował następcy? Cała rozmowa o dwóch latach Koalicji 15 Października**
▶ Wyborcza.pl/magazyn

Dr hab. Przemysław Sadura

• profesor UW, szef Katedry Socjologii Polityki na UW, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy”.

Sławomir Sierakowski

• socjolog, założyciel i lider „Krytyki Politycznej”, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”.

eprasa.pl 0c26237a5c

KOLEJNE NITKI W PROROSYJSKIEJ SIECI

Czy prezes Ordo Iuris wiedział, czyją protegowaną przyjmuje do pracy

• **Prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski na konferencji prasowej komitetu inicjatywy ustawodawczej „ Stop Aborcji" pod Sejmem (5.07. 2016 r.)** FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Klementyna Suchanow

Ordo Iuris mimo oddania władzy przez PiS ma się dobrze. Ostatnio konserwatywna fundacja walcząca m.in. z aborcją przeprowadziła się do 200-metrowego lokalu przy placu Bankowym w Warszawie, stając się sąsiadem TV Republika. Wraz ze swoimi fundatorami ze stowarzyszenia im. księdza Piotra Skargi założyła też Klub Stańczyka w lokalu na Pięknej – to kolejna świetna lokalizacja w stolicy. Ewidentnie Ordo Iuris się powodzi.

Uznaje ona powrót prawicy do władzy za „nieuchronny" i w tym celu stworzyła raporty o resecie z Unią Europejską oraz „Polska. Reaktywacja". Ten ostatni imituje „Project 2025" – opracowany w USA plan radykalnej, konserwatywnej zmiany amerykańskiego systemu władzy po wygranej Donalda Trumpa – w tym proponuje na przykład likwidację ministerstw edukacji i kultury.

Fundacja czuje się bardzo pewnie. Po drugiej turze wyborów prezydenckich wygranych przez Karola Nawrockiego spotkałam prezesa Ordo Iuris Jerzego Kwaśniewskiego na schodach warszawskiego sądu, gdzie toczyła się sprawa przeciwko liderce Strajku Kobiet Marcie Lempart za słynne zdanie o finansowaniu jego organizacji przez Kreml. Kwaśniewski powiedział mi wtedy, że chętnie wsadzą mnie do więzienia. Po tym, co opiszę dalej, pewnie jeszcze bardziej tego zapragnie.

•

Kiedy w kraju trwały masowe protesty wywołane decyzją Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej z jesieni 2020 roku, gdy de facto zakazano aborcji, do Ordo Iuris napisała Karin Kneissl.

Niektórzy mogą ją pamiętać z 2018 roku, gdy zasłynęła jako panna młoda, tańcząc z Władimirem Putinem na weselu w Austrii. Media obiegły filmy i zdjęcia Kneissl w objęciach rosyjskiego dyktatora – on pocałował ją w rękę, a ona klęknęła przed nim w uniżonym ukłonie.

Od lat dziewięćdziesiątych Kneissl pracowała w dyplomacji, wtedy była ministrą do spraw zagranicznych, europejskich i integracji w centroprawicowym koalicyjnym rządzie Sebastiana Kurza, ale straciła stanowisko po tak zwanej Ibizagate. Chodziło o publikację nagrań z ukrytej kamery ujawniających gotowość do korupcji polityków skrajnie prawicowej Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) z podstawioną rzekomą siostrzenicą jednego z rosyjskich oligarchów.

Kneissl napisała do Ordo Iuris „list polecający" ze swego oficjalnego adresu mailowego, o czym wiemy dzięki naszym informatorom. Dotyczył on Niemki polskiego pochodzenia, Agnieszki Jacob, którą Kneissl serdecznymi słowy polecała do pracy, podkreślając jej zainteresowanie polityką międzynarodową oraz łatwość w nawiązywaniu kontaktów towarzyskich. Dwa miesiące później Agnieszka Jacob rozpoczynała już pracę w Ordo Iuris.

Sama zaś Kneissl po odejściu z rządu znalazła pracę w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), elitarnej, założonej w ZSRR szkole dyplomatów i szpiegów, z której wywodzi się między innymi Siergiej Ławrow, w 2021 roku została członkiem zarządu w gigancie energetycznym Rosnieft (zrezygnowała w maju 2022), utworzyła think tank G.O.R.K.I (od Geo-Political Observatory for Russia's Key Issues), po czym w 2023 roku przeniosła się do Rosji na stałe. Przy przeprowadzce udostępniono jej nawet rosyjski wojskowy samolot, którym przewiozła swoje konie.

•

Prezes Kwaśniewski musiał wiedzieć, kim jest Kneissl, kiedy przyjął do pracy Jacob w lutym 2021 roku. Ta ostatnia przedstawiała się jako prawniczka po studiach w Niemczech i pracy dla trzech największych austriackich kancelarii prawnych (prawo telekomunikacyjne, energetyczne i ochrony środowiska). Podkreślała też, że jest bardzo dobrze powiązana z międzynarodowymi i dyplomatycznymi kręgami w Wiedniu.

Jacob rzeczywiście należy do Österreichischen Gesellschaft für Außenpolitik und die Vereinten Nationen (ÖGAVN, Austriackie Towarzystwo Polityki Zagranicznej i Narodów Zjednoczonych).

W Ordo Iuris dołączono ją do zespołu do spraw międzynarodowych, gdzie poszukiwano przy różnych sprawach wsparcia także wśród polityków z AfD. Kiedy w 2021 roku polscy europarlamentarzyści – Sylwia Spurek i Robert Biedroń – próbowali zablokować uczestnictwo Tymoteusza Zycha, wówczas wiceprezesa Ordo Iuris, w grupie „Różnorodność Europy", założonej przez część członków Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego (EKES, organ doradczy UE skupiający różne grupy interesu, na przykład pracodawców czy organizacje pozarządowe), powstał list poparcia dla niego wśród europosłów PiS i AfD.

Jednymi z podpisujących się pod listem poparcia dla Zycha byli Maxilimian Krah i Jörg Meuthen, który we wrześniu 2017 roku został wybrany na przewodniczącego AfD. Podpisał się także Gunnar Beck, który chętnie udzielał wywiadów rosyjskim propagandowym mediom, takim jak Russia Today.

Jacob odeszła z Ordo Iuris pod koniec 2021 roku, ale odnalazłam ją na zdjęciu opublikowanym we wrześniu 2023 na stronie

eprasa.pl 0c26237a5c

Konfederacji Korony Polskiej z Romanem Fritzem, posłem i bliskim towarzyszem Grzegorza Brauna. Fritz, który prowadził w Rybniku Kluby Polonia Christiana (czyli pisma wydawanego przez założycieli Ordo Iuris), jest posłem i wiceprezesem Konfederacji Korony Polskiej. Wielokrotnie też spotykał się z przedstawicielami AfD, był nawet zaproszony do Bundestagu. Jako moment zawiązania tych relacji wskazał 2021 rok. Czy pomogła mu w tym Agnieszka Jacob ze swoimi rozległymi kontaktami wśród skrajnej prawicy w Europie?

W 2024 roku odnajdujemy Jacob na MCCFeszt w Esztergom – festiwalu organizowanym przez Mathias Corvinus Collegium, węgierskich partnerów Ordo Iuris. Na swoim koncie na platformie X wciąż utrzymuje dopisek: „collaborator @OrdoIuris". Często szeruje też tweety Ordo Iuris.

W 2022 roku Jacob pojawiła się także na zdjęciu grupowym z Gudrun Kugler, austriacką administratorką grupy Agenda Europe, która zrzesza organizacje antyaborcyjne i anty-LGBT. Sieć tę, do której należy także Ordo Iuris, opisałam w zeszłym roku na podstawie kilku tysięcy maili, które pokazują jasno, że grupa jest zinfiltrowana przez ludzi rosyjskiego oligarchy Konstantina Małofiejewa.

Jacob ewidentnie porusza się w tej sieci – twierdzi, że jest zaprzyjaźniona na przykład z Holendrem Michielem Hemmingiem z CitizenGo. To hiszpańska organizacja, która również jest częścią Agenda Europe, a jednym z jej fundatorów był Małofiejew – radykalny prawosławny konserwatysta, któremu Kreml powierzył budowę europejskiej reakcyjnej międzynarodówki, wspierający różnymi kanałami między innymi Marine Le Pen i Matteo Salviniego, aktywny także w Ukrainie, gdzie odpowiada za dostarczanie broni donbaskim kolaborantom i porywanie ukraińskich dzieci.

Nie udało mi się uzyskać komentarza od Agnieszki Jacob – nie odebrała telefonu, nie odpowiedziała na SMS-a ani maila. Podobnie Jerzy Kwaśniewski, rozłączył telefon i nie odpowiedział na SMS-a z pytaniami.

•

Tak się składa, że ślad Ordo Iuris odnajdujemy także w aferze dotyczącej Voice of Europe, czyli portalu, który – jak ustaliły w zeszłym roku czeskie służby – finansowany był z rosyjskich pieniędzy.

Voice of Europe – twierdzą służby – „rozpowszechniał rosyjską propagandę w 16 językach", a jego zadaniem był wpływ na wybory do europarlamentu Ale niemiecki tygodnik „Der Spiegel" pisał, że Voice of Europe jest jedynie małą częścią zakrojonej na szeroką skalę rosyjskiej operacji dezinformacyjnej, w której centralną rolę wyznaczono AfD.

Chodziło o Maximiliana Kraha, który podpisał list wsparcia dla Tymoteusza Zycha, i Petera Bystrona, deputowanego Bundestagu z AfD, współorganizatora zjazdu skrajnej prawicy w Pradze, którego niemieckie służby obserwowały z powodu kontaktów z neonazistami. Fritz z partii Brauna spotykał się z nim w Pradze.

Obaj odwiedzili jesienią 2021 roku w Kijowie ukraińskiego oligarchę Wiktora Medwedczuka znajdującego się już wtedy w areszcie domowym za zdradę stanu. Medwedczuk nazywany jest „kumem Putina", bo rosyjski prezydent jest ojcem chrzestnym córki ukraińskiego oligarchy. Miał on dostawać z Moskwy olbrzymie pieniądze, między innymi na stworzenie prorosyjskiej agentury przed wielką inwazją na Ukrainę w lutym 2022 roku. Dzisiaj jest w Rosji – jesienią 2022 roku został wymieniony na ukraińskich jeńców, bohaterskich obrońców huty Azowstal w Mariupolu. To właśnie Medwedczuk założył w Pradze Voice of Europe, a Krah i Bystron często udzielali temu medium wywiadów.

Platforma VoE służyła także do opłacania przez Rosję prawicowych polityków i influencerów w Europie – światowe media podawały kwoty sięgające od pół miliona do miliona euro płatne w gotówce albo poprzez kryptowaluty. Jednym z beneficjentów tych przelewów miał być Bystron, o czym mają świadczyć podsłuchane przez czeskie służby rozmowy.

• **Prezydent Rosji Władimir Putin tańczy z szefową austriackiego MSZ Karin Kneissl na jej weselu z biznesmenem Wolfgangiem Meilingerem w Gamlitz w południowej Austrii (18.08.2018)** FOT. ROLAND SCHLAGER/POOL PHOTO VIA AP/ EAST NEWS

Ślad Ordo Iuris odnajdujemy w aferze dotyczącej Voice of Europe, czyli portalu, który – jak ustaliły w zeszłym roku czeskie służby – finansowany był z rosyjskich pieniędzy

•

Śledztwo w sprawie Voice of Europe trwa równolegle w kilku krajach, w tym w Polsce, gdyż wiadomo, że na liście znajdowały się nazwiska polskich polityków. Co więcej, VoE najpierw zarejestrowany w Holandii, trafił potem w ręce Polaka Jacka J., który przewoził do Pragi pieniądze – podczas przeszukania ABW znalazło u niego około 50 tysięcy euro i 36 tysięcy dolarów.

Od ponad roku czekamy na wyniki śledztwa Mazowieckiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Warszawie. Na razie, jak poinformowała mnie Prokuratura Krajowa: „Jeden z wątków [śledztwa] dotyczy udziału obywateli polskich w stworzeniu i funkcjonowaniu podmiotu Voice of Europe". W ciągu ponad roku „przeprowadzono przeszukania u obywateli RP oraz Ukrainy przebywających w Polsce, podczas których zabezpieczono nośniki informatyczne i dokumentację. Skierowano również Europejskie Nakazy Dochodzeniowe do organów czeskich i słowackich o wykonanie czynności procesowych w drodze pomocy prawnej. Jedną z osób objętych tymi czynnościami był Jacek J.", ale „w tym zakresie postępowanie pozostaje w fazie in rem, nikomu nie przedstawiono zarzutów".

Nie tylko nie ma zarzutów, ale wciąż nie znamy też nazwisk polskich polityków ani influencerów opłacanych rosyjskimi pieniędzmi poprzez Voice of Europe.

Gdy w marcu zeszłego roku ówczesny premier Czech Petr Fiala obwieścił odkrycie sieci propagandowych mediów utrzymywanych przez Rosję, uwaga świata skupiła się na Voice of Europe, mimo że były w niej także inne portale. W tym Visegrád Post, który – równie antyaborcyjny, antyeuropejski i antyukraiński – odgrywa w polskiej mediasferze dużo istotniejszą rolę i prowadzi nas również do Ordo Iuris.

Dwa źródła związane z czeskimi służbami potwierdziły gazecie „Denik N", że „był to podobny przypadek do Voice of Europe". Węgierski dziennikarz śledczy András Dezső pisał zaś w portalu HVG: „Europejskie służby doszły do wniosku, że Visegrád Post – podobnie jak jego czeski »partner«, Voice of Europe – otrzymuje wsparcie pośrednio, ale również z Kremla, w zamian za wykonywanie poleceń Moskwy".

BIS, czyli czeskie służby, w korespondencji ze mną potwierdziły, że wciąż trwa śledztwo nad oboma portalami.

•

Konto Visegrád Post na platformie X wydaje się mocno skupione na Polsce. Są to często przedruki z Soveregnity.pl, czyli portalu publikującego po angielsku teksty z prawicowego tygodnika „Do Rzeczy".

Soveregnity.pl założone zostało przez Fundację Instytut Suwerenności i Dziedzictwa w Europie, czyli ekipę z „Do Rzeczy": naczelnego Pawła Lisickiego, jego zastępcę Piotra Gabryela, publicystów Piotra Semkę, Rafała Ziemkiewicza, Piotra Zychowicza i Piotra Gocka. „Do Rzeczy" od dawna mocno krytykuje wsparcie Polski dla Ukrainy czy progresywne nurty w Kościele katolickim. Z sympatią odnosiło się też do pomysłów Aleksandra Dugina, ważnego kremlowskiego ideologa.

Visegrád Post założono w 2015 roku i był prowadzony z Budapesztu przez Francuza o węgierskim pochodzeniu, znanego pod nazwiskiem Ferenc Almassy, oraz drugiego Francuza Nicolasa de Lamberterie.

20 maja 2022 roku na X pojawił się tweet o spotkaniu Visegrád Post z Jerzym Kwaśniewskim na budapesztańskiej wersji CPAC – Conservative Political Action Conference, czyli wpływowej konferencji amerykańskich konserwatystów. Konto to, podobnie jak kanał na Telegramie, zamarło w grudniu 2023 roku.

Na stronie internetowej Visegrád Post temat Ordo Iuris pojawia się w sumie osiem razy. Jerzy Kwaśniewski, który na Facebooku jest „zaprzyjaźniony" z Ferencem Almassym, jest cytowany na przykład przy okazji artykułu o węgierskich wyborach z 2022 roku, gdzie odgrywał rolę obserwatora.

Podczas gdy Voice of Europe nie precyzowało, kto jest autorem artykułów i wywiadów, Visegrád Post publikowało podpisane artykuły. Wśród nich znalazł się kolejny Francuz, Olivier Bault, nazywany „naszym autorem". To także autor „Do Rzeczy", który od lat 90. mieszka w Polsce. Jego teksty mają często charakter publicystyczny z elementami antyeuropejskimi, antymigracyjnymi, gdzie Polska i Węgry to strażnicy chrześcijańskiej tożsamości. Tak się składa, że od marca zeszłego roku Bault pracuje jako dyrektor działu komunikacji w Ordo Iuris.

Do Visegrád Post pisał także kolejny pracownik Ordo Iuris Sebastian Meuwissen polsko-belgijskiego pochodzenia. Od ponad roku zatrudniony jest w orbanowskiej fundacji Center for Fundamental Rights w Budapeszcie, która wspiera także ukrywającego się na Węgrzech wiceministra sprawiedliwości w rządzie PiS Marcina Romanowskiego, ściganego za nadużycia w Funduszu Sprawiedliwości.

Co ciekawe, Bault jest na tyle ceniony w Ordo Iuris, że znalazł się na spotkaniu z delegacją Patrioci za Europą wspólnie z prezesem Jerzym Kwaśniewskim i jednym z prawników, Bartoszem Lewandowskim (jest obrońcą m. in. Romanowskiego) w Warszawie, gdzie opowiadali o łamaniu praworządności w Polsce. Konkluzja: „W ocenie delegatów Polska stała się laboratorium autorytarnych działań wspieranych przez Brukselę".

We wrześniu Bault został wysłany też przez Ordo Iuris jako reprezentant do USA, by przemawiać na imprezie medialnej organizowanej przez TV Republika podczas wizyty prezydenta Karola Nawrockiego w Waszyngtonie.

•

Nie udało mi się uzyskać odpowiedzi, czy Ordo Iuris lub Bault są objęci śledztwem w związku z Voice of Europe, gdyż sprawa jest w toku. Nie wiem też, czy komisja do spraw rosyjskich wpływów w Polsce złożyła jakieś zawiadomienie w sprawie Ordo Iuris.

Wiem jednak, że moje złożone w 2022 roku w Prokuraturze Wojskowej zostało umorzone i że obecnie jedyne toczące się w Prokuraturze Krajowej zawiadomienie złożyłam również ja sama w tym roku, w którym ABW przesłuchało mnie jako świadka. I że po tej publikacji udam się z kolejnym. Bo chciałabym, by ktoś w końcu na poważnie wziął zagrożenie, na które od dziewięciu lat zbieram dowody i o którym wiedzą już chyba wszyscy, a które wciąż ignorowane jest przez polskie organy państwa. ●

Klementyna Suchanow

• pisarka, dziennikarka śledcza, autorka m.in. nagradzanej biografii **„Gombrowicz. Ja, geniusz"** i książki śledczej **„To jest wojna. Kobiety, fundamentaliści i nowe średniowiecze"**, jedna z liderek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Współautorka raportu **„Kontrrewolucja kulturowo-religijna. Czy Polsce grozi prawo podporządkowane ideologii chrześcijańskich fundamentalistów?"**. Członkini działającej przy ministrze sprawiedliwości komisji ds. wyjaśnienia mechanizmów represji wobec organizacji społeczeństwa obywatelskiego oraz działaczy społecznych w latach 2015-23.

eprasa.pl 0c26237a5c

ŚWIAT

LATAJĄCY ROSJANIN

Skąd Putin bierze tyle tankowców i co zamierza z nimi zrobić

FOT. OLE BERG-RUSTEN/PAP/EPA

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Nocą z 1 na 2 października w Zatoce Biskajskiej francuski śmigłowiec zawisł nad tankowcem „Boracay". Grupa komandosów zjechała na linach na pokład. Ta spektakularna akcja była odpowiedzią na serię niepokojących incydentów, które wstrząsnęły Europą.

Tydzień wcześniej Dania i Norwegia doświadczyły bezprecedensowych ataków. Niezidentyfikowane drony pojawiały się nad kluczową infrastrukturą, w tym nad główną bazą duńskich sił powietrznych Skrydstrup. Władze czasowo zamknęły lotniska w Kopenhadze, Billund i Aalborg. Premierka Mette Frederiksen nazwała to „najpoważniejszym atakiem na duńską infrastrukturę krytyczną w historii" i nie wykluczyła rosyjskiego zaangażowania.

„Boracay" – 244-metrowy tankowiec zbudowany w 2007 roku – nie był przypadkowym celem. Statek krążący po morzach pod wieloma imionami, w tym „Pushpa" i „Kiwala", od miesięcy figurował w raportach wywiadowczych jako jedna z jednostek rosyjskiej floty cieni, a od niedawna podejrzewa się, że z jego pokładu wystrzeliwano też drony. Ostatnią podróż rozpoczął 20 września z portu w Primorsku w obwodzie leningradzkim, gdzie załadowano go surową ropą. Choć deklarowanym celem był Kanał Sueski, analitycy wskazywali, że zmierza do Vadinar w Indiach, kluczowego hubu dla rosyjskiej ropy omijającej sankcje.

Podczas abordażu kapitan, Chińczyk, odmówił współpracy i został aresztowany. Statek, pływający pod banderą Beninu, zatrzymano we francuskim porcie Saint-Nazaire.

W serwisach społecznościowych zawrzało. Po „zachodniej" stronie internetu użytkownicy Facebooka i YouTube'a pisali: „Francja wyznacza drogę", „Doskonała wiadomość. Niech żyje Francja". Po prorosyjskiej stronie oczywiście groźby i wrogie wpisy: „Byli piraci somalijscy, a teraz są piraci francuscy. Doszliśmy. Europa przebija dno!". A pod reportażem na kanale niemieckiego „Bilda" na YouTube użytkownik Петр96 woła po rosyjsku: „Myślicie, że tym złamiecie Rosjan? Zatrzymajcie Zełenskiego i jego beneficjentów". Zaś użytkownik cieszy się – choć to fake news – że „Liza Pieskowa [córka rzecznika Putina] podarła na Placu Czerwonym swój francuski paszport".

Po kilku dniach Francuzi uwolnili tankowiec. Dziś, kiedy wysyłamy ten tekst do redakcji, czyli 21 października o godzinie 9, „Boracay" jest w Zatoce Adeńskiej. Płynie z prędkością 10,5 węzła w nieznanym kierunku – po tym, jak pokonał Kanał Sueski, z publicznie dostępnych raportów systemu automatycznej identyfikacji statków AIS zniknął port. A według zarejestrowanych danych w sobotę 18 października przez około godzinę płynął po Morzu Czerwonym z prędkością 27,7 węzła, czyli 51 kilometra na godzinę – to żadna prędkość dla niszczyciela, z trudem, docelowylecz osiągnie ją nowoczesny kontenerowiec, natomiast tankowce rozpędzają się maksymalnie do 15-17 węzłów, co wskazuje, że ktoś celowo manipuluje danymi.

•

Pomysł nie jest nowy. Zanim Rosja uruchomiła flotę cieni, podobne metody stosowały Iran i Wenezuela, aby omijać międzynarodowe sankcje. Sens istnienia tych jednostek jest prosty: utrzymać strumień dochodów z ropy, zasilający budżet i finansujący wojnę.

Kluczowym mechanizmem, który flota cieni obchodzi, jest tak zwany pułap cenowy. To narzędzie sankcyjne Zachodu, które zezwala na dostarczanie rosyjskiej ropy na światowe rynki, ale tylko pod warunkiem, że jest sprzedawana po cenie nieprzekraczającej ustalonego limitu (obecnie 60 dolarów za baryłkę). Aby z niego skorzystać, armatorzy i ubezpieczyciele muszą przedstawić dokumentację potwierdzającą transakcję poniżej tego progu. Gdy Rosja chce sprzedać ropę drożej, musi działać poza tym systemem. I tu wpływa flota cieni.

Jej statki celowo unikają usług firm zachodnich – zwłaszcza ubezpieczycieli z półformalnej grupy International Group of P&I Clubs, które dominują na rynku

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

Morski eksport rosyjskiej ropy naftowej

Dane w tys. baryłek dziennie

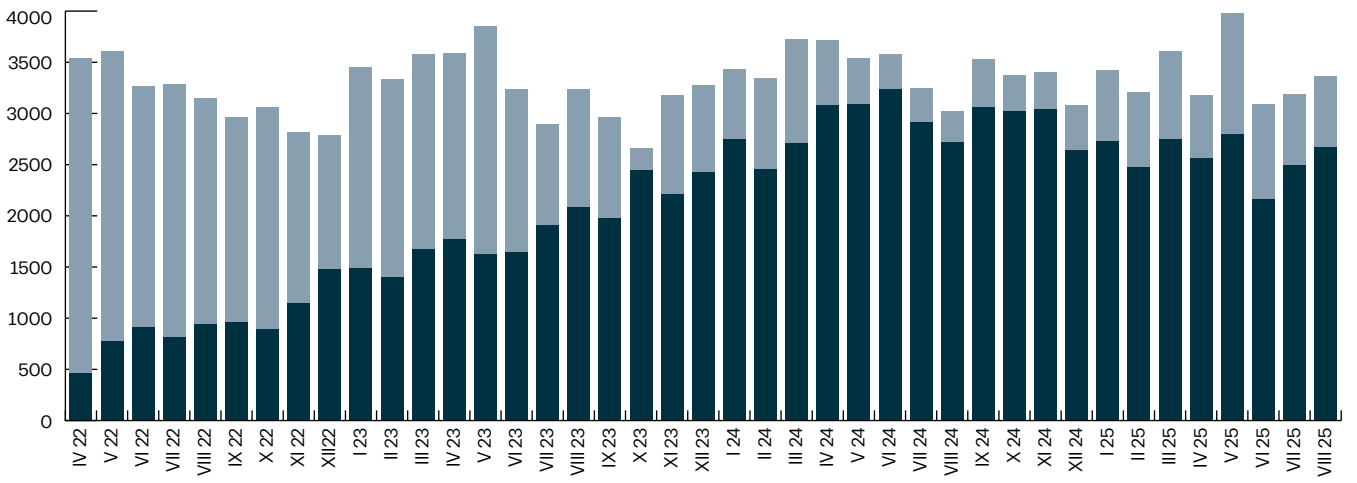

Flota cieni: tankowce powiązane z jurysdykcjami spoza koalicji sankcyjnej i pozbawione ubezpieczenia „IG" P&I.
Flota z „IG" P&I: tankowce powiązane z jurysdykcjami należącymi do koalicji sankcyjnej oraz spoza koalicji, posiadające ubezpieczenie „IG" P&I. Polisa „IG" P&I są to międzynarodowe polisy OC dla armatorów.

INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL / BIQDATA

ŹRÓDŁO: KSE.UA

i oferują „złoty standard" asekuracji od odpowiedzialności cywilnej, w tym od ogromnych kosztów potencjalnego wycieku. Zamiast tego korzystają z niejasnych, często nieznanych firm.

Kolejnym elementem systemu jest rejestracja jednostek pod tanimi banderami, czyli w państwach, które nie egzekwują zachodnich sankcji, mają niskie standardy nadzoru albo świadomie oferują usługę „ty płacisz, my rejestrujemy i nie pytamy" dyktatorom i zachodnim armatorom uciekającym przed podatkami.

Według zeszłorocznej analizy Windward, izraelskiej firmy specjalizującej się w wywiadzie morskim i śledzeniu ruchu statków przy użyciu sztucznej inteligencji, w branży „flota cieni" prym wiodą Panama (29 procent statków), Liberia (19 procent) i sama Rosja (12 procent). Ale pod flagami panamskimi, liberyjskimi i pomniejszymi banderami oraz za skomplikowanymi strukturami własności wykorzystującymi firmy-słupy z siedzibami w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Indiach czy Chinach, też często kryją się Rosjanie.

Aby ukryć pochodzenie ładunku, flota cieni stosuje szereg taktyk. Podstawową jest przeładunek ze statku na statek na pełnym morzu. Rosyjska ropa jest wielokrotnie przelewana między tankowcami, często na zatłoczonych akwenach. Równie skutecznie ślad prowadzący do rosyjskich terminali zaciera mieszanie rosyjskiego surowca z tym od innych, legalnych producentów.

1 RP

• Aktywiści Greenpeace w proteście przeciwko wojnie na Ukrainie blokują w Asgardtrand, w Norwegii, rozładunek ropy z rosyjskiego tankowca „Ust Ługa"

Główni aktorzy „floty cieni"
w proc.

• Panama
29

• Liberia
19

• Rosja
12

• Inne
40. proc

Równie istotne jest manipulowanie systemami identyfikacji. Wszystkie większe statki muszą nadawać ciągły sygnał przez system AIS, który przekazuje dane o pozycji, kursie i tożsamości jednostki. Jednostki floty cieni regularnie ten system wyłączają, „zaciemniając się", zwykle, gdy zbliżają się do stref przeładunku lub do portów, gdzie mogłyby zostać poddane kontroli. Stosowany jest też spoofing, czyli celowe wysyłanie fałszywych danych o lokalizacji, a nawet zmiana nazwy i unikalnego numeru IMO – Międzynarodowej Organizacji Morskiej ONZ – co jest już bezpośrednim naruszeniem prawa morskiego.

Portami docelowymi dla ropy transportowanej przez flotę cieni są przede wszystkim kraje, które nie przyłączyły się do sankcji. Dominują Chiny, Indie i Turcja. Ropa jest tam rafinowana, a „wyprane" produkty naftowe nierzadko trafiają na rynki europejskie.

•

10 miliardów dolarów – tyle, według Kijowskiej Szkoły Ekonomicznej, założonej przez oligarchę i filantropa Wiktora Pinczuka – wydał Kreml po 2022 roku na zakup tankowców. Co ciekawe, jak wynika z analiz Brookings Institution, aż 60 procent z nich sprzedały Rosji zachodnie firmy, głównie greccy armatorzy.

Rosyjska flota cieni to nie jednolita armada, lecz rozproszona sieć. Na początku 2025 roku liczyła około 940 tankowców, co stanowi mniej więcej 17 procent wszystkich aktywnych tankowców na świecie – to wzrost o 45 procent w stosunku do roku poprzedniego. Różne źródła podają jednak rozbieżne szacunki – analitycy z Kijowskiej Szkoły Ekonomicznej identyfikują jej „trzon" jako około 435 statków, podczas gdy Vortexa, firma dostarczająca rozwiązania do śledzenia transportu węglowodorów, szacuje, że łącznie we flocie może działać nawet 1649 jednostek, z których ponad 80 procent Rosjanie kupili na rynku wtórnym od wiosny 2022 roku.

Według analityków Europejskiej Służby Badań Parlamentarnych „średni wiek floty tankowców Moskwy wynosi 18 lat", inne źródła podają 20 lat, gdy przeciętny legalny tankowiec jest młodszy o 5-7 lat. Chodzi nie tylko o to, że starsze statki są tańsze. Są też mniej wartościowe, więc właściciele mniej ryzykują w razie przechwycenia i konfiskaty.

Anonimowy pośrednik zajmujący się takimi transakcjami, do którego dotarli dziennikarze śledczy z Lloyd's List, najstarszego i najbardziej fachowego medium zajmującego się żeglugą, mówi wprost: „To tylko biznes. Zachód narzuca nierealistyczne ceny, my znajdujemy realistyczne rozwiązania. Prawo morskie jest elastyczne".

Głównymi portami załadunku ropy są terminale na Bałtyku w Zatoce Fińskiej – Ust-Ługa i Primorsk – oraz na Morzu Czarnym – Noworosyjsk i Tuapse w Kraju Krasnodarskim.

Dane za pierwsze osiem miesięcy 2024 roku nie zostawiają złudzeń co do skuteczności sankcji. „W porównaniu z 2022 rokiem, liczba tankowców floty cieni przepływających przez Cieśniny Duńskie wzrosła o 277 procent" – podaje European Parliamentary Research Service. Jeszcze większe wzrosty odnotowano w innych newralgicznych punktach: „Cieśniny Kaletańska [najwęższa część kanału La Manche] i Gibraltarska doświadczyły wzrostu o 355 procent, a Kanał Sueski odnotował 649-procentowy wzrost aktywności".

•

Wszystko to, od zakupu starych tankowców po organizację łańcuchów dostaw, wymagało gigantycznych, a przy tym ukrytych przepływów finansowych. Samo ominięcie zachodnich sankcji byłoby niemożliwe bez globalnego systemu prania pieniędzy i sieci pośredników. Dwie pozornie odległe historie – irlandzkiego kartelu Kinahan i ukraińskiego biznesmena-polityka Wiktora Baranskiego – są jaskrawym przykładem, jak przestępcze know-how łączy się z państwowym interesem Rosji.

Kartel Kinahan, uznawany przez amerykański Departament Skarbu za jedną z najniebezpieczniejszych organizacji przestępczych na świecie, potęgę zbudował na handlu narkotykami i bronią. Prawdziwy skok jakościowy nastąpił jednak w momencie, gdy gang nawiązał głębokie relacje z rosyjskim światem przestępczym. Śledztwo „Operation Destabilise" brytyjskiej National Crime Agency ujawniło, że kartel był kluczowym klientem rosyjskich sieci TGR i Smart. Te wyspecjalizowane grupy, powiązane z kremlowską elitą, pomagały gangsterom w konwersji gotówki na kryptowaluty i wydawaniu ich na całym świecie za pomocą przedpłaconych kart – a nimi można płacić swobodnie na całym świecie bez ujawniania tożsamości prawdziwych właścicieli środków. Dla Kinahanów, objętych międzynarodowymi sankcjami, był to interes życia. Ale doświadczenie irlandzki gang zdobył już wcześniej, kiedy – już około 2016 roku – nawiązał współpracę z Iranem.

Pieniądze na zakupy towarów objętych sankcjami czy na zamachy na przeciwników reżimu, których kartel dokonywał na zlecenie ajatollahów, przepływały między innymi przez wyspę Kisz, irańską strefę wolnocłową. Irlandczycy wykorzystywali też swoje liczne zachodnie kontakty – Christy Kinahan senior osobiście próbował kupić części do samolotów dla Iran Air. Tak powstała gotowa infrastruktura finansowa i operacyjna do obsługi zysków Kremla z nielegalnej ropy.

Równolegle z Kinahanami funkcjonował czterdziestoletni dziś Wiktor Baranski, niegdysiejszy radny w Odessie. Jego kariera rozpoczęła się od przyziemnego przewożenia z Polski do Ukrainy fałszywych banknotów euro. Nie został skazany, bo poszedł na współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy. Jego prawdziwa rola wyszła na jaw po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Śledztwa ukraińskiego portalu Antikor ujawniły, że Baranski stał za rozbudowaną siecią spółek, w tym Zolos Shipping z Mołdawii, które tworzyły trzon rosyjskiej floty cieni. Jego przestarzałe i zardzewiałe tankowce z mieszanymi ukraińsko-rosyjskimi załogami, zaczęły obsługiwać nielegalny eksport rosyjskiej ropy. Jednocześnie Baranski inwestował w politykę – według ukraińskich dziennikarzy śledczych zaangażował się w tworzenie Odeskiej Republiki Ludowej, która miała być powołana, jeśli udałby się rosyjski desant na Odessę w 2022 roku. Gdy plany spełzły na niczym, oczyścił swoje serwisy społecznościowe. Nie pomogło, w 2023 roku prezydent Zełenski pozbawił go obywatelstwa.

eprasa.pl 0c26237a5c

Przypadki Kinahanów i Baranskiego pokazują, że państwa-pariasi, jak Rosja czy Iran, coraz sprawniej przekształcają transnarodowe grupy przestępcze w narzędzia swojej polityki. Bez większego oporu zainteresowanych, bo korzyść jest obopólna – dla Kinahanów Rosja stała się finansowym zapleczem zapewniającym środki na inne nielegalne inwestycje oraz bezpieczną przystanią w razie kłopotów.

Dużo mówi się, że wojna w Ukrainie to wojna nowego typu, w której mniej liczy się tradycyjny, ciężki sprzęt w rodzaju czołgów czy samolotów, bardziej nowoczesne technologie bezzałogowe i informatyczne. Ale nowa jest nie tylko broń, nowi są również najemnicy – najemni logistycy, skorumpowani biznesmeni i międzynarodowi gangsterzy.

●

– Pewnego poranka wpadliśmy w wir, ster nie reagował – opowiada Verstka.media, niezależnemu portalowi wpisanemu przez rosyjskie ministerstwo sprawiedliwości do rejestru „agentów zagranicznych" (ale wciąż działającemu w kraju) Aleksander, elektromechanik z tankowca floty cieni. – Statek skręcał, jakby był pijany. Na mostku ludzie krzyczeli. Czułem, że to nie drobna usterka, że możemy zablokować kanał na tygodnie.

Jego jednostka ma 20 lat. Załoga wielokrotnie prosiła o gruntowny remont w doku. Bezskutecznie. – Zahaczyliśmy dno. Po około dwudziestu minutach sterowanie wróciło. Ale mogliśmy stać się drugim „Ever Givenem' – śmieje się młody Rosjanin, nawiązując do sławnego pechowego kontenerowca, który 23 marca 2021 roku zablokował Kanał Sueski. Na sześć dni, ale to wystarczyło, by zaburzyć globalne łańcuchy dostaw na tygodnie.

O codzienności floty cieni opowiada Wiorstce również Paweł, marynarz z Polski. – Przemalowywaliśmy burty, żeby zmienić nazwę i numer IMO. Z „Wasi" stawaliśmy się „Ksiuszczą".

Iwan, pomocnik kapitana, dodaje: – Włączaliśmy program do podmiany danych AIS. Fałszowaliśmy certyfikaty.

Statek, na którym pracował, płynął z Ust-Ługi w stronę Wielkiej Brytanii. Gdy znalazł się u północnych wybrzeży Anglii, Iwan uruchomił na laptopie program podmieniający dane AIS. Zamiast do Wenezueli, statek „płynął" już w stronę Hiszpanii. – Korygowaliśmy w programie kurs i prędkość.

Polak Paweł nie jest jedynym Europejczykiem we flocie cieni. Marynarze z Zachodu nie mają oporów przez zaciąganiem się na rosyjskie tankowce, bo kilka rejsów pozwala ustawić się na lata. Aleksander opowiada o kradzieżach, których dopuszczali się członkowie załóg. Do ich tankowca podpływała inna jednostka i wypompowywali ropę. Michaił z Kerczu dodaje szczegóły: – Zwykle to łódź, która może zabrać około 20 ton ropy.

Kapitan, starszy mechanik, starszy oficer – wszyscy są w zmowie. – Lokalni biznesmeni, którzy zlecali kradzież, dawali załodze gotówkę. Na pokład dosłownie wnoszono wiadro z pieniędzmi – opowiada Michaił. Aleksander zdradza, że podczas jednej z takich akcji kapitan zdołał „ukręcić" dla siebie ponad półtora miliona dolarów, a starszy oficer około 800 tysięcy. Rzadko się zdarza, by coś poszło nie tak. Ubytek surowca uchodzi na sucho, kłopot bywa, gdy komuś przyjdzie do głowy uzupełnić braki wodą i odbiorcy skarżą się armatorowi.

Ale że oni się nie boją? Przecież tak cenne transporty, od których zależy finansowanie wojny, ktoś nadzoruje – zapyta ktoś trzeźwo. Może kapitan odpala dolę ochroniarzom i nadzorcom z FSB, wszak Rosja za Putina korupcją stoi, jak stała i za caratu, i za schyłkowego ZSRR, i za Jelcyna. Ale co innego czasy pokoju, co innego wojna. W optyce Putina – ojczyźniana, więc ktoś, kto upuszcza ropę, upuszcza krwi bohaterom walczącym na froncie. Konsekwencje takiej kradzieży mogą być dosłownie śmiertelne.

Tyle że na pokładzie funkcjonariuszy, którzy mogliby okazać się nieprzekupni, nie ma. Państwo nie zarządza flotą cieni bezpośrednio, tankowce obsługują podwykonawcy – prawdziwi armatorzy, oligarchowie, kartele, szemrani biznesmeni krętacze w rodzaju Baranskiego. Trudno w to uwierzyć, ale dopiero ostatnio armatorzy – na przykład firma Zolos Baranskiego – zaczęli wysyłać na statkach „sekjuriti", czyli ochroniarzy, którzy dwa razy dziennie fotografują burty (a przy okazji pilnują też dyscypliny, na przykład robiąc załodze badania alkomatem). Ale wciąż nie wszyscy, więc jeśli marynarze wpadają, to z chciwości, ktoś zostaje pominięty w podziale zysków i „wszystkich sprzeda", jak na jednym ze statków z reportażu Wiorstki. Pokrzywdzony doniósł i doprowadził do aresztowania starszego mechanika.

Eksport rosyjskiej ropy przez Morze Bałtyckie

Droga wypełnionych ropą tankowców z rosyjskich portów Primorsk i Ust-Ługa na Morze Północne

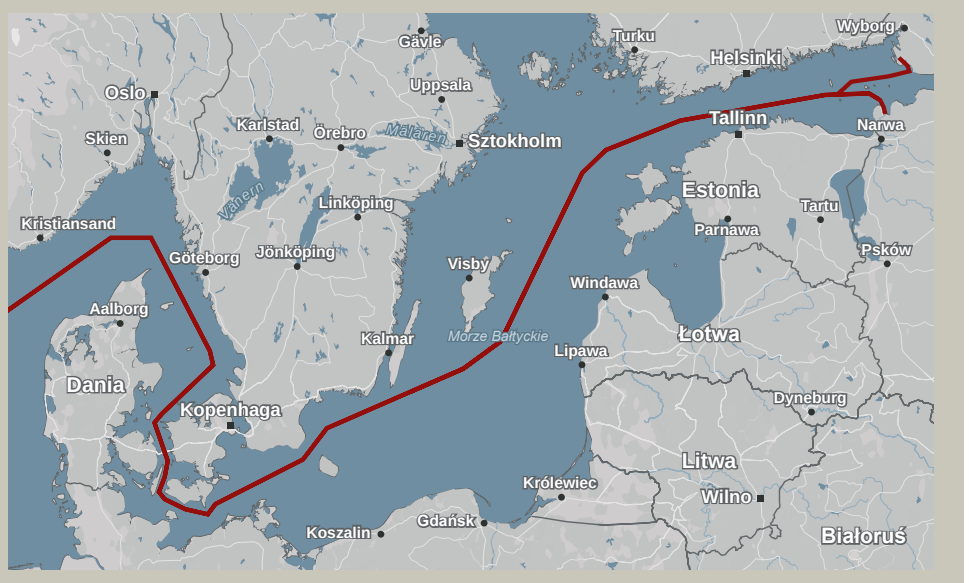

INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL / BIQDATA ŹRÓDŁO: BUNDESWEHR.DE

●

Marynarze nie mają skrupułów nie tylko dlatego, że „okradają złodziei". Również z powodu warunków bytowych na pokładzie.

Michaił z Krymu: – Gdzie nie dotknąłeś palcem – rdza. Sypała się warstwami. Oddychało się tym. W pół godziny dało się wybić dwudziestokilogramowe wiadro rdzy. – Tam można się nie tylko poturbować, tam można zginąć – dodaje, opisując maszynownię, w której z przegniłych rur w każdej chwili mogły wytrysnąć strugi gorącego oleju pod ogromnym ciśnieniem. Przy tym przygoda Aleksandra wydaje się drobnym dyskomfortem – w Dubaju, przy 40 stopniach, na jego statku padła klimatyzacja. „Jeden z mechaników dostał zawału. Nie miał nawet czterdziestu lat".

Atmosfera jest napięta nie tylko przez niewygody i niebezpieczeństwa. Marynarze spoza Rosji zaciągają się do floty cieni dla pieniędzy, nie dla idei, więc na pokładzie ścierają się światopoglądy. Na statku Aleksandra załoga była w jednej trzeciej rosyjska, w jednej trzeciej ukraińska i w jednej trzeciej gruzińska. – Mieliśmy spawacza i tokarza – Ukraińców, byli to wspaniali ludzie. Jeśli coś, to pomagali, podpowiadali – wspomina. Ale jeden z ukraińskich marynarzy, sześćdziesięcioletni, „non stop prowokował" Rosjan. – Przechodził koło nas, kiedy paliliśmy po pracy, i pytał: no jak, terroryści, odpoczywa się wam? Innym razem rosyjski marynarz dla żartu napisał palcem na zakurzonym zbiorniku ciśnieniowym „chuj". Pochodzący z Odessy Witalij dopisał „ło", tworząc popularny na ukraińskich forach internetowych epitet „chujło" i zaczął dopisywać „Pu...", ale kolega poprosił go ze śmiechem: „nie trzeba – zetrzyj".

Gdy rozmowa zahaczała o politykę, wybuchały ostre spory. Ale gdy ktoś miał ludzki problem, na przykład ze zdrowiem, kłótnie schodziły na plan dalszy – wspominają marynarze.

Wojna w Ukrainie to wojna nowego typu, w której mniej liczy się tradycyjna broń w rodzaju czołgów czy samolotów, bardziej nowoczesne technologie bezzałogowe i informatyczne. Ale nowi są również najemnicy – logistycy, skorumpowani

●

Boracay to niezwykle piękna wyspa na Filipinach. Ale historia tankowca o tej nazwie odsłania jeszcze jeden zdecydowanie niepiękny wymiar działalności rosyjskiej floty cieni. Według danych ze strony Marine Traffic, przeanalizowanych przez agencję AFP, statek znajdował się u wybrzeży Danii od 22 do 25 września. To właśnie wtedy Dania doświadczyła serii tajemniczych incydentów z dronami, które sparaliżowały transport lotniczy, zmuszając do czasowego zamknięcia lotniska w Kopenhadze. „Boracay" był wtedy 50 mil morskich – około 92 kilometry – od duńskiej stolicy. Prezydent Emmanuel Macron, komentując abordaż, mówił o „bardzo poważnych wykroczeniach załogi", a zapytany o możliwy związek z incydentami dronowymi, odpowiedział wymijająco: „Nie wykluczam tego wcale". Premierka Frederiksen była bardziej bezpośrednia: „Istnieje tylko jeden kraj chętny nam zagrozić i jest to Rosja".

„Boracay" najpewniej posłużył jako lotniskowiec dla dronów, natomiast inny statek z floty cieni, „Eagle S", posłużył Rosjanom okręt inżynieryjno-zwiadowczy. Fińskie władze zatrzymały go pod koniec zeszłego roku pod zarzutem uszkodzenia pięciu kabli podmorskich – w tym kabla energetycznego Estlink łączącego Finlandię z Estonią. Metoda sabotażu – kotwica ciągnięta po dnie – była mało wyrafinowana, ale podczas rewizji odkryto na pokładzie zaawansowany sprzęt szpiegowski do monitorowania ruchów okrętów wojennych.

Historie „Boracay" i „Eagle S" dowodzą, że Rosjanie zaczynają nadążać w kreatywności za Ukraińcami, błyskawicznie improwizującymi i łączącymi najprostsze rozwiązania z wysoką technologią. Skoro Flota Bałtycka nie może wychylić nosa z Królewca, bo dzięki Finlandii i Szwecji Bałtyk zmienił się w „wewnętrzne jezioro NATO", zastępuje ją flota cieni, ewoluując z czysto ekonomicznego narzędzia w hybrydową, wielozadaniową marynarkę wojenną. Rosjanie dysponują pływającymi platformami szpiegowskimi, lotniskowcami dla bezzałogowców, narzędziami sabotażu.

Oraz tykającymi bombami ekologicznymi.

Przez Bałtyk, morze płytkie i o ograniczonej wymianie wód, płynie – jak wylicza Bloomberg – 42 procent rosyjskiego morskiego eksportu ropy. – Bardzo stare statki zwiększają ryzyko katastrofy ekologicznej – zauważa Natalia Gozak, dyrektor Greenpeace Ukraina, a analitycy IISS odnotowują, że już „liczba incydentów dotyczących tych tankowców wzrosła do około dwóch miesięcznie". Statki wchodzą na mieliznę, dochodzi do kolizji i awarii. Czym to się może skończyć, unaocznia katastrofa, do jakiej doszło w grudniu 2024 w Cieśninie Kerczeńskiej między morzami Azowskim a Czarnym. Dwa stare tankowce – „Wołgonieft 212" i „Wołgonieft 239" – uległy uszkodzeniu podczas sztormu. Jeden złamał się na pół i zatonął, drugi osiadł na mieliźnie. Straty ekologiczne wskutek masowego wycieku szacuje się na blisko miliard dolarów.

A skoro Rosjanie nie wahali się podłożyć ładunków wybuchowych w samolotach DHL startujących z Birmingham i Lipska, raczej ich nie martwi, że jej wybuch w zamkniętym akwenie Bałtyku miałby nieodwracalne skutki.

●

We wrześniu i w początkach października Ukraińcy na dużą skalę kontynuowali ataki na rosyjskie rafinerie. Analitycy szacują, że zniszczenia objęły co najmniej jedną piątą mocy przerobowych tych zakładów. Ale ten sukces oznacza, że Rosja musi coś zrobić z przerabianą dotychczas u siebie ropy – więc zwiększy eksport surowca. I flota cieni będzie pływać jeszcze częściej i dalej. Scenariusze są cztery, przy czym pierwszy nie wyklucza pozostałych.

Pierwszy, coraz bardziej prawdopodobny, skoro rosyjski ruch na morzach rośnie, **to katastrofa**. Wyobraźmy sobie stary tankowiec floty cieni, którego zardzewiały kadłub nie wytrzymuje sztormu w okolicach Zatoki Gdańskiej. Wyciekają dziesiątki tysięcy ton ropy, a prądy morskie niosą czarną, śmierdzącą plamę w stronę polskiego brzegu, zatruwając na dziesięciolecia unikalny ekosystem i niszcząc podstawy utrzymania lokalnych społeczności. Byłaby to tragedia porównywalna z katastrofami tankowców „Exxon Valdez" w 1989 roku u wybrzeży Alaski czy „Prestige" w 2002 roku przy brzegach hiszpańskiej Galicji.

Drugi, optymistyczny, to **stopniowe dławienie floty cieni przez Zachód**. „Rejsy z naruszeniem sankcji mogłyby być interpretowane jako bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa europejskich państw nadbrzeżnych, a to pozwoliłoby na przechwycenia i abordaże" – wskazuje IISS. Byłaby to jednak gra niezwykle niebezpieczna, obarczona ryzykiem otwartej konfrontacji z desperacko potrzebującą pieniędzy Rosją.

Trzeci, też nie najgorszy, to **załamanie samego systemu floty cieni**. Rosyjska gospodarka, mimo dopływu pieniędzy z nielegalnego eksportu i zastąpienia zachodniego handlu i technologii azjatyckimi, głównie chińskimi, jest pod coraz większą presją. Koszty utrzymania starzejącej się i awaryjnej floty rosną. Jeden czy nawet pięć tankowców można spisać na straty, ale gdy zaczną sypać się dziesiątki, skomplikowana machina po prostu przestanie się opłacać.

No i **czwarty – tankowiec przeistacza się w lotniskowiec** dla rojów niezidentyfikowanych dronów, które precyzyjnie uderzą w krytyczną infrastrukturę państw NATO.

Żaden ze scenariuszy nie wyklucza pozostałych. I jeśli nie czwarty, to pierwszy wcześniej czy później się zrealizuje. Bo flota cieni jest jak strzelba u Czechowa – zawieszona na ścianie w pierwszym akcie, w drugim wystrzeli. ●

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

KTO SIĘ NIE BOI WATYKANU

FOT. LUKAS BARTH/GETTY IMAGES

• **Protest przeciw molestowaniu seksualnemu przez księży przed bawarską Akademią Katolicką. Monachium, 27 stycznia 2022 r.**

Widzimy, co się dzieje, gdy traktuje się Kościół jak zwykły podmiot podlegający prawu.

Artur Nowak

Watykan – najmniejsze państwo świata, niewiele większe od lotniska – przez dekady korzystał z nieformalnego przywileju nietykalności. Trudno inaczej wytłumaczyć bezkarność hierarchów, którzy nie tylko łamali prawo, lecz także z zapałem ingerowali w politykę świeckich państw.

Dopiero XXI wiek przyniósł pierwsze pęknięcia w watykańskim pancerzu. Po aferach pedofilskich kolejne państwa zaczęły sięgać po narzędzia prawne, dyplomatyczne i medialne, by rozliczyć nie tylko sprawców w sutannach, ale też instytucję, która ich chroniła. Przyjrzyjmy się, jak demokratyczne państwa – niezależnie od poziomu religijności – potrafiły wymusić na Watykanie prawdziwy szacunek.

1 RP

Irlandia

Ambasadorowi dziękujemy

Reakcja Irlandii, niegdyś uznawanej za bastion katolicyzmu, była jednym z pierwszych i najbardziej stanowczych przykładów dyplomatycznego starcia z Watykanem. Po ujawnieniu kolejnych skandali – głośne raporty Ryana i Murphy'ego z 2009 roku oraz raport Cloyne z 2011 – irlandzki rząd wyraził nie tylko oburzenie, ale też jasno wskazał winnych – Kościół i Watykan.

Raport Ryana opisał systemową, wieloletnią przemoc seksualną, fizyczną i psychiczną w katolickich szkołach i ośrodkach prowadzonych przez zakony, wskazując na setki skrzywdzonych dzieci. Raport Murphy'ego ujawnił skalę tuszowania nadużyć przez archidiecezję dublińską – dokumentując, jak biskupi i prawnicy Kościoła celowo unikali zgłaszania spraw organom ścigania.

Z kolei raport Cloyne dowiódł, że nawet po wprowadzeniu w 1996 roku nowych wytycznych dotyczących ochrony dzieci władze diecezji Cloyne – w porozumieniu z nuncjaturą apostolską – nadal ignorowały zgłoszenia ofiar i lekceważyły prawo państwowe.

Kulminacją był wystąpienie premiera Endy Kenny'ego 20 lipca 2011 roku w parlamencie. Kenny, praktykujący katolik z tradycyjnej społeczności zachodniej Irlandii, nie przebierał w słowach. Oskarżył kurię rzymską o „dysfunkcję, oderwanie, elitaryzm i narcystyczną pogardę", która „stawiała instytucję ponad ofiarami".

Słowami: „To nie jest Rzym, to jest Republika Irlandii roku 2011 – republika praw", zaznaczył nadrzędność prawa świeckiego nad kanonicznym. Podkreślił, że gwałty i tortury dzieci były przez Kościół zamiatane pod dywan w imię ochrony dobrego imienia instytucji.

Parlament jednogłośnie potępił ingerencję Watykanu w irlandzki system ochrony dzieci, a rząd poważnie rozważał wydalenie nuncjusza apostolskiego. Choć ostatecznie go nie wyrzucono, już w listopadzie 2011 roku Irlandia zamknęła ambasadę przy Stolicy Apostolskiej – po raz pierwszy od nawiązania stosunków z Watykanem w 1929 roku. Był to gest ogromnej wagi symbolicznej. Oficjalnie gabinet Kenny'ego tłumaczył tę decyzję redukcją kosztów, lecz powszechnie odczytano ją jako wyraz dezaprobaty wobec Watykanu.

Trybunał Sprawiedliwości UE orzekł, że autonomia Kościołów nie usprawiedliwia dyskryminacji, na przykład zwolnienia pracownika za życie w związku jednopłciowym

Irlandia była pierwszym dużym tradycyjnie katolickim państwem, które zamknęło misję dyplomatyczną w Rzymie, a relacje Dublin – Watykan spadły na najniższy poziom w historii.

W lipcu 2011 roku Watykan odwołał swojego ambasadora (nuncjusza) „na konsultacje" – ruch niemal bez precedensu, świadczący o powadze kryzysu.

Irlandzka opinia publiczna w większości poparła ostry kurs rządu. Napłynęły tysiące listów poparcia dla stanowiska premiera, nawet od księży i zakonnic.

Irlandzkie raporty sugerowały też, że Watykan powinien wziąć odpowiedzialność finansową za szkody wyrządzone ofiarom. Stolica Apostolska zrozumiała jednak, że przyznanie się do takiej odpowiedzialności mogłoby otworzyć drogę do fali pozwów i odszkodowań sięgających setek milionów euro. Nic dziwnego, że w reakcji Watykan ograniczył się do dyplomatycznych nut – wyraził „wstyd i ubolewanie", ale jednocześnie bronił swoich intencji i unikał wiążących deklaracji.

Mimo to irlandzki precedens pokazał, że nawet głęboko katolickie państwo może otwarcie przeciwstawić się Stolicy Apostolskiej, jeśli dobro obywateli – zwłaszcza dzieci – jest zagrożone.

eprasa.pl 0c26237a5c

Stany Zjednoczone

Prawo świeckie kontra watykański azyl

W Stanach Zjednoczonych punktem zwrotnym była publikacja w styczniu 2002 roku serii artykułów „Spotlight" w Boston Globe. Ameryka zamarła: ujawniono dokumenty archidiecezji Bostonu pokazujące, że kardynał Bernard Law przez lata przenosił księży oskarżanych o molestowanie dzieci z parafii do parafii, nie informując organów ścigania. W marcu 2002 roku prokuratura w Massachusetts badała możliwość postawienia Lawowi zarzutów utrudniania śledztwa lub narażenia nieletnich na niebezpieczeństwo. Problem w tym, że w ówczesnym prawie stanu brakowało przepisu czyniącego takie zaniechanie przestępstwem.

Law nie ustępował mimo presji mediów i wiernych. 13 grudnia 2002 roku, po wezwaniu do złożenia zeznań przed wielką ławą przysięgłych, niespodziewanie poleciał do Rzymu. Na ręce Jana Pawła II złożył rezygnację z urzędu arcybiskupa Bostonu – papież przyjął ją natychmiast, chwaląc kardynała za „wieloletnią służbę Kościołowi".

W Bostonie zawrzało: w oczach opinii publicznej Law właśnie znalazł schronienie przed amerykańską Temidą. Przez następne miesiące ukrywał się za watykańskimi murami. Organizacje ofiar i część kongresmenów wzywały Departament Stanu USA, by domagał się jego wydania do przesłuchania – Waszyngton powtarzał jedynie: „Nie komentujemy działań obcego państwa wobec jego obywateli". Watykan z kolei nie zamierzał ryzykować precedensu – wydania wysoko postawionego hierarchy świeckiemu wymiarowi sprawiedliwości.

W maju 2004 roku Jan Paweł II mianował Lawa archiprezbiterem bazyliki Santa Maria Maggiore, to prestiżowa funkcja w sercu Rzymu. Oburzenie w Bostonie było ogromne. „To policzek wymierzony ofiarom i społeczeństwu" – skomentował prawnik Mitchell Garabedian reprezentujący setki poszkodowanych.

Kardynał Law pozostał w Rzymie aż do emerytury w 2011 roku, unikając podróży do USA. Gdy zmarł w grudniu 2017, Watykan wyprawił mu uroczysty pogrzeb z pełnymi honorami.

Sprawa Lawa stała się symbolem nowego zjawiska: szukania azylu w Watykanie przez duchownych z zarzutami w innych krajach. W pamięci opinii publicznej została wymowna scena – kardynał spacerujący po rzymskich krużgankach, podczas gdy po drugiej stronie oceanu ofiary czekały na sprawiedliwość.

Drugi punkt zwrotny w USA nastąpił w 2018 roku, gdy Wielka Ława Przysięgłych w Pensylwanii opublikowała raport z dwuletniego dochodzenia. Ten 1300-stronicowy dokument ujawnił, że w ciągu siedmiu dekad co najmniej 301 księży w sześciu diecezjach dopuściło się nadużyć wobec ponad tysiąca zidentyfikowanych ofiar – przy czym rzeczywista liczba ofiar mogła być wielokrotnie wyższa.

Raport szczegółowo opisywał nie tylko zbrodnie, ale także ich tuszowanie: fałszowanie akt, wywieranie presji na ofiary i ich rodziny, przenosiny sprawców między parafiami pod pozorem „terapii" w ośrodkach kościelnych zamiast zgłaszania ich organom ścigania.

Próbowano pociągnąć do odpowiedzialności nie tylko pojedynczych sprawców i diecezje, ale także sam Watykan. Ofiary wytaczały procesy cywilne, pozywając Stolicę Apostolską jako instytucję nadrzędną – argumentując, że papież i kuria rzymska sprawowali bezpośrednią kontrolę nad biskupami, którzy tuszowali nadużycia.

Watykan bronił się, powołując się na amerykańską ustawę Foreign Sovereign Immunities Act gwarantującą państwom obcym immunitet przed sądami USA. Co istotne, w 2010 roku administracja Baracka Obamy oficjalnie poparła stanowisko Watykanu przed Sądem Najwyższym – stając na stanowisku, że nie można uznać szeregowych księży za „pracowników" Stolicy Apostolskiej w rozumieniu prawa, co chroni Watykan przed odpowiedzialnością. Sąd Najwyższy odmówił rozpatrzenia sprawy, co praktycznie położyło kres tym konkretnym pozwom.

FOT. DAVID MCNEW/GETTY IMAGES

• **Lee Gallegos przed budynkiem sądu okręgowego Los Angeles. Zdjęcie, które trzyma, przedstawia jego samego w wieku 7 lat z księdzem, który miał go molestować, 16 lipca 2007**

> W poszukiwaniu ukrytych dokumentów belgijscy śledczy rozkuli fragmenty posadzki oraz otworzyli krypty dwóch zmarłych biskupów

Mimo to w 2018 roku Departament Sprawiedliwości podjął bezprecedensowy krok: wysłał do wszystkich 197 diecezji katolickich w USA formalne pisma wzywające do zabezpieczenia i przekazania wszelkiej dokumentacji dotyczącej nadużyć seksualnych.

Ta ogólnokrajowa inicjatywa – stosowana przy przestępstwach federalnych, jak korupcja czy handel ludźmi – objęła nie tylko akta personalne księży, ale też korespondencję wewnętrzną, notatki biskupów i dokumenty przesyłane do Watykanu.

Departament jasno ostrzegł, że zniszczenie lub ukrycie tych materiałów będzie traktowane jako przestępstwo utrudniania śledztwa federalnego. Formalnie nie podważono immunitetu Watykanu, ale ten ruch wysłał czytelny sygnał: żaden Kościół – nawet reprezentowany przez państwo-miasto w Rzymie – nie stoi ponad porządkiem konstytucyjnym i prawem obywateli.

Warto dodać, że już wcześniej amerykański wymiar sprawiedliwości szukał sposobów, by pociągnąć instytucje kościelne do odpowiedzialności. W latach dziewięćdziesiątych ofiary pozywały diecezje i wygrywały wielomilionowe odszkodowania. Głośnym echem odbił się na przykład wyrok sądu w Dallas w 1997 roku, który przyznał ofiarom molestowań 119,6 miliona dolarów odszkodowania – uznając, że diecezja świadomie ukrywała przestępstwa księdza Rudolfa „Rudy'ego" Kosa.

Była to wówczas najwyższa suma zasądzona w takiej sprawie, a jednocześnie sygnał, że świeckie sądy mogą srogo ukarać instytucję kościelną za systemowe zaniedbania.

Niemcy

Od luksusowego biskupa po świeckie prawo pracy

W Niemczech, gdzie Kościół katolicki jest finansowany z podatku kościelnego (Kirchensteuer) i tradycyjnie cieszył się sporymi przywilejami, ujawnione skandale pedofilskie wywołały szok społeczny – oraz pytania o finansowanie instytucji, która latami tuszowała przestępstwa.

Niemieckie państwo zareagowało systemowo. Już w 2010 roku powołano „okrągły stół" z udziałem Kościołów i organizacji świeckich; wydłużono terminy przedawnienia dla przestępstw seksualnych wobec nieletnich; utworzono fundusz odszkodowań dla ofiar; uruchomiono ogólnokrajową infolinię dla poszkodowanych.

Co unikatowe, umożliwiono niezależnym naukowcom dostęp do archiwów personalnych księży, by zbadali skalę nadużyć. Efektem była obszerna niezależna analiza (tak zwany raport MHG z 2018 roku), która ujawniła 3677 udokumentowanych przypadków wykorzystywania seksualnego w niemieckim Kościele w latach 1946-2014.

W odpowiedzi Kościół w Niemczech uruchomił proces tak zwanej „Drogi Synodalnej", aby zreformować swoje struktury – ale to już działania wewnętrzne.

Bez zaangażowania państwa, które pokazało, że sprawy pedofilii traktuje poważnie, nigdy by do tego nie doszło.

W Niemczech stanowisko władz wobec nadużyć seksualnych było jednoznaczne. Kanclerz Angela Merkel już w 2010 roku mówiła o „wstrząsie moralnym" i konieczności pełnego rozliczenia, niezależnie od autorytetu czy instytucji.

Ówczesna minister sprawiedliwości Sabine Leutheusser-Schnarrenberger otwarcie krytykowała Watykan, nazywając go hamulcowym w śledztwach dotyczących pedofilii. Niemiecka prokuratura nie wahała się przeszukiwać siedzib kościelnych i konfiskować dokumentacji – choćby w przypadku skandalu w chórze katedralnym w Ratyzbonie.

Symbolem napięć na linii państwo – Kościół stała się sprawą „biskupa luksusu" Franza-Petera Tebartza-van Elsta z diecezji Limburg. W latach 2010-13 wydał on potajemnie ponad 30 milionów euro na przebudowę swojej rezydencji (w tym 15 tysięcy euro na wannę i ogród na dachu). Gdy skala wydatków wyszła na jaw, prokuratura wszczęła postępowanie karne przeciw biskupowi za składanie fałszywych zeznań, a Watykan – pod ogromną presją opinii publicznej i oburzonych władz świeckich – odsunął hierarchę od pełnienia funkcji.

Autonomia Kościoła została zdefiniowana na nowo – to autonomia w ramach demokratycznego państwa prawa, a nie ponad nim.

Niemieccy politycy i sądy zakwestionowali część przywilejów konkordatowych dotyczących zatrudniania pracowników przez instytucje kościelne. Trybunał Sprawiedliwości UE orzekł w 2018 roku, że autonomia Kościołów w sprawach pracowniczych nie usprawiedliwia dyskryminacji, na przykład zwolnienia pracownika za ponowny ślub cywilny czy życie w związku partnerskim.

Pod wpływem orzeczeń europejskich sądów niemiecki Kościół katolicki zliberalizował w 2015 roku swoje wewnętrzne prawo pracy. Obecnie świeccy pracownicy kościelnych szkół, szpitali czy organizacji charytatywnych, którzy są rozwiedzeni i w nowych związkach lub żyją w związkach jednopłciowych, nie tracą z automatu pracy – wcześniej groziło im za to zwolnienie.

Mogą zostać zwolnieni jedynie w „szczególnie rażących" przypadkach podważających wiarygodność Kościoła, na przykład publicznego propagowania treści jawnie sprzecznych z nauczaniem – w rodzaju mowy nienawiści, nawoływania do przemocy i tym podobnie. To pokazuje, że świeckie standardy praw człowieka zaczęły ograniczać nawet tak – wydawałoby się – „wewnętrzne" kwestie, jak wymagania moralne wobec pracowników instytucji kościelnych.

Francja

Prawo Republiki i „tajemnica spowiedzi"

We Francji zasada laickości jest wpisana do konstytucji i stanowi fundament relacji państwo – Kościół. Nic dziwnego, że kolejne francuskie rządy z rezerwą podchodziły do Watykanu.

Gdy w 2009 roku brytyjski biskup tradycjonalistycznego Bractwa św. Piusa X Richard Williamson, który wrócił na łono Kościoła rzymsko-katolickiego, publicznie negował Holocaust, francuskie władze zareagowały stanowczo. Ówczesny prezydent Nicolas Sarkozy i MSZ wezwali nuncjusza apostolskiego, domagając się od Watykanu jednoznacznego odcięcia od tych słów. Przypomniano, że negowanie Zagłady jest we Francji przestępstwem, co stanowi granicę nieprzekraczalną nawet dla wolności religijnej.

Kryzys w relacjach państwo – Kościół wybuchł po opublikowaniu we Francji raportu Niezależnej Komisji do spraw Nadużyć Seksualnych w Kościele (CIASE) w 2021 roku. Dokument komisji kierowanej przez Jeana-Marca Sauvé ujawnił, że od 1950 roku duchowni katoliccy skrzywdzili we Francji ponad 216 tysięcy nieletnich, a liczba ta rośnie do około 330 tysięcy, jeśli uwzględnić świeckich pracowników Kościoła.

Raport potwierdził, że Kościół systemowo tuszował przestępstwa, i wskazał na brak współpracy z wymiarem sprawiedliwości i kulturę instytucjonalnej zmowy milczenia.

Podjęto dyskusję nad zniesieniem lub ograniczeniem tajemnicy spowiedzi w sytuacjach, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo dzieci. Krótko po publikacji raportu przewodniczący episkopatu abp Éric de Moulins-Beaufort niefortunnie oświadczył w wywiadzie, że „tajemnica spowiedzi jest silniejsza niż prawa Republiki".

Wypowiedź ta wywołała polityczne trzęsienie ziemi. Minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin natychmiast wezwał arcybiskupa na dywanik i publicznie przypomniał, że każdy obywatel – także ksiądz – podlega prawu, a w przypadku posiadania wiedzy o przestępstwach wobec dzieci ciąży na nim

eprasa.pl 0c26237a5c

prawny obowiązek zgłoszenia tego faktu, niezależnie od okoliczności uzyskania informacji.

W innej głośnej sprawie, gdy nuncjusz apostolski w Paryżu abp Luigi Ventura został oskarżony w 2019 roku o molestowanie kilku mężczyzn, Watykan uchylił mu immunitet dyplomatyczny. Dzięki temu francuski wymiar sprawiedliwości mógł postawić dyplomatę przed sądem. Ventura w 2021 roku został skazany, w zawieszeniu.

Był to pierwszy przypadek w historii, by ambasador Watykanu odpowiedział karnie przed obcym sądem za czyny popełnione podczas misji dyplomatycznej. Ten precedens pokazał, iż Watykan – gdy stoi przed groźbą poważnego kryzysu dyplomatycznego – jednak potrafi ustąpić.

Belgia

„Operacja Kielich"

W ramach śledztwa w sprawie pedofilii w Kościele prokuratura w Brukseli zorganizowała zmasowane naloty policji na siedziby kościelne. Uzbrojeni funkcjonariusze wkroczyli do pałacu arcybiskupiego w Mechelen, gdzie właśnie obradowała konferencja episkopatu z udziałem nuncjusza, a także do rezydencji emerytowanego kardynała Godfrieda Danneelsa oraz do siedziby niezależnej komisji kościelnej badającej przypadki molestowania. Policjanci zabezpieczyli komputery i setki teczek z aktami – dotyczyły 475 spraw.

W poszukiwaniu ukrytych dokumentów śledczy rozkuli fragmenty posadzki oraz otworzyli krypty dwóch zmarłych biskupów w katedrze św. Rumbolda w Mechelen.

Te drastyczne środki oburzyły Watykan – ówczesny sekretarz stanu kardynał Tarcisio Bertone mówił o „bezprecedensowej" profanacji i porównał działania policji do powieści Dana Browna. Stolica Apostolska wystosowała formalny protest dyplomatyczny, a Benedykt XVI wyraził „szok" i potępił „metody stosowane wobec Kościoła".

Odpowiedź belgijskich władz była chłodna i stanowcza. Minister sprawiedliwości Stefaan De Clerck przypomniał, że w Belgii prokuratura działa w pełni niezależnie, a w demokratycznym państwie prawa nikt nie stoi ponad prawem – niezależnie od koloru sutanny czy rangi w hierarchii.

Belgijskie media ochrzciły akcję mianem „Operatie Kelk" („Operacja Kielich"). Choć w późniejszych latach część działań śledczych sąd zakwestionował, uznając na przykład przeszukanie komisji Adriaenssensa za zbyt daleko idące i nakazując zwrot akt, to symboliczny wydźwięk wydarzeń z czerwca 2010 roku był ogromny. Państwo pokazało, że w konfrontacji o prawa ofiar żadne świętości nie będą respektowane, jeśli mogą kryć dowody przestępstw.

W Belgii szybko posypały się też dymisje. Już w kwietniu 2010 roku, dwa miesiące przed operacją „Kielich", do odejścia został zmuszony biskup Brugii Roger Vangheluwe, który przyznał się do wieloletniego wykorzystywania seksualnego swojego siostrzeńca.

Potem ujawniono nagranie, na którym kardynał Danneels, prymas Belgii w latach 1979-2010, próbował nakłonić bratanka Vangheluwe do milczenia „dla dobra Kościoła".

Te skandale przyczyniły się do gwałtownego spadku zaufania do instytucji kościelnych w Belgii.

Chile

Episkopat podaje się do dymisji

Przykładem najbardziej spektakularnego rozliczenia Kościoła przez państwo w ostatnich latach jest Chile. Przez dekady Watykan ignorował sygnały o molestowaniu nieletnich przez charyzmatycznego księdza Fernanda Karadimę. Dopiero gdy papież Franciszek w 2018 roku wysłał tam emisariuszy z zadaniem zbadania afery, ruszyła lawina wydarzeń.

Okazało się, że problem dotyczy systemowego tuszowania nadużyć przez wielu biskupów. Chilijscy prokuratorzy nie czekali na watykańskie decyzje: wkroczyli do siedzib 34 diecezji i kurii, zabezpieczając ogromne archiwa kościelne. Policja i śledczy przeprowadzili głośne rewizje nawet w siedzibie Konferencji Episkopatu w Santiago.

W maju 2018 cały chilijski episkopat – wspomnianych 34 biskupów – podał się do dymisji, uznając swoją współodpowiedzialność. Papież przyjął rezygnacje kilkunastu najbardziej skompromitowanych, innych odsunął od rządów nad diecezjami.

Arcybiskup Santiago, kardynał Ricardo Ezzati, stanął przed prokuraturą, ostatecznie uniknął oskarżenia z powodu braku dowodów na czynną zmowę.

Wprowadzono również zmiany w prawie – w 2019 roku chilijski parlament zniósł przedawnienie dla przestępstw seksualnych wobec małoletnich, aby ofiary mogły dochodzić sprawiedliwości nawet po latach. Chilijskie sądy cywilne zaczęły też zasądzać odszkodowania od diecezji na rzecz ofiar – ofiary księdza Karadimy wygrały proces przeciw archidiecezji Santiago o zadośćuczynienie finansowe.

Tu Watykan nie chował głowy w piasek. Papież Franciszek najpierw spotkał się z chilijskimi ofiarami w Rzymie, a potem publicznie przeprosił za swoje wcześniejsze błędne oceny. Przyznał: „Byłem częścią problemu", bo początkowo bronił biskupa Juana Barrosa oskarżanego o tuszowanie sprawy Karadimy. Następnie wezwał cały episkopat Chile do Rzymu na dywanik. Efektem – bez precedensu w historii – było wspomniane zbiorowe złożenie dymisji przez biskupów.

Watykan współpracował z chilijskimi władzami: udostępniał wewnętrzne akta duchownych, co na przykład ułatwiło skazanie w Chile kilku księży oraz przyczyniło się do wydalenia ze stanu kapłańskiego Karadimy.

Jak trafnie podsumowała Anne Barrett Doyle z organizacji BishopAccountability: „Bezkarność chilijskiej hierarchii dobiegła końca. W Chile widzimy, co się dzieje, gdy traktuje się Kościół jak zwykły podmiot podlegający prawu".

To przesłanie nie umknęło uwadze innych krajów ani Watykanu.

Australia

Komisja królewska i kardynał przed sądem

Australia zapisała się w dziejach rozliczania Kościoła przede wszystkim dzięki bezprecedensowej Królewskiej Komisji do spraw Reakcji Instytucji na Wykorzystywanie Seksualne Dzieci (Royal Commission into Institutional Responses to Child Sexual Abuse) działającej w latach 2013-17.

Przez pięć lat Komisja przesłuchała tysiące świadków i ofiar, przeanalizowała niezliczone dokumenty z archiwów kościelnych, szkół, sierocińców i organizacji społecznych. Badała, jak rozmaite instytucje reagowały na zgłoszenia przemocy seksualnej wobec nieletnich, jak wyglądały mechanizmy tuszowania, przenoszenia sprawców w inne miejsca oraz jakie struktury i praktyki umożliwiały im dalsze krzywdzenie dzieci.

Raport końcowy Komisji wstrząsnął opinią publiczną. Ujawnił między innymi, że ponad 60 procent wszystkich opisanych przypadków dotyczyło instytucji katolickich. Wskazano dziesiątki systemowych zaniedbań, a także sformułowano ponad 200 re-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34397630

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ" SPECJALNY DODATEK

Wspominamy tych, którzy odeszli

Joanna Kołaczkowska, Stanisław Tym, prof. Adam Strzembosz, Robert Redford, papież Franciszek i inni

Ponad 100 sylwetek zmarłych w minionym roku

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

komendacji dla rządu i instytucji w celu poprawy ochrony dzieci.

W raporcie znalazła się też kwestia tajemnicy spowiedzi. Komisja stwierdziła, że obowiązek zachowania poufności w konfesjonale nie może być nadrzędny wobec ochrony dzieci, i zarekomendowała wprowadzenie przepisów zobowiązujących duchownych do zgłaszania przypadków wykorzystania seksualnego, nawet jeśli dowiedzieli się o nich podczas spowiedzi.

Kilka stanów, w tym Australia Południowa i Australijskie Terytorium Stołeczne, wprowadziło przepisy znoszące ochronę tajemnicy spowiedzi w sytuacjach, gdy chodzi o bezpieczeństwo małoletnich. Kościół katolicki początkowo stanowczo odrzucił ten wymóg, powołując się na wolność religijną i argumentując, że spowiednik nie może ujawniać treści wyznania pod groźbą ekskomuniki.

Jednak w praktyce, w obliczu nowych przepisów i presji społecznej, musiał się pogodzić z tym, że zasady gry uległy zmianie. W przyszłości duchowni, którzy odmówią zgłoszenia wiadomego im przypadku molestowania dziecka, mogą sami zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

Symboliczna dla Australijczyków była sprawa kardynała George'a Pella – watykańskiego „ministra finansów" i jednego z najpotężniejszych hierarchów Kościoła, a dawniej metropolity Sydney. W 2017 roku australijska policja postawiła mu zarzuty molestowania dwóch nieletnich ministrantów – w latach dziewięćdziesiątych, kiedy był arcybiskupem Melbourne.

Watykan nie próbował go chronić immunitetem – Pell sam z niego zrezygnował i dobrowolnie wrócił do kraju stanąć przed sądem. Został skazany na 6 lat więzienia. Był to absolutnie bezprecedensowy wyrok: kardynał w celi za czyny pedofilskie.

Co prawda po ponad roku Pell został uniewinniony w drugiej instancji odwoławczej – Sąd Najwyższy dopatrzył się wątpliwości dowodowych. Jednak przesłanie było jasne: nawet globalna instytucja religijna musi podporządkować się lokalnemu porządkowi prawnemu.

Papież Franciszek, zainspirowany między innymi doświadczeniem australijskim, zwołał w 2019 roku pierwszy w dziejach szczyt przewodniczących episkopatów z całego świata na temat ochrony nieletnich w Kościele, a następnie wydał list „Motu proprio" „Vos estis lux mundi" zobowiązujący biskupów do zgłaszania nadużyć. Co powinno być oczywistością, ale dotąd nie było.

Hiszpania

Pękający mur milczenia

Przez długi czas Hiszpania zdawała się dziwnie cichym wyjątkiem na tle innych państw ujawniających skandale pedofilskie. Aż w 2022 roku hiszpański parlament niemal jednomyślnie – z poparciem partii i lewicowych, i centroprawicowej opozycji – zatwierdził powołanie niezależnej komisji na czele z ombudsmanem Ángelem Gabilondo do zbadania przypadków wykorzystywania seksualnego małoletnich w Kościele katolickim.

Kościół w Hiszpanii początkowo odmówił udziału w państwowej komisji, ale ostatecznie udostępnił jej część dokumentów dotyczących przypadków nadużyć z archiwów diecezjalnych.

Wyniki prac komisji Gabilondo ogłoszono pod koniec 2023 roku. Szacuje się, że od 1940 roku ponad 200 tysięcy dzieci w Hiszpanii padło ofiarą przemocy seksualnej ze strony duchownych katolickich.

Te statystyki – uzyskane między innymi na podstawie reprezentatywnych badań ankietowych – zszokowały hiszpańską opinię publiczną, choć od lat mówiło się, że problem istnieje. Jeszcze przed publikacją raportu, gdy do mediów trafiły wstępne ustalenia, Konferencja Episkopatu Hiszpanii ogłosiła nadzwyczajne zebranie w celu omówienia sytuacji.

FOT. FERNANDO LAVOZ/NURPHOTO VIA

• **Osorno, Chile, 18 września 2017. Protestujący domagają się ustąpienia biskupa Juana Barrosa, oskarżanego o tuszowanie przypadków molestowania seksualnego przez księdza Fernando Karadimę. Karadima został dożywotnio zawieszony przez Watykan za pedofilię**

W międzyczasie, pod wpływem rosnącej presji i kolejnych doniesień prasowych – „El País" od 2018 roku prowadził własne śledztwo, identyfikując ponad tysiąc sprawców i ponad dwa tysiące ofiar – Kościół hiszpański zlecił niezależny audyt zewnętrzny kancelarii prawnej, by zbadać zgłoszenia nadużyć.

Ten audyt w czerwcu 2022 roku mówił o 927 przypadkach molestowania dzieci zebranych kanałami wewnętrznymi od 2001 roku – co, jak powszechnie uznano, jest zapewne wierzchołkiem góry lodowej.

Hiszpański rząd dał sygnał, że sprawę traktuje poważnie. Premier Pedro Sánchez spotkał się z ofiarami i deklarował pełne poparcie dla wyjaśnienia skandali. Można się spodziewać, że prędzej czy później doprowadzi to do kroków prawnych i finansowych.

Kanada

Papież przeprasza

W kontekście nadużyć Kościoła nie można pominąć Kanady, choć ma ona specyficzne tło historyczne. Chodzi o tragedię rdzennych mieszkańców w tak zwanych szkołach rezydenckich prowadzonych głównie przez Kościoły chrześcijańskie (w tym w około 60 procentach przez instytucje katolickie) na zlecenie rządu Kanady. Przez ponad sto lat w tych szkołach dochodziło do przymusowej asymilacji, przemocy fizycznej, a często również seksualnej wobec tysięcy dzieci rdzennych narodów.

Państwo kanadyjskie już w 2008 roku powołało Komisję Prawdy i Pojednania, która w 2015 roku opublikowała raport, nazywając praktyki w szkołach rezydenckich „kulturowym ludobójstwem" i formułując 94 zalecenia. Wśród nich były oficjalne przeprosiny ze strony papieża.

Ale dopiero ogromne poruszenie społeczne w 2021 roku – po odkryciu grobów setek dzieci na terenie dawnych szkół rezydenckich – wywołało zdecydowane działania. Premier Justin Trudeau ostro skrytykował Kościół katolicki za brak pełnego ujawnienia dokumentów i opór przed przyjęciem odpowiedzialności. A kanadyjski parlament w maju 2018 jednomyślnie przyjął historyczną rezolucję wzywającą papieża do złożenia oficjalnych przeprosin na kanadyjskiej ziemi.

Był to gest bez precedensu. W marcu 2019 roku Trudeau podczas wizyty w Watykanie ponowił zaproszenie dla papieża, a media i opinia publiczna nie pozwalały tematowi umrzeć.

Nacisk przyniósł skutek. W 2022 roku papież Franciszek odbył pielgrzymkę do Kanady, podczas której na spotkaniach z przedstawicielami Pierwszych Narodów wielokrotnie przeprosił za rolę, jaką Kościół katolicki odegrał w systemie szkół rezydenckich. Określił działania misjonarzy jako „godne potępienia" i wyraził „głębokie ubolewanie" z powodu krzywd wyrządzonych dzieciom. Kanadyjski rząd przyjął te przeprosiny, ale zaznaczył, że to dopiero początek drogi do sprawiedliwości.

Wciąż wywierana jest presja, by Kościół w Kanadzie wywiązał się w pełni ze zobowiązań finansowych wobec ocalałych. W ramach ugody z 2006 roku Kościół zgodził się na 29 milionów dolarów kanadyjskich odszkodowań, ale do dziś wypłacił tylko ułamek tej kwoty.

Peru

ONZ wzywa do komisji prawdy

Na koniec warto spojrzeć na przykład Peru – kraju głęboko katolickiego, gdzie jednak ujawniono szokujące skandale, a ich rozliczenie utknęło na lata w martwym punkcie.

Chodzi przede wszystkim o sprawę organizacji Sodalitium Christianae Vitae (SCV) – peruwiańskiego stowarzyszenia założonego przez świeckiego charyzmatyka Luisa Fernanda Figariego. Od 2015 roku wychodziły na jaw kolejne świadectwa, że SCV było w istocie czymś w rodzaju sekty dopuszczającej się systemowych nadużyć seksualnych wobec nieletnich i dorosłych, psychicznego znęcania oraz malwersacji finansowych.

Figari i jego najbliżsi współpracownicy latami cieszyli się poparciem wpływowych hierarchów, SCV miało aprobatę samego Jana Pawła II. Gdy jednak skandal stał się nie do ukrycia, Watykan już za papieża Franciszka pozbawił Figariego kontroli nad stowarzyszeniem.

Problem w tym, że peruwiańska prokuratura nie zdołała skutecznie osądzić sprawców – śledztwa krajowe się ciągnęły, były umarzane, a żadna ważna postać SCV nie trafiła za kratki. Z braku woli politycznej i oporu katolickiego establishmentu.

Zadziałała presja międzynarodowa, zwłaszcza ze strony ONZ. Pod koniec stycznia 2025 roku Komitet Praw Dziecka ONZ w Genewie, po wysłuchaniu relacji peruwiańskich ofiar i sygnalistów, wydał historyczne zalecenie: wezwał Peru do ustanowienia formalnej, niezależnej komisji prawdy do spraw pedofilii w Kościele.

Międzynarodowi eksperci uznali, że skoro państwo przez lata nie potrafiło rozliczyć nadużyć, to należy powołać komisję na wzór tych od zbrodni dyktatur czy konfliktów zbrojnych – by w pełni zbadać skalę przestępstw i zaniedbań instytucjonalnych w Kościele.

Delegacja rządu Peru próbowała się bronić, argumentując, że trwają dochodzenia, ale ostatecznie w obliczu twardych danych i nacisków zgodziła się „rozważyć" tę opcję.

Zalecenie ONZ stało się przełomem – zmusiło władze w Limie do deklaracji ponownej analizy projektów ustaw przewidujących między innymi zniesienie przedawnienia w przypadku wykorzystywania seksualnego nieletnich czy właśnie powołanie komisji prawdy. Do peruwiańskiej opinii publicznej dotarło, że problem ma wymiar nie tylko moralny, ale i międzynarodowy – że bierność szkodzi wizerunkowi kraju.

Watykan również zrobił swoje: już w 2017 roku komisarz papieski przejął kontrolę nad SCV, a w marcu 2023 roku papież Franciszek rozwiązał to stowarzyszenie, uznając, że nie ma prawa dalej istnieć po tym, czego się w nim dopuszczono.

Przykład Peru pokazuje zarówno słabość, jak i siłę mechanizmów rozliczenia Kościoła. Słabość – bo bez realnej woli politycznej państwo łatwo staje się biernym obserwatorem, licząc na to, że Watykan sam „posprząta". A siłę – bo presja społeczna, międzynarodowa i medialna potrafi przełamać ten impas. Ofiary zyskały głos na globalnym forum, a ich świadectwa zmusiły polityków do działania, które jeszcze kilka lat temu wydawało się nie do pomyślenia.

Prawda was wyzwoli

Powyższe przykłady dotyczą głównie krajów demokratycznych, gdzie wolne media, niezależne sądy i świadome społeczeństwo obywatelskie wymusiły zmiany. A co z krajami autorytarnymi? Paradoksalnie, w niektórych z nich, na przykład w putinowskiej Rosji czy w Chinach, Kościół katolicki jest zbyt słaby albo ściśle kontrolowany przez państwo, więc problem ma inną skalę.

Tam Kościół, jak nauczyła nas historia, jest spolegliwy wobec władz i posłuszny. Mało już osób pamięta, że bywało drzewiej, jeszcze w czasach kardynała Stefana Wyszyńskiego, że podobnie jak obecnie w Chinach, polski Kościół godził się na narzuconych przez partię komunistyczną biskupów.

Nie można też zapominać, że nie kto inny jak właśnie Kościół, poczynając od XVIII wieku, pomstował na upadek jedynego systemu, w którym dobrze się czuł. Była to monarchia. I w tej właśnie średniowiecznej skamielinie Kościół pozostał.

Jednak nie ulega wątpliwości, że kluczem do postępu są przejrzystość i determinacja. Tam, gdzie rządy nie boją się skonfrontować z Kościołem w imię ochrony najsłabszych, zyskują szacunek obywateli. Politycy zaczynają rozumieć, że można – a nawet trzeba – wymagać od Stolicy Apostolskiej szacunku w praktyce, a nie tylko w kazaniach i listach pasterskich.

Być może żyjemy w czasach, gdy wreszcie sprawdza się ewangeliczne: „Prawda was wyzwoli". Prawda o przestępstwach, które przez lata okrywano milczeniem w cieniu krzyża, w końcu ujrzała światło dzienne – i żadna sutanna, choćby purpurowa, już jej nie przesłoni.

Era bezkarności Kościoła instytucjonalnego chyli się ku końcowi – i jest to dobra nowina dla społeczeństwa obywatelskiego, państwa prawa oraz samej idei przyzwoitości, którą tak często Kościół głosił innym. ●

Artur Nowak

• urodzony w 1974 roku, adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Wspólnie z profesorem Stanisławem Obirkiem wydał książki: „Gomora", „Babilon. Kryminalna historia kościoła", „Wąska ścieżka", „Skandaliści w sutannach", „Antysemickie chrześcijaństwo" i najnowszą „Gehenna. Kościelna okupacja Polski". Współautor – z Ireneuszem Ziemińskim – książki „Chrześcijaństwo. Amoralna religia". Współautor podcastu „Kryminalna historia Kościoła".

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

WOLNOŚĆ NIE LECI Z KRANU

Czy ludzie w ogóle chcą być wolni? To źle postawione pytanie.
To tak jakby pytać ludzi, czy chcą mieć nowy samochód – mówi prof. Timothy Snyder.

Z **PROF. TIMOTHYM SNYDEREM*** ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

Czym w zasadzie jest wolność
– Wolność to kategoria moralna. Żyjemy nie tylko w świecie fizycznym, ale też w świecie pewnych wartości. Podejmujemy decyzje, nieustannie dokonujemy wyborów. To są wybory między wartościami. Nie są pragmatyczne ani zero-jedynkowe, są takie, jakie są. Wolność polega na tym, że możemy dokonywać ich samemu, w oparciu o sytuację, własne rozeznanie. W sensie politycznym czy społecznym oznacza to budowę systemu, w którym można wychowywać się w takiej wolności. Nie oznacza to braku rządu czy władzy, ale o stworzenie takich warunków, w których dokonywanie tych wolnych wyborów jest możliwe.

Chyba rozumiem...
– Jest pan pewien? (śmiech). Bo to nie jest proste zagadnienie. Gdyby wolność była czymś zwyczajnym, oczywistym, prostackim wręcz, nie byłaby wolnością. Powszechny problem polega na tym, że wydaje się nam, że ustalamy, czym jest wolność na podstawie swojej obecnej sytuacji. Na zasadzie: jestem wolny, jeśli mogę być przeciwko czemuś. To pułapka.

Ci, którzy twierdzą, że wolność to rzecz oczywista, że jej zagwarantowanie jest proste, w rzeczywistości obiecują tyranię.

W Polsce po 2015 roku, gdy rząd Prawa i Sprawiedliwości zaczął łamać konstytucję, demontować praworządność i demokrację, mówiliśmy, że wolność jest jak woda w kranie. Na co dzień się nie zwraca na nią uwagi, a dostrzega, dopiero gdy jej zabraknie.
– Czyli jest jak Litwa dla Mickiewicza, którą ile trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto ją stracił? Nie do końca się z tym zgadzam. Wolność nie jest stanem naturalnym, czymś, co po prostu jest. Na wolność trzeba ciężko pracować i gdy się ją osiągnie lub wywalczy, trzeba pracować dalej, by ją utrwalić, by jej nie stracić. Dzięki temu człowiek, który jest wolny, ma szansę być szczęśliwy, mieć dobre związki z ludźmi, lubić własne państwo.

Czy ludzie w ogóle chcą być wolni?
– To źle postawione pytanie. To tak jakby pytać ludzi, czy chcą mieć nowy samochód. Jedni chcą, innym nie jest potrzebny. Lepiej pytać, czy świat byłby lepszy, gdybyśmy byli wolni. Są momenty, gdy wolność oznacza wyrzeczenia, znój, ale dążenie do wolności jest z punktu widzenia zarówno polityki jak i moralności czymś optymalnym. Chodzi o to, byśmy tak razem budowali miasta, kraje, państwa, by ludzie mogli być w nich wolni. Bo jeśli odpuścimy, sprawy zostawimy tylko prawom przyrody albo rynku, doprowadzimy do sytuacji, że ludzie będą osamotnieni. I wtedy rzeczywiście mogą wolności nie chcieć. I jeszcze jedno:

Nie wystarczy, że wolnością będą cieszyć się jednostki. Wolność można osiągnąć tylko wtedy, gdy działa się wspólnie.

Polacy w 1989 r. wolność odzyskali, a kilka lat później byli nią sfrustrowani. Bo wraz z wolnością przyszły bezrobocie, bieda, brak perspektyw. Słychać było głosy, że komunizm był lepszy, rodziła się nostalgia za dawnymi czasami...
– Hasło polskiej opozycji z lat 80. XX w.: „nie ma wolności bez solidarności" nie było pustym sloganem. Kryła się w nim głęboka mądrość. Żeby być wolnym, trzeba być razem, trzeba troszczyć się o drugiego człowieka, trzeba okazywać mu solidarność. Jeśli o tym się zapomina, wolność się traci. Po 1989 r. trzeba było budować państwo w tym duchu. Niestety nie zawsze się to udawało. Jednak polscy liberałowie uczyli się na błędach i zrozumieli, że nie można myśleć o wolności w sposób abstrakcyjny. Że ona musi oznaczać troskę o wszystkich ludzi, także tych słabszych.

Nie ma też sprzeczności między państwem dobrobytu i wolnym społeczeństwem. Bez wolności dobrobytu nie będzie. Nie ma sprzeczności między wolnością i silnym państwem, takie państwo załatwia sprawy, których ani obywatele, ani rynek nie są w stanie załatwić sami, np. przeprowadza reformy społeczne

Ale czy wolność faktycznie jest dla wszystkich?
– Wolność musi być dla wszystkich. Jeśli dopuścimy myślenie, że ktoś może być jej pozbawiony, to znajdziemy się w starożytnej Grecji, Rzymie albo w Pierwszej Rzeczypospolitej czy Stanach Zjednoczonych w okresie niewolnictwa. Tam wolna we współczesnym rozumieniu była część społeczeństwa, obywatele czy szlachta. Prawa reszty były ograniczone. Żebym jednak ja był wolny, wszyscy ludzie wokół mnie muszą być wolni, i ja muszę myśleć dokładnie w tych kategoriach. Bo gdy będę myśleć tylko o sobie, to nie będę w stanie budować społeczeństwa i państwa, które zapewni mi wolność.

Myślałem o wolności w globalnym wymiarze. Robiliśmy sobie wiele złudzeń w ostatnich latach, że polski model transformacji można zaszczepić w Afryce i Azji. Praktycznie wszystkie próby krzewienia demokracji się nie powiodły...
– Ale to, że się nie udało, nie znaczy, że mieszkańcy Egiptu czy Libii nie chcą żyć w wolnych krajach. Że te państwa nie byłyby lepsze, gdyby zapanowała w nich i utrwaliła się demokracja. Myślę, że błędem było też założenie, że by zapewnić wolność, trzeba całkowicie zniszczyć stary porządek. Spójrzmy na to, co stało się w Iraku. W 2003 r. byłem przeciwny inwazji USA na ten kraj. Rządzony przez Saddama Husajna Irak był strasznym miejscem, państwem totalitarnym. Ale uznanie, że zniszczenie państwa Husajna automatycznie przyniesie wolność, było koszmarnym błędem. Wolność trzeba budować, a my niszczyliśmy stare struktury bez żadnej koncepcji odbudowy państwa czy społeczeństwa. Widzimy, jak to się skończyło. Lekcja z tego płynie taka, że możliwości wpływu z zewnątrz są ograniczone. Można zniszczyć państwo, ale co dalej?

W Europie macie to szczęście, że żyjecie w wolnym sąsiedztwie. Polacy nie są wolni tylko na poziomie swojego kraju. Mogą swoją wolność oprzeć na Unii Europejskiej, zapewniają ją też Ukraińcy, którzy walcząc o swój kraj, chronią przed Rosją wolność swoich sąsiadów. Tego wyjątkowego szczęścia kraje Azji i Afryki nie mają.

Ukraińcy, walcząc z rosyjską inwazją, płacą za wolność własną krwią. A w tym samym czasie wielu Amerykanów wiwatuje, gdy Donald Trump im wolność kawałek po kawałku odbiera. Jak wyjaśnić ten paradoks?
– Ja tu nie widzę żadnego paradoksu. Wolność jest skomplikowana, wymaga pracy. A duża część Amerykanów po prostu jej nie chce, wolą żyć w tyranii. Chcą mieć poczucie, że to oni mają rację, chcą zatriumfować nad resztą społeczeństwa, którą uznają za antyamerykańską. Upodlić ich. Trump ich do tego zachęca i im na to pozwala. Dla nich ta nieludzka potrzeba jest większa od potrzeby bycia wolnym.

Ukraińcy są zaś narodem surowo doświadczonym przez historię. Wiedzą, co oznacza żyć pod rosyjskim butem, wiedzą, kim jest Putin, i jak to jest żyć w kraju, w którym panoszy się oligarchia w stylu byłego prezydenta Wiktora Janukowycza. Wiedzą też, co oznacza termin postęp pokoleniowy, czyli taki rozwój społeczeństwa, gdy następne pokolenie ma większe szanse niż poprzednie. Świat powinien brać ich perspektywę na poważnie, czerpać z ich doświadczenia.

Trumpizm ma jednak dewastujący wpływ na zachodni świat, antydemokratyczne siły dostają z Waszyngtonu wielkie wsparcie. Wolność da się obronić?
– Absolutnie nie jesteśmy skazani na globalny trumpizm. Historia nie jest też loterią. Najważniejszy jest ludzki czynnik. My możemy wolność dla siebie wybrać. Ale wobec kryzysów takich, jakie widzimy w USA, nie możemy być bierni, czekać aż samo zrobi się lepiej. Musimy działać i ze sobą współpracować, budować szerokie koalicje. Mamy rolę historyczną do odegrania. Z tego, że narody nie są skazane na niewole doskonale w latach 70. i 80. zdawali sobie sprawę Polacy. Widzieli, że komuniści nie mają racji, historia nie jest zdeterminowana. I nie odpuszczali. To jedyna droga. ●

> Powszechny problem polega na tym, że wydaje się nam, iż ustalamy, czym jest wolność na podstawie swojej obecnej sytuacji. Kto twierdzi, że wolność to rzecz oczywista, obiecuje tyranię

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Timothy Snyder

• urodzony w 1969 roku, historyk, wieloletni profesor Yale, skąd właśnie przeniósł się na Uniwersytet w Toronto – gdzie będzie kierował katedrą historii najnowszej Europy – w proteście przeciwko próbom zdławienia wolności akademickiej przez Donalda Trumpa. Stały członek Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Autor wielu publikacji i książek, z których najnowsza to **„O wolności. Przewodnik po świecie, który można ocalić"** (wyd. Horyzont Znak, 2025). Człowiek Roku „Wyborczej", jego felietony regularnie ukazują się w „Magazynie Wyborczej".

eprasa.pl 0c26237a5c

CHORZY NA PARKOMANIĘ

Łużyce – region w Saksonii tuż za polską granicą. Tablice informacyjne są tu po niemiecku i serbołużycku, w każdej dużej wiosce stoi jakiś pałac albo jest rezerwat przyrody wpisany na listę dziedzictwa UNESCO. Do zwiedzania Łużyc trzeba jednak znaleźć jakiś klucz.

Grażyna Żabińska

Ja wybrałam jesień. Bo to czas, kiedy niby zwyczajne staje się niezwyczajne. Na Łużycach ubrane w jesienne kolory zalesione pagórki, pola, szpalery drzew przy drogach czy ściany i płoty porośnięte dzikim winem – mienią się wtedy oczach i migoczą. Trudno się nie zachwycić. Stawy, nad którymi rankiem i wieczorem unosi się mgła, a w niej – jak w okolicach Görlitz – białe skrzydła potężnych wiatraków obracają się powoli mieląc powietrze.

Często mija się po drodze drewniane domy przysłupowe, charakterystyczne dla budownictwa kultury łużyckiej, ale to żaden skansen – wciąż mieszkają w nich ludzie. Chociaż skansen też jest po drodze – do takiego domu można wejść w **Dorfmuseum w Markersdorfie**. Podobało mi się też, że w tych wszystkich zadbanych wsiach płoty są niewysokie, jakby tylko znaczyły obejście. Albo nie ma ich tu wcale.

Nie myśli się już o tym, że to tereny dawnego szarego NRD, gdzie po drogach jeździły wojskowe radzieckie ciężarówki. W czasie wakacji na studiach pod koniec lat. 80 pracowałam w pewnej fabryce całkiem niedaleko – i ten obraz żołnierzy na pace do mnie wrócił, choć szybko zniknął.

Oczywiście, że wolę tu i teraz. Bogactwo rozmytych w słońcu barw dodaje tej okolicy jakby innego wymiaru. Nawet jeśli są chmury, nawet jeśli pada. Czy odnowiony pałac czy malownicza ruina, to zawsze tuż obok jest kawałek parku z wiekowymi drzewami, a pod stopami szeleści dywan z liści.

Szlak pałaców...

Od 2021 r. UE prowadzi tu transgraniczny projekt turystyczny „Łączą nas zamki i pałace: Polska-Saksonia". Obejmuje 29 obiektów po obu stronach granicy. Rezydencje i pałace [w sumie 15] po tej niemieckiej stronie w większości należą do kategorii „dobrze i bardzo dobrze zaopiekowane". Po 1945 r., kiedy powstało NRD, wszystkie – tak jak u nas – odebrano dawnym właścicielom. Ich los – znów tak jak u nas – był bardzo różny.

Teraz są w nich hotele lub gościnne kwatery, czasem galerie z pracami lokalnych artystów albo rodzinne muzea – kilka pokoi o historii plus trochę pamiątek. Bilety za wejście to koszt między 4 a 10 euro.

Tak jest np. **w Schloss Krobnitz**, które przez 5 pokoleń należało do rodziny Albrechta Grafa von Roon. Tak jest **w Schloss Neschwitz,** otoczonym fosą i mokradłami barokowym pałacu, którego ostatnim właścicielem był leśnik i badacz ptaków Arnold Freiherr von Vietinghoff-Riesch, a posiadłość była w rodzinie od końca XVII w. **Schloss Königshain** to z kolei miejsce, gdzie udało sie zachować wiele folwarcznych zabudowań z końca poprzedniego wieku, a w ogrodzie nadal uprawiane są warzywa i zioła.

Schloss Hoyerswerda stoi w centrum miasta, otoczony blokami, a jego park to miejskie ZOO i plac zabaw dla dzieci. Za to w środku ma świetne muzeum o historii miasta z salą poświęconą kulturze Serbołużyczan (9 euro).

Pałace służą teraz także lokalnej społeczności jako centra kultury, sale ślubów, bankietów i koncertów, jak **w Schloss Kitlitz** czy w **Schloss Seifersdorf.** Bo jeśli już robić wesele, to przecież tylko w zamku.

Tak naprawę w czasie tej podróży tylko jedno miejsce było zamknięte na głucho. Malowniczy **Schloss Hainewalde** (w drodze z Oybina do Budziszyna). Zamknięty, bo go podobno odnawiają. Stoi w środku wsi, na wzgórzu przy rzece, wśród starych drzew, omszałych kamiennych schodów i rzeźb. Podobno można go zwiedzić ale tylko z przewodnikiem. To zamek, który zdaje się swoją wielkością zupełnie do tej okolicy nie pasować.

... i parków UNESCO

Łużyce to też paki i rezerwaty bez stylowej zabudowy. Największym jest **Łuk Mużakowski** – od 2015 r. światowy geopark UNESCO, jego częścią jest **rezerwat rododendronów** z mostem, który jest na każdej reklamie regionu, bo razem ze swoim odbiciem w wodzie tworzy koło. Niesamowite miejsce.

Jest też **Spreewald** – rezerwat biosfery UNESCO, jest **Górnołużycka Kraina Stawów i Wrzosowisk**, oraz mój ulubiony na Łuku – **Muskauer Park**, także na liście UNESCO. Idealne miejsca do wędrówek i na rower, co jest tu popularną formą wypoczynku, a sieć dróg rowerowych jest imponująca.

Co ciekawe, tylko częściowo są to zachowane w pierwotnym stanie dary matki natury – tutejszą specjalnością od stuleci jest bowiem... zarządzanie zmianą krajobrazu. Chodzi nie tylko o chorych na parkomanię wizjonerów, jak książę Pückler-Muskau.

To przecież był region górniczy z kopalniami odkrywkowymi węgla brunatnego, gliny i piasku – a to się dobrze nie kojarzy. A jednak od 30 lat konsekwentnie zmienia się te miejsca w największy w Europie sztucznie stworzony krajobraz wodny.

Dwa wybrane z dziesięciu

Dobrą bazą wypadową do zwiedzania Łużyc jest Görlitz, kupieckie miasto z protestanckim kościołem Świętych Piotra i Pawła, który góruje nad brzegiem Nysy Łużyckiej – zdecydowanie warto poświecić mu trochę czasu. Podobnie jak Miśni, Budziszynowi i Dreznu, ale miasta to pomysł inną wycieczkę.

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

Bad Muskau. Zamek w Parku Mużakowskim (Muskauer Park) Zajmuje ponad 730 ha na pograniczu Polski i Niemiec
FOT. HAIDAMAC/SHUTTERSTOCK

Zamek w Bad Muscau na początku lat 90. był ruiną. Jego odbudowa i rewitalizacja parku trwała prawie 20 lat
FOT. GRAŻYNA ŻABIŃSKA/GAZETA WYBORCZA

Łużyce – zamki, pałace i parki

INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA. WYBORCZA.PL / BIODATA

ŹRÓDŁO: OPRACOWANIE WŁASNE

Dom przysłupowy, albo dom w stylu łużyckim w posiadłości Neschwitz w Krainie Stawów i Wrzosowisk
FOT. GRAŻYNA ŻABIŃSKA/GAZETA WYBORCZA

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Bo gdybyście mieli wybierać i zobaczyć jesienią tylko jedno-dwa miejsca w tej krainie pałaców w parkach, to wybierzcie takie, w których warto spędzić cały dzień, albo nawet kilka. Oto moje dwie ulubione i skrajnie odległe od siebie miejscówki na Łużycach: Oybin – na południu przy granicy czeskiej i na północy absolutnie wyjątkowy Park Mużakowski, przy granicy z Polską.

1. Park Mużakowski/Muskauer Park. Północny kraniec

Świetnie utrzymany park w stylu angielskim na pograniczu Polski i Niemiec. 730 ha (inne źródła 830 ha) po obu stronach Nysy Łużyckiej. W środku ma most i słupki graniczne. Antyimigranckie wzmożenie sprzed kilku miesięcy spowodowało, że po naszej stronie straż graniczna rozbiła tu swój namiot. Po niemieckiej – nikogo nie ma. Niemiecki patrol jest przy moście drogowym łączącym Bad Muskau z polską Łęknicą. Tam gdzie kończy się stare miasteczko, a zaczyna bazar. Zawsze mnie smuci to, że tu Polska zaczyna się od wielkiego blaszanego bazaru.

Po naszej stronie park to ok. 500 ha, po niemieckiej ponad 220 ha, ale za to z całą infrastrukturą, w której najważniejszy jest zamek w stylu renesansowym odbijający się w stawie.

Park jest tak ogromny, że nie da się go zobaczyć w jeden dzień. I tak piękny, że się tu chętnie wraca. O każdej porze roku wygląda inaczej, a jesienią gra kolorów dodaje mu magicznej aury.

Najlepiej zwiedza się go na rowerze, ale można pływać łódką po rzece i kanałach. Twórca tego parku już jakieś 160 lat temu zalecał gościom dorożki, bo odległości między budowlami-punktami widokowymi są tak duże. Dzisiaj wycieczka bryczką też jest możliwa, bo cały park to jakieś 50 km alejek. W 2004 roku został wpisany na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO jako jedno z najwybitniejszych dzieł europejskiej architektury ogrodowej stworzonej jeszcze na początku XIX w.

•

O Mużakowie nie można opowiadać bez Hermanna von Pückler-Muskau (1785-1871). „Szalonego zielonego księcia", który oddał temu miejscu duszę. Był pruskim wojskowym, ekscentrycznym podróżnikiem, pisarzem, dyplomatą, kobieciarzem i utracjuszem oraz... genialnym architektem krajobrazu. Tworzeniu swojej wizji poświęcił 30 lat życia.

Kochał trzy piękne rzeczy: podróże, ogrody i kobiety. W tej kolejności. Wykorzystywał każdy sposób, talent i koneksje, żeby gdzieś pojechać. Zwłaszcza kiedy wywołał kolejny skandal albo nie miał czym zapłacić za ogrodowe fantazje w Mużakowie. Na wyjazd zawsze coś wygrzebał. Tak uciekał od kłopotów i trze-

eprasa.pl 0c26237a5c

ba przyznać długo miał fart. Kiedy jako bardzo młody człowiek po raz pierwszy wybrał się na rajd po Europie, wrócił po trzech latach. Na groźby ojca, że wstrzyma mu i tak już liche fundusze – bezczelnie odpisał, że wróci dopiero jak zobaczy Paryż, a na razie jest w połowie drogi.

Był dandysem ze specyficznym poczuciem humoru i umiał się bawić. Długo nic go nie interesowało, aż raz pojechał na Wyspy Brytyjskie i zachwycił się tamtejszą sztuką ogrodową. I tak spłynęło na niego światło. W 1814 r. umarł jego surowy ojciec i zostawił mu posiadłość na Łużycach. Książę zabrał się za realizowanie nowej pasji już rok później, w 1815 r., tuż po zwycięskiej wojnie koalicji nad Napoleonem, w której książę brał czynny udział.

Machina ruszyła. W tworzenie parku zaangażował wszystkich okolicznych rzemieślników i mieszkańców. Sprowadził siły fachowe: najlepszego pruskiego architekta i urbanistę Karla Friedricha Schinkela, malarza pejzażystę Augusta Schirmera, angielskiego architekta krajobrazu Johna Reptona oraz ogrodnika Jacoba Heinricha Rehdera. Ale w tym towarzystwie to on był wizjonerem.

Park harmonijnie wpisuje się w dolinę Nysy Łużyckiej, ma liczne osie i punkty widokowe, łąki, kanały mosty, altany, pawilony. No wszystko tu jest. W zamyśle księcia Mużaków miał być otoczony kordonami drzew, a jednocześnie swoją zielenią wchodzić do miasta, jakby naturalnie się z nim łączyć. Plan obejmował całkowite przekształcenie krajobrazu na 700 hektarach, zrealizowano projekt na ponad 250. To była niespotykana w ówczesnej Europie skala, ale i teraz trudno o coś tak spektakularnego.

●

Ostatecznie ciężar przedsięwzięcia przygniótł szalonego księcia. Tak się zadłużył – na budowę i ucieczki w podróże, że w 1845 r. musiał sprzedać dzieło życia – miasto, zamek i niedokończony park. Choć walczył do końca. Przekonał nawet do rozwodu żonę Lucy – chyba jedyną kobietę, którą w życiu jakoś kochał. Bo wymyślił, że posagiem nowej żony zasypie dziurę budżetową. Nie udało się, a i tak Lucy w końcu mu to wybaczyła.

Po sprzedaży Muskau książę razem z byłą już żoną zamieszkał w Branitz k. Chociebuża i rozpoczął tworzenie kolejnego parku. Zresztą wynajmował się do projektowania i poprawiania ogrodów m.in. w Weimarze i Poczdamie, na brak innych zleceń z Europy też nie narzekał. Napisał również w życiu kilka popularnych książek m.in. zabawne zapiski ze swoich podróży oraz podręczniki architektury krajobrazu. W tej kwestii był wielkim rewolucjonistą i autorytetem.

▲ **Ruiny zamku w Oybinie w Górach Żytawskich. Widok z wieży sąsiadujących z nim ruin dawnego klasztoru Celestynów**
FOT. GRAŻYNA ŻABIŃSKA/GAZETA WYBORCZA

Zmarł 4 lutego 1871 r. Razem z Lucy spoczywa w wielkiej zielonej piramidzie usypanej na jeziorze w parku w Branitz. Pomysł na swój grobowiec przywiózł z wyprawy do Egiptu.

Mużaków zmienił gospodarza, ale na szczęście następcy kontynuowali dzieło księcia a pomagał w tym m.in. jego wybitny uczeń Eduard Petzold. Majątek wciąż się rozrastał aż do 1939 roku.

●

Z powodu nowej sytuacji politycznej po II wojnie, park sztucznie podzielono granicą na Nysie Łużyckiej i po obu stronach znacjonalizowano. Polsce przypadło te 520 zielonych hektarów, reszta (ponad 200 ha) z całą zabudową znalazła się w NRD. Wszystko powoli dziczało i niszczało.

Nowe życie Bad Muskau dostało dopiero po zjednoczeniu Niemiec, kiedy na początku lat 90. kontrolę nad tym terenem przejął autonomiczny rząd Saksonii. Polskiej stronie pomogło wejście do Unii i swoboda ruchu, jaką dał układ z Schengen. Niemcy i Polacy zjednoczyli siły. Odtwarzanie wizji księcia trwało ponad 20 lat. Odbudowano zamki [stary i nowy], zabudowania parkowe i gospodarcze oraz pieczołowicie zrewitalizowano park po obu stronach rzeki.

Jak gigantyczna to była praca pokazują zdjęcia z kolejnych etapów odbudowy, które są na wystawie w wieży zamkowej. To robi największe wrażenie, bo na zdrowy rozum nie miało prawa się udać.

Zniszczenia wojenne i rosyjscy żołnierze, którzy zrabowali i zniszczyli wszystko, co się dało np. z palmiarni, w której m.in. hodowano ananasy, zabrali każdy kawałeczek metalu. Zamek dobiły późniejsze pożary i brak zainteresowania komunistów z NRD. Przez lata straszyły tu ruiny bez dachu.

Koniecznie też trzeba w zamku zobaczyć multimedialną wystawę poświęconą księciu Hermannowi, bo był jedną najbarwniejszych postaci swoich czasów. Znał wszystkich, których trzeba było wtedy znać w Europie. Nieustannie balansował na krawędzi bankructwa, ale tak zręcznie kreował swój wizerunek, że już za życia stał się legendą. Wystawa nosi tytuł „Pückler! Pückler? Po prostu brakuje słów."

I na koniec ananasy. Bo książę miał rękę do ich uprawy. Przywiózł je z podróży i zasadził w obu swoich parkach: najpierw w Mużakowie, a potem w Branitz. W tym drugim do dziś stoi „Wielki Dom Ananasowy" – stara szklarnia z modelem ananasa na dachu, który kiedyś był pokryty płatkami złota. Na długie lata o nich zapomniano. Ale od 2012 roku znowu uprawia się je na terenie Bad Muskau i przerabia na konfitury i likier. Książę Pan byłby zadowolony.

2. Oybin – ruiny zamku i klasztoru. Południowy kraniec

Bywają nazywane najbardziej romantycznymi ruinami w Niemczech. Fakt, ruiny na górze Oybin są wspaniałe, a pierwsza myśl, jak już się tam wdrapiesz, brzmi: jakie to musiało być kiedyś wielkie! No i było, gdyż rozmach miało cesarski.

W połowie XIV w. niemiecki cesarz Karol IV postanowił przebudować tutejszą twierdzę na swoją rezydencje z widokiem. Zostało jeszcze trochę miejsca, więc ufundował zakonowi Celestynów klasztor i kościół, wielki jak katedra. Nic dziwnego, bo wzniosła go tu ekipa, która zbudowała katedrę w Pradze. Kres świetności przyniosła w XVI w. reformacja. Klasztor zamknięto, a budynkami zajęła się przyroda.

Drugą szansę dała Oybinowi na początku XIX w epoka romantyzmu. Niemiecki malarz Casper David Freidrich przyjechał do pobliskiej Żytawy studiować sztukę, ale wolał wędrować po górach. Szukał natchnienia i znalazł te ruiny. Na jego obrazach posępne i puste strzeliste ramy po kościelnych oknach i witrażach są idealnym tłem zadumy nad utraconą miłością. W ślad za Freidrichem poszedł Carl Gustaw Carus z kilkoma kolegami malarzami i tak wspólnie przywrócili to miejsce światu. Oybin stał się popularny, miasto pod górą rozkwitło, a teraz to malownicze i znane uzdrowisko – kurort Oybin.

Wycieczka na najsłynniejszy szczyt w Górach Żytawskich trochę trwa. I nie chodzi o samo wejście. Zakamarków, schodów i przejść jest w tych ruinach mnóstwo. Ale trzeba też zobaczyć muzeum w dawnej wieży mieszkalnej, widok z wieży kościoła, który nie ma dachu i ten z cmentarza zawieszonego na skalnej półce. No i obejść tę wielką górę dookoła – także dla widoków i dlatego że można. Góry Żytawskie przypominają nasze Stołowe i jeśli znacie np. Szczeliniec, to tu jest podobny klimat. Trasa nazwana Okrężną prowadzi przez ciasne przejścia między skalnymi blokami dookoła całego masywu.

Koniecznie też schodząc z góry trzeba zajrzeć do „kościółka ślubów" – drewnianej protestanckiej świątyni, którą wybudowano wykorzystując naturalne nachylenie terenu (jest jak w amfiteatrze) i przylepiono do skalnej ściany. Jest niesamowita i ma ambonę nad ołtarzem. Dawnym budowniczym i ich umiejętnościom za adaptację przestrzeni do warunków należy się wielkie uznanie.

Oybin to baza wypadowa dla wędrujący po górach. Nie tylko po malowniczych Górach Żytawskich – szlaków jest tu mnóstwo, można dotrzeć i do Czech i do Polski.

A zanim do Oybina przyjedzie się latem, to trzeba koniecznie sprawdzić, czy akurat wieczorem nie odbywa się w klasztorze procesja Celestynów. Taka ze świecami i gregoriańskimi śpiewami chóru. Wtedy te mury ożywają i na chwilę przenosimy się w czasie. ●

▼ **Barokowy pałac i fragment rozległego parku z fosą i stawami w posiadłości w Neschwitz**
FOT. GRAŻYNA ŻABIŃSKA/GAZETA WYBORCZA

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

Kraj/34400488

eprasa.pl 0c26237a5c

KULTURA I OBYCZAJE

Demokraci chcieli jego pieniędzy i kontaktów, ale rad już nie. **Więc George Clooney kupi Amerykanom nowych, lepszych Demokratów. A może i prezydenta**

Mateusz Mazzini

Kapitan Am

Na scenie gasną światła. Momentalnie zapada cisza. Samotny reflektor wycelowano w głęboki, staromodny, żółty fotel. W fotelu siedzi mężczyzna w szarym, prążkowanym garniturze. Nogawki luźno zwisają z łydek, jedną nogę założył na drugą. Biała koszula, ciemny krawat, lśniące czarne buty. Skupiony wzrok zapowiadający, że zaraz coś się wydarzy.

I wydarza. Z ust szpakowatego dżentelmena padają jedno po drugim słowa największego kalibru. „Istnieje pewien typ ludzi, którzy są siłą napędową demokracji...", „Co się liczy? Uczciwość, fakty, prawda..." – Praktycznie same wielkie kwantyfikatory o tym, co było, co jest i co być powinno. O upadku zasad, odejściu od amerykańskich korzeni, o upadku mediów, które przestały spełniać swój obowiązek informowania nas i tłumaczenia nam złożoności świata.

Niby to wiemy z kolejnych wywiadów z socjologami, politologami, wielkimi pisarzami, filozofami, z esejów noblistów i analiz najwybitniejszych publicystów. Ale w przypadku wystąpień, które mogą ponieść się takim echem, że naprawdę wpłyną na rzeczywistość, liczy się nie tylko to, co powiedziano, ale także to – kto mówi.

Jeden z najważniejszych monologów w historii dziennikarstwa, a być może nawet całej historii Stanów Zjednoczonych, wygłasza ze sceny na Broadwayu 64-latek z Lexington w Kentucky. Znamy go pod wieloma nazwiskami i z wielu wcieleń.

To doktor Doug Ross, szalenie przystojny pediatra z oddziału intensywnej terapii na „Ostrym dyżurze", uroczy kasiarz sowizdrzał Danny Ocean z serii zapoczątkowanej przez „Ocean's Eleven", dokonujący egzystencjalnych odkryć psycholog Charles Kelvin z „Solaris", ubiegający się o prezydenturę gubernator Mike Morris z „Id Marcowych", znękany piekłem wojny na Pacyfiku kapitan Charles Bosche z „Cienkiej czerwonej linii", sprytny, lecz pechowy self-made man Ulysses McGill usiłujący przetrwać Wielki Kryzys z „Bracie, gdzie jesteś"... A także znany każdemu, kto ma telewizor albo YouTube'a – wytworny, szelmowski koneser kawy Nespresso.

Ale siedząc w żółtym fotelu, przy biurku z maszyną do pisania i innymi gadżetami nawiązującymi do lat pięćdziesiątych, George Clooney, jeden z najbardziej rozpoznawalnych artystów ostatnich trzech dekad, nie jest ani superbohaterem, ani tajnym agentem, ani amantem, ani wykwalifikowanym oszustem – tylko obrońcą amerykańskiej demokracji. Czyli sobą.

Choć trudno w to uwierzyć, gdy mowa o kimś, kto zaliczył chyba każdą aktorską formę i każdy gatunek, od superprodukcji po ambitne kino braci Coen, Clooney po raz pierwszy w życiu gra na deskach Broadwayu. Ale rola, w którą wciela się od 3 kwietnia 2025 roku, nie jest mu obca.

Na żywo, przed wypełniającą szczelnie teatr publicznością wciela się w Edwarda R. Murrowa, człowieka instytucję, posągową postać amerykańskiego dziennikarstwa, który zachowywał się, jakby nie miał tkanek, kości, materii organicznej, tylko składał się wyłącznie z idei i wartości. Oraz wielkiej dozy stylu.

Murrow, który zdobył doświadczenie

eprasa.pl 0c26237a5c

Festiwal w Wenecji. George Clooney z żoną Amal na premierze filmu „Jay Kelly" – najnowszej produkcji z udziałem aktora (28.08.2025)
FOT. FRANCO ORIGLIA/ GETTY IMAGES

i rozpoznawalność jako korespondent w hitlerowskim Berlinie, a celebrycki status dały mu korespondencje z frontu europejskiego w czasie II wojny światowej, jednoosobowo uosabiał liberalny sprzeciw wobec manii prześladowczej, jaką w amerykańskim społeczeństwie lat 50. zaszczepił Joseph McCarthy.

Przekonanie, że rząd federalny jest do szpiku przesiąknięty komunistami działającymi na zlecenie Związku Radzieckiego, napędzało senatora w jego krucjacie przeciwko instytucjom publicznym. Do dzisiaj mówi się o tym okresie jako o „czerwonej panice" – jednym z najbardziej opresyjnych momentów we współczesnej historii USA. Republikański polityk o dość ograniczonej wiarygodności, znany z manipulowania faktami i kolorysowania własnej biografii, na czele z przebiegiem służby na froncie na Pacyfiku, stosował banalną metodę weryfikacji Amerykanów rodem z przedwojennych tekstów filozoficznych Carla Schmitta, słynnego „prawnika nazistów": kto nie z nami, ten przeciw nam. Dla McCarthy'ego każdy, kto nie spełniał arbitralnych wymogów pełnego oddania się „sprawie amerykańskiej", z automatu stawał się komunistą.

W rezultacie każdemu, kto chociaż trochę wyłamywał się z ram amerykańskiego konserwatyzmu w jego prowincjonalnej odmianie, groził publiczny samosąd. Ludzie o poglądach socjaldemokratycznych, centrowych, liberalnych, artyści, intelektualiści, dziennikarze, osoby homoseksualne, zwłaszcza pracujące dla rządu, federalne i służące w armii – każdy mógł być uznany za wroga publicznego. Co w najlepszym przypadku kończyło się zwolnieniem i publicznym upokorzeniem, w najgorszym – ostracyzmem, sprawą w sądzie, a nawet odsiadką.

Senatorem z Wisconsin gardziła na jakimś poziomie większość waszyngtońskich elit, również tych prawicowych i konserwatywnych, nie miał też pełnego poparcia Białego Domu i drażnił potężniejszych od siebie – z dokumentów odtajnionych w 2004 roku wiadomo, że polecenie inwigilowania go wydał osobiście sam Allen Dulles. Twórcę i pierwszego szefa CIA denerwowało, że McCarthy widzi komunistycznych szpiegów na wszystkich szczeblach agencji, zasypując prokuraturę doniesieniami o popełnieniu przestępstwa. Poskarżył się nawet prezydentowi Eisenhowerowi, którego McCarthy też wkurzał.

Co innego jednak CIA, a co innego najbardziej popularny prezenter telewizyjny w kraju. A Murrow McCarthy'ego nie tolerował, uważał go za człowieka maluczkiego, pozbawionego kręgosłupa moralnego, co zresztą dalekie od prawdy nie było.

W 1954 roku, po czterech latach makkartyzmu, cierpliwość Murrowa się skończyła. 9 marca stanął przed kamerami i wygłosił monolog, w którym jako jedna z pierwszych osób publicznych w USA zaatakował całą ideę „czerwonej paniki" i metody prześladowcze senatora. W tym monologu padają słowa, które były potem cytowane tysiące razy przy różnych okazjach – zwłaszcza w ostatnich latach.

„Nie możemy pozwolić, by strach wepchnął nas w epokę szaleństwa. Wystarczy zajrzeć w głąb naszej historii, w nasze zasady, z których się wywodzimy. Bo nie jesteśmy potomkami ludzi lękliwych. Nie wywodzimy się z tych, którzy bali się odzywać głośno, pisać odważnie, trwać razem mimo sprzeciwu czy bronić spraw, które wtedy wydawały się przegrane. To nie lęk nas stworzył. To odwaga, niezgoda na rzeczywistość i wiara, że nawet niepopularna prawda warta jest obrony". Po czym dodał słynne: „Good night and good luck".

Zważywszy na to, co od lat podskórnie, a od miesięcy jak najbardziej namacalnie dzieje się w amerykańskiej polityce, niewykluczone, że Clooney mimo tak przebogatej filmografii pod koniec kariery zrośnie się właśnie z postacią Murrowa. Bo kogoś takiego Amerykanie potrzebują po prostu dziś jak tlenu.

•

Od premiery „Good Night and Good Luck" w wersji teatralnej – bo Clooney Murrowem interesuje się od dawna, już równo dwie dekady temu sam napisał i wyreżyserował film o tym samym tytule, którego scenariusz teraz wykorzystał – minęło przeszło pół roku, a niezmiennie cieszy się popularnością. Zdarzają się przedstawienia, w których granica pomiędzy sztuką i artystyczną interpretacją przeszłości a teraźniejszymi nastrojami politycznymi zaciera się całkowicie. Regularnie w trakcie monologu ktoś z publiczności wstaje i rozpoczyna własny performance. Jedni krzyczą do publiczności, że trzeba budować ruch oporu wobec Trumpa i ruchu MAGA, inni wyzywają aktora od zdrajców narodu.

W obszernym wywiadzie w CNN Clooney kilka razy wspomina, że awantury i protesty sympatyków obu stron są normą. Gdy jego gospodarz, Anderson Cooper, legenda amerykańskiego telewizyjnego reportażu i publicystyki, pyta, co wtedy robi, gwiazdor mówi, że czasem odpowiada. Jako George Clooney oraz jako Edward R. Murrow. I to bez zastanowienia. Robi to odruchowo i z łatwością, bo improwizuje cały monodram. A że wykorzystuje oryginalne teksty telewizyjnych monologów, tekstów prasowych i wystąpień publicznych Murrowa, niezależnie od przywołanego przez widza tematu jest w stanie zareagować tak, jak w podobnej sytuacji mógłby zachować się słynny dziennikarz.

Lecz bez względu na to, co w konkretnym przypadku odpowiada widzom, zawsze – co sam podkreśla w wywiadzie – jasno daje do zrozumienia, że szanuje prawa przysługujące rozgniewanym, i to, że z nich korzystają. Mówi publiczności, że w USA obowiązuje konstytucja, a pierwsza poprawka gwarantuje prawo do protestu, następnie przedstawia swoje stanowisko, po czym prosi o możliwość kontynuowania spektaklu. Podobno działa.

•

Ktoś złośliwy może pomyśleć, że robiąc gorący polityczny spektakl, gwiazdor kieruje się kaprysem, chwilową modą na polityczność albo szuka nowego wizerunku na starość, gdy przestanie być etatowym hollywoodzkim przystojniakiem. Tymczasem polityka od zawsze jest w życiu Clooneya tematem równie ważnym, co aktorstwo.

Nigdy nie ukrywał ideologicznej orientacji, jest nie tylko zatwardziałym zwolennikiem, lecz również hojnym, wielomilionowym darczyńcą Partii Demokratycznej. Jak sam mówi, wychowano go w rodzinie sprzyjającej Demokratom, a przecież żył w Kentucky, stanie tradycjonalistycznym i bardzo mocno republikańskim. W wyborach prezydenckich po raz pierwszy głosował w 1980 roku i od tamtej pory popiera kandydata Demokratów. Co oznacza, że na poziomie własnego stanu na 12 elekcji triumfował tylko dwukrotnie – w 1992 i 1996 roku w Kentucky wygrał Bill Clinton. Poza nim w sercu muzyki bluegrass nie odniósł sukcesu żaden demokrata wybrany przez ogół Amerykanów na prezydenta – ani Barack Obama, ani Joe Biden.

Inna rzecz, że na tego ostatniego Clooney głosował nie z serca, ale z obowiązku – gdyż jako jeden z pierwszych przedstawicieli liberalnego establishmentu publicznie krytykował decyzję prezydenta o ubieganiu się o reelekcję. 10 lipca 2024 roku opublikował na łamach „New York Timesa" felieton, w którym nawoływał do zmiany kandydata. Wtedy jeszcze, choć było to już po katastrofalnej debacie Bidena z Trumpem,

IGRZYSKA WOLNOŚCI

George Clooney w Łodzi

• **Igrzyska Wolności** to spotkanie ludzi ciekawych świata i głodnych nowych idei od 11 lat gromadzące przedstawicielki i przedstawicieli świata kultury, biznesu i życia publicznego z kraju i zagranicy oraz szeroką publiczność wokół wspólnej idei: wizji świata opartego na wolności i dialogu.

• Hasło przewodnie tegorocznej edycji to „Czas niepewności". W tych dwóch słowach zawiera się wszystko, co nas trapi: wojna, kryzysy gospodarcze, zmiany klimatu, presja migracyjna, zagrożenia związane z AI.

• Udział w dyskusji o tym, jak budować systemową odporność, która pozwoli nam mierzyć się z aktualnymi wyzwaniami, potwierdziły takie osobowości krajowej i światowej polityki, ekonomii, nauki, kultury i show-biznesu, jak: George Clooney, Jerzy Owsiak, Aleksander Kwaśniewski, Marek Kondrat, Megan Nolan, Szczepan Twardoch czy Joanna Kuciel-Frydryszak.

eprasa.pl 0c26237a5c

z urzędującym wciąż prezydentem obchodził się dość łagodnie, o jego stanie zdrowia i zdolnościach kognitywnych wypowiadając się raczej eufemistycznie. Zapewniał, że „kocha go jak przyjaciela, szanuje jako senatora, wiceprezydenta i prezydenta". Owszem, „chodzi o wiek" i nic więcej. Ale że „wiek jest rzeczą nieodwracalną, zwracanie uwagi na ten problem musi być uznane za wyraz troski" – pisał Clooney.

Wiele miesięcy później okazało się, że miał bardzo poważne powody, żeby formułować takie wnioski, i to w ten sposób.

20 maja na amerykańskim rynku zadebiutował „Original Sin" – „Grzech Pierwotny". Książka Alexa Thompsona i gwiazdy CNN Jake'a Tappera (który podobno niewiele się napracował przy pisaniu, ale został wciągnięty na pokład, żeby zwiększyć sprzedaż) opowiada o kampanii wyborczej Demokratów i poprzedzających ją miesiącach. Okazuje się, że już wtedy problemy ze zdrowiem Bidena były dla wszystkich w Białym Domu oczywiste. „Original Sin" wyciągnął na światło dzienne to, co większość Amerykanów i tak już podejrzewała, a Trump bezlitośnie punktował: Biden był zbyt schorowany, zmęczony, niedołężny, by wytrzymać trudy kampanii. Ale zespół prezydenta robił wszystko, by te defekty zamaskować, a establishment Demokratów dał się zaczarować zaklęciu, które skądinąd rymuje się z najważniejszym problemem personalnym polskiej polityki – że tylko ktoś, kto raz już wygrał z populistycznym szatanem, będzie w stanie zrobić to ponownie.

Najszerzej kolportowane w internecie były jednak fragmenty książki dotyczące nie tego, co działo się w Białym Domu, ale opisujące spotkanie Bidena ze sławnym sympatykiem i wpływowym donatorem.

W czerwcu 2024 roku Clooney zorganizował ekskluzywną kolację dla darczyńców Demokratów, której honorowym gościem był prezydent wracający właśnie do kraju po trzydniowym pobycie we Włoszech na szczycie G7. Panowie znają się bardzo dobrze od 15 lat, wielokrotnie uczestniczyli wspólnie w partyjnych wydarzeniach, gwiazdor był ważnym uczestnikiem kampanii wyborczej Obamy, u którego Biden służył jako wiceprezydent. No a poza tym mówimy o aktorze, który przez ćwierć wieku nie schodził z dużych i małych ekranów, billboardów i okładek. Mimo to Biden nie rozpoznał Clooneya, gdy ten podszedł się przywitać za kulisami. Jeden z prezydenckich asystentów miał wręcz podpowiedzieć prezydentowi, że ten mężczyzna jest kimś, kogo on dobrze zna. Skonfundowany prezydent wydukał jakąś bezosobową formułkę, a Clooney zamarł zszokowany.

•

To, co wydarzyło się dalej, doskonale tłumaczy przyczyny kryzysu, w jakim Partia Demokratyczna znajduje się do dzisiaj. Walki frakcyjne, podrażnione ego, przekonanie o własnej wyższości, próba obejścia wewnątrzpartyjnych struktur, żeby pieniędzmi i koneksjami wywrzeć wpływ na rzeczywistość polityczną...

Otóż Clooney przestraszył się tak bardzo, że swoimi kanałami odezwał się do Obamy, uprzedzając go, że zamierza napisać esej do „New York

• **George Clooney w Sudanie Południowym w obozie dla uchodźców z Sudanu Północnego, styczeń 2011 roku**
FOT. LYNSEY ADDARIO/GETTY IMAGES REPORTAGE

Timesa" przeciwko kandydaturze Bidena. Obama musiał ewidentnie się z nim zgadzać, bo nie oponował, i tekst ukazał się kilkanaście dni później. Zanim to się jednak stało, Clooney próbował szukać poparcia dla swojego pomysłu zmiany kandydata wśród partyjnych elit. Skonsultował się z innym wpływowym sponsorem Demokratów, Jeffreyem Katzenbergiem, byłym prezesem Disneya i współzałożycielem studia DreamWorks, ale jeden z najbardziej wpływowych ludzi show-biznesu miał mieszane uczucia. Mało tego, przekazał list Clooneya zespołowi Bidena, co skończyło się awanturą i groźbami, że aktor zostanie całkowicie odcięty od partii.

Biorąc pod uwagę, że zebrał dla kampanii prezydenckiej 14 milionów dolarów, byłby to ruch dość absurdalny. Mimo to współpracownicy Bidena byli gotowi go odizolować od działań kampanijnych i przestać zapraszać na wiece. Duma klerków z Białego Domu została urażona – i nie zmieniła tego nawet późniejsza rezygnacja Bidena i nominacja Kamali Harris.

Wiele półoficjalnych doniesień wskazuje na to, że od tego czasu Clooney jest w bojowym nastroju. Niewykluczone, że to właśnie porażka Demokratów z Trumpem na własne życzenie i walki z samozadowolonymi partyjnymi elitami są paliwem, które wykorzystuje w improwizowanych dialogach z publicznością na Broadwayu. Nadal ma za złe

Od lat nie jest już tylko dyżurnym hollywoodzkim przystojniakiem. To polityczny lobbysta rozsmakowany w zakulisowych intrygach – i jednocześnie obrońca praw człowieka, sponsor prawników reprezentujących dziennikarzy i aktywistów, adwokat sprawy kobiecej

politycznym doradcom i decydentom Demokratów, że nie posłuchali jego sugestii o wymianie kandydata szybciej. W dodatku jest przekonany, że skoro ona ostatecznie nastąpiła – choć niekoniecznie postawiono na osobę w miarę zorientowaną w realnych problemach obywateli – to miał 100 procent racji. Co z kolei wzmacnia wiarę we własny instynkt polityczny i zachęca do jeszcze odważniejszych ruchów.

W sierpniu kilka portali rozrywkowych zaczęło kolportować informację, jakoby Clooney zapragnął być szarą eminencją prawyborów przed elekcją w 2028 roku. Podobno chce zgromadzić wokół siebie koalicję najpotężniejszych liberalnych darczyńców, tak żeby bez jego błogosławieństwa nikt nie był w stanie zdobyć nominacji. Albo odwrotnie – żeby na pewno otrzymał ją ten polityk, którego Clooney wskaże osobiście.

I choć do wyborów pozostały jeszcze trzy lata, amerykańska demokracja pruje się w szwach, są poważne obawy, czy – nie tylko z powodu niespotykanej manipulacji okręgami wyborczymi – głosowanie do Kongresu za rok będzie uczciwe – już dzisiaj widać, na kogo zaangażowany przystojniak chciałby postawić. Jego faworytem jest Wes Moore. Już wcześniej Clooney go wychwalał – brytyjski „The Times" donosił, że zdaniem aktora gubernator Maryland jest tak bardzo lepszy od partyjnych kolegów, że „dosłownie lewituje nad nimi intelektualnie".

64-letni biały gwiazdor, w młodości dziennikarz, sprzedawca butów i niedoszły baseballista, oraz młodszy o pokolenie, ledwie 47-letni czarny weteran z Afganistanu i producent telewizyjny z dwoma elitarnymi dyplomami muszą być w naprawdę dobrych stosunkach, bo gdy w sierpniu polityk wybrał się na kilka dni do Włoch, nocował w willi Clooneya nad jeziorem Como. Wartą 100 milionów dolarów nieruchomość, która grała w „Casino Royale" z serii o Jamesie Bondzie, aktor czasami wynajmuje znajomym na specjalne okazje, ślub brała tu między innymi para aktorów Emily Blunt i John Krasinski. Ile za wypoczynek w Como zapłacił gubernator Moore? Nie wiadomo, choć jego biuro zapewnia, że prywatnymi pieniędzmi.

Taka deklaracja paść musiała, bo wyjazd natychmiast opisały brukowce, na czele z niedoścignionym w dystrybucji plotek towarzysko-politycznych brytyjskim „Daily Mail". Zdjęcia Moore'a z żoną obiegły świat, trafiły też do Białego Domu – a służby prasowe prezydenta Trumpa natychmiast wykorzystały włoskie wakacje gubernatora w krajowej walce politycznej.

Moore i Trump od miesięcy publicznie spierają się na temat bezpieczeństwa w Maryland, ze szczególnym uwzględnieniem największego miasta stanu, ponadpółmilionowego Baltimore. Linia konfliktu jest przewidywalna – Trump twierdzi, że to „miasto upadłe", tak samo jak Los Angeles, Memphis, Portland, Chicago czy Waszyngton. Chce więc wysłać tam Gwardię Narodową, co oczywiście z walką z przestępczością nie ma nic wspólnego – gwardziści, czyli umundurowani i co jakiś czas ćwiczący dentyści, kierowcy ciężarówek czy nauczyciele, nie mają odpowiedniego przeszkolenia ani narzędzi, żeby skutecznie ścigać przestępców, zwłaszcza pracujących dla gangów i dużych syndykatów narkotykowych.

W tle jest jednak drugi wątek, związany z poziomem życia Marylandczyków. Stan i samo Baltimore ucierpiały nieproporcjonalnie mocno wskutek cięć wydatków federalnych dokonywanych zimą i wiosną przez DOGE, paradepartament Elona Muska zajmujący się „wydajnością rządu", bo w regionie znajduje się mnóstwo instytucji federalnych oraz prestiżowy Johns Hopkins University. Od stycznia do kwietnia wskutek działań młodych libertariańskich radykałów zatrudnionych przez Muska pracę straciło w Maryland 5700 osób, w tym aż 2000 związanych z uczelnią. Zamrożono też granty na badania naukowe, w tym pieniądze dla zespołów zajmujących się leczeniem nowotworów. Moore głośno protestował, Biały Dom pozostawał głuchy, ewentualnie go wyśmiewał.

•

Nie wiadomo, czy plan Clooneya na zdominowanie ekosystemu darczyńców Partii Demokratycznej wypali oraz czy to Wes Moore otrzyma ostatecznie jego poparcie – zresztą gubernator kilkukrotnie zaprzeczał pogłoskom o tym, że będzie się ubiegać o prezydenturę za trzy lata.

Natomiast stuprocentowo pewne jest, że zakulisowe ruchy aktora przysporzyły mu sporo wrogów. Na razie nie wypowiadają się oni pod nazwiskiem, ale chętnie kolportują plotki i zabierają głos anonimowo w mediach – wskazując między innymi, że „instynkt polityczny George'a wcale nie jest taki dobry" oraz że „jego atak na Bidena podzielił całą partię i być może przyczynił się do porażki w walce z Trumpem".

Sam Clooney nie przejmuje się tymi głosami. Może je zbywać, bo całym swoim życiem, zarówno prywatnym, jak i zawodowym, jednoznacznie daje świadectwo, po której stoi stronie. W kwietniu był gościem w CBS u Stephena Colberta, jednego z najbardziej rozpoznawalnych komików w USA, któremu stacja nie przedłuży kontraktu prawdopodobnie dlatego, że chce ułożyć się z administracją Trumpa. Kiedy Colbert sarkastycznie zapytał go, czy cieszył się z wyniku ostatnich wyborów, Clooney odpowiedział: „A co miałem zrobić? Przypuścić szturm na pierdolony Kapitol?".

To, co wyróżnia go na tle innych gwiazd Hollywood, to nie tylko zaangażowanie w politykę na poziomie przewyższającym niejednego aktywistę czy eksperta, ale też jego związek. Od 2013 roku jest żonaty z Amal Alamuddin, brytyjską prawniczką, absolwentką Oxfordu i New York University, jedną z najbardziej znanych na świecie obrończyń praw człowieka.

Alamuddin, córka uchodźców z ogarniętego wojną domową Libanu, która dzisiaj wykłada na nowojorskiej Columbii i prowadzi gościnne zajęcia na oksfordzkiej Blavatnik School of Governance, najbardziej prestiżowej szkole dla dyplomatów i urzędników w Europie, ma listę współpracowników momentami bardziej imponującą od męża. George grał z Julią Roberts, Bradem Pittem, Mattem Damonem, podczas gdy Amal reprezentowała między innymi: byłą ukraińską premierkę, współliderkę „pomarańczowej rewolucji" Julię Tymoszenko uwięzioną przez prorosyjskiego prezydenta Janukowycza; nękaną sfabrykowanymi procesami za łamanie praw człowieka i korupcję na Filipinach dziennikarkę, pokojową noblistkę Marię Ressę; założyciela demaskatorskiego, znienawidzonego przez wszystkie waszyngtońskie administracje serwisu WikiLeaks, Juliana Assange'a; całą masę dziennikarzy prześladowanych przez autorytarne reżimy w Egipcie, Azerbejdżanie, Mjanmie vel Birmie, państwach bliskowschodnich. Ma też na koncie udział w licznych misjach specjalnych ONZ, zasiadała w międzynarodowych komisjach do spraw praw człowieka. W internecie nie brakuje feministycznych memów stwierdzających, że to nie „znany aktor Clooney poślubił brytyjską prawniczkę", ale na odwrót: „wybitna ekspertka Alamuddin wzięła ślub z amerykańskim aktorem w średnim wieku".

A tak naprawdę „wybitna ekspertka Alamuddin" z „popularnym aktywistą filantropem Cloneyem" – bo od 2018 roku oboje prowadzą własną organizację, Clooney Foundation for Justice, w której statucie zapisali walkę o prawa człowieka, prawa kobiet i wolność słowa. Działają w 40 krajach na całym świecie, głównie tam, gdzie za publiczne wyrażanie swoich poglądów grozi w najlepszym razie więzienie, w najgorszym – kara śmierci.

•

Krótko mówiąc, George Clooney od lat nie jest już tylko przystojnym aktorem nadającym się do niespecjalnie ambitnych, ale kasowo opłacalnych ról. To multimilioner, polityczny lobbysta, członek elity rozsmakowany w zakulisowych intrygach – i jednocześnie obrońca praw człowieka, sponsor prawników reprezentujących dziennikarzy i aktywistów, adwokat sprawy kobiecej. Trudno byłoby wymyślić kogoś, kto lepiej nadaje się na arcywroga Trumpa i ruchu Make America Great Again. Clooney spełnia wszystkie możliwe kryteria.

Ale na razie Biały Dom niespecjalnie się go czepia, bo aktorzy nie są na szczycie listy wrogów publicznych prezydenta. W drugiej kadencji Trump zajmuje się tym, co naprawdę ważne – skupia się na całkowitym wykorzystywaniu i upolitycznieniu Departamentu Sprawiedliwości. Również w celu osobistej zemsty. Zarzuty dostają ludzie, którzy osobiście zaszli mu za skórę – były szef FBI James Comey, nowojorska prokurator Letitia James, były doradca do spraw bezpieczeństwa John Bolton – oni

eprasa.pl 0c26237a5c

wszyscy poczuli już w jakimś stopniu smak zemsty prezydenta.

Ale o Clooneyu na razie cicho, mimo że ten nie szczypie się w język. Albo właśnie dlatego – przytyki i publiczna krytyka drażnią ego Trumpa, ale nie tak jak zdrada (Bolton) czy realnie wyrządzone szkody (James prowadziła sprawy dotyczące finansów rodu Trumpów, Comey – śledztwo w sprawie kontaktów sztabu Trumpa z Rosjanami przed pierwszą wygraną w 2016 roku).

Lecz wcale nie jest powiedziane, że w ogóle od Trumpa nie oberwie. Obdarzony intuicją i talentami trybuna ludowego prezydent wie, że stare elity Demokratów nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia. Poszczególnych urzędników chce przeczołgać przez sądy głównie dla sportu, dla osobistej satysfakcji, ale w opinii wielu ekspertów zachowuje się, jakby opozycji nie bał się ani trochę. Możliwe więc, że Clooneya i jemu podobnych nawet nie zauważa, bo choć drażnią partyjnych bonzów, to jednak w oczach wyborców wciąż są establishmentem. „Onymi". Ale zauważy, jeśli liberalne, a na amerykańskie warunki wręcz lewicowe środowisko Clooneya połączy siły z młodymi, zbuntowanymi aktywistami Demokratów, którzy odcinają się od politykierstwa i mówią językiem ludzi o ich problemach.

Sam Clooney jest zaś przekonany, że prawicowy, miejscami otwarcie faszystowski trend w amerykańskiej polityce da się jeszcze odwrócić – choć jest świadomy powagi sytuacji. Rozmawiając z Andersonem Cooperem w CNN, stwierdził, że dzisiejszy strach wywołany przez działania Trumpa jest gorszy niż „czerwona panika" czasów McCarthy'ego. Głównie dlatego, że za sprawą serwisów społecznościowych łatwiej się szerzy i głębiej wchodzi w tkankę społeczną Ameryki.

Ale też dlatego, że administracja federalna ma większe uprawnienia w wielu dziedzinach, a więc i dłuższe ręce niż siedem dekad temu.

Mimo to Clooney nie chce porównywać lat 50. ubiegłego wieku z tym, co dzieje się obecnie – z jednego powodu. McCarthy'ego – mówił w CNN – napędzał lęk przed apokalipsą nuklearną. A więc, w domyśle, znacznie potężniejszy, bardziej fundamentalny niż najzacieklejsze wojny kulturowe o podatki, prawa osób trans, Biblię, rasę, aborcję czy migrantów. „Kiedy byłem dzieckiem, w szkole ćwiczyliśmy wchodzenie pod ławki i znajdywanie schronienia. Byliśmy przekonani, że i tak wszyscy zginiemy z powodu bomby".

I nie chce wyłącznie straszyć, malować przyszłości w czarnych barwach. Sztuka o czasach Murrowa i „czerwonej paniki" – podkreśla – ma przede wszystkim przypomnieć Amerykanom, że jako naród przeszli już przez wiele trudnych momentów. Niejednokrotnie w ich historii strach paraliżował obywateli, zanikała solidarność, a mimo to Ameryka przetrwała.

W końcu „Amerykanom zawsze udawało się znaleźć swoich aniołów stróżów. Teraz też się uda". Kto jak kto, ale były Batman chyba wie, co mówi. ●

1 RP

Żaba już wrze

Czy Wikipedia przetrwa w świecie sztucznej inteligencji i Donalda Trumpa?

Wojciech Szot

Miliard dolarów zaoferował w 2023 roku Elon Musk za zmianę nazwy „Wikipedia" na „Dickipedia". Rok później napisał na X, że „Wikipedia jest kontrolowana przez skrajnie lewicowych aktywistów".

W kwietniu 2025 roku Ed Martin, prokurator dystryktu Kolumbii, wysłał list do fundacji Wikimedia – organizacji non profit, która prowadzi internetową encyklopedię – oskarżając ją o „pozwalanie zagranicznym podmiotom na manipulowanie informacjami i szerzenie propagandy wśród amerykańskiej opinii publicznej".

To niejedyne problemy Wikipedii. Zagraża jej też sztuczna inteligencja. – Wiele osób, które korzystają z AI, w ogóle nie trafia na naszą stronę – mówi „Wyborczej" Franziska Heine, dyrektorka zarządzająca Wikimedia Deutschland.

WOJCIECH SZOT: Niemieckojęzyczna Wikipedia z 3 milionami haseł ustępuje tylko angielskiej. Które z haseł są najczęściej edytowane?

FRANZISKA HEINE*: Te związane z bieżącą polityką. Aktualnie bardzo wiele zmian jest wprowadzanych w hasłach dotyczących wydarzeń w Izraelu i Gazie. Wzmożenie społeczności widzimy też w momentach śmierci znanych osób. Niedawno dotyczyło to choćby biogramu Jane Goodall. Także wydarzenia w rodzaju „Taylor Swift wydaje nową płytę" sprawiają, że hasła jej dotyczące będą masowo przeglądane, edytowane i aktualizowane.

Jak wygląda proces decyzyjny w przypadku takich haseł jak „Krieg in Israel und Gaza seit 2023", czyli w polskiej Wikipedii: „Wojna Izraela z Hamasem"?

– To jeden z najtrudniejszych tematów także dla społeczności wikipedystów. Każdy taki nacechowany emocjonalnie i politycznie temat wzbudza wiele dyskusji, także u nas. W trakcie tej dyskusji wypracowywane są rozwiązania, decydujemy się na konkretne określenia. Jeśli budzą kontrowersje, tworzymy też inne, alternatywne sformułowania. Podajemy wtedy uzasadnienie oraz odnośniki do źródeł, które omawiają dany problem.

W Wikipedii obowiązuje cały szereg reguł, które pomagają w zarządzaniu przestrzenią wirtualnej encyklopedii. Naszym nadrzędnym celem jest pisanie z neutralnego punktu widzenia. Jeżeli pojawiają się różne opinie na jakiś temat, staramy się opisać go w sposób, który nie przechyla się w żadną stronę. Oczywiście pewnych tematów nie da się opisać jednoznacznie, zatem musimy wyjaśniać go z wielu perspektyw. Ale zasadniczo w artykułach podajemy fakty i informacje. Gdy pojawiają się opinie – informujemy o tym.

W 2007 roku niemieckojęzyczni wikipedyści odkryli prawicową grupę Rosa-Liebknecht Sockenpuppenzoo (Marionetkowe Zoo im. Rosy Liebknecht). Jej członkowie za pomocą ponad 700 fałszywych profili dokonali ponad 20 tysięcy zmian w hasłach. Ich celem było m.in. bagatelizowanie Holokaustu i reinterpretacja odpowiedzialności Niemiec za II wojnę światową. Po trzech latach udało się przerwać ich działalność i poprawić hasła.

– To pokazuje, jak wiele wyzwań stoi przed naszą społecznością. Gdy ludzie piszą artykuły, hasła w Wikipedii, mogą się mylić. Niektórzy mogą też celowo wprowadzać fałszywe informacje. Dlatego tak duża odpowiedzialność ciąży na osobach, które weryfikują określenia. Zwracamy uwagę na artykuły tworzone przez osoby, które dopiero debiutują w Wikipedii, weryfikujemy też numery IP i ich powiązania z konkretnymi kontami. Trzecią instancją stojącą na straży jakości treści są administratorzy, którzy mogą blokować artykuły przed dalszą edycją czy też blokować samych użytkowników.

Można powiedzieć, że Wikipedia jest jak kanapka z plasterkami sera szwajcarskiego. Może i w każdym elemencie będą jakieś dziury, ale jako całość funkcjonuje bardzo dobrze. To wszystko zasługa transparentności i dialogu między użytkownikami. To w końcu oni zidentyfikowali działalność Sockenpuppenzoo.

Jesteś w WIkipedii od 2017 roku. Byłaś najpierw autorką tekstów?

– Nie, nigdy nie edytowałam treści, ale byłam zaangażowana w projekt Wikidata.

Na czym polega?

– Wikidata została rozwinięta w Niemczech w drugiej dekadzie XXI wieku. Jej ideą jest łączenie różnych wersji językowych Wikipedii, których jest kilkaset. Podstawowym zadaniem Wikidaty było połączenie artykułów w różnych językach – czyli zautomatyzowanie informacji o tym, że dany tekst jest dostępny np. w polskiej i rumuńskiej Wiki. Dzięki Wikidacie nie ma także potrzeby zmieniania niektórych informacji we wszystkich wersjach, wystarczy, że zmieniona zostanie konkretna dana. Czyli np. jeśli w Polsce zmieni się premier, to w każdej z wersji Wikipedii ta informacja zaktualizuje się automatycznie.

W efekcie Wikidata jest przeciwieństwem 300 wersji językowych. Tu mamy jeden obiekt, który ma swoje właściwości, jak np. języki, w których jest opisany. Chcieliśmy, by Wikipedia była zrozumiała nie tylko dla ludzi, ale też dla różnego rodzaju programów, które pracują z danymi.

Zbierane przez nas dane są dostępne publicznie zgodnie z ideą Wikipedii. Zauważyliśmy, że stały się bardzo atrakcyjne m.in. dla bibliotek czy dużych muzeów, które dzięki nim mogą rozbudowywać swoje katalogi.

Dzisiaj jednak łatwa dostępność danych często jest problemem – używane są do trenowania modeli sztucznej inteligencji. Efekt nie jest ani otwarty, ani darmowy. I poza kontrolą społeczną. Czy AI wpłynie niekorzystnie na rozwój idei open source?

– Rzeczywiście sztuczna inteligencja od lat używa naszych danych. Początkowo chodziło o trenowanie asystentów językowych takich jak Alexa i Siri. Teraz dotyczy to LLM, czyli dużych modeli językowych. Nasza licencja na to pozwala, choć wymagamy od modeli AI, by ujawniały, skąd czerpią informacje, co niestety nie jest częstą praktyką.

Tu zaczyna się pojawiać prawdziwy problem – wiele osób, które korzystają z AI, w ogóle nie trafia na naszą stronę, gdzie każda informacja przedstawiana jest w szerszym kontekście, obudowana danymi o źródłach czy ewentualnych wątpliwościach. To oczywiście może negatywnie wpłynąć nie tylko na jakość przekazu, który otrzymuje użytkownik, ale też na rozwój naszej społeczności.

Po prostu mniej osób będzie zainteresowanych tworzeniem informacji. Po co to robić, skoro AI „wie"?

Jeszcze niedawno po wpisaniu jakiegoś hasła w Google'u na czele wyników pojawiały się Wikipedia i media jakościowe. Dzisiaj to należący do Google'a asystent AI. Spowodowało to spadki odsłon w mediach. Odczuwacie je w Wikipedii?

– Od 10 lat obserwujemy stałe, choć nie gwałtowne i drastyczne zmniejszanie się ruchu na stronie. Na szczęście nie wszyscy przenieśli się do ChataGPT. Jednocześnie wiemy, że ten proces istnieje i musimy dbać o rozwój naszej społeczności.

Kiedyś w szkołach, gdy zadawano prace domowe, mówiono: „Nie korzystaj z Wikipedii". Teraz się mówi: „Nie korzystaj z ChataGPT". Pytania, które musimy sobie zadawać, brzmią: „Skąd ludzie w przyszłości będą czerpać informacje? Co będzie ich interesowało i jakie to będą informacje?". To w efekcie pytanie o to, czy filarem naszego świata będą sprawdzone, rzetelne informacje czy nie.

Zagrożenie jednak dostrzegam gdzie indziej. Co się stanie, gdy ludzie uznają, że wystarczą im treści dostarczane przez mechanizmy, w których nie ma procesów weryfikacji. Innymi słowy – co, jeśli ludzie uznają, że może i dana informacja jest fałszywa, ale co z tego, skoro pasuje im jej treść?

Gdy taki moment nadejdzie i obudzimy się w takim właśnie świecie, będziemy mieć o wiele poważniejsze problemy niż to, czy z naszej strony korzysta jakiś silnik AI.

Ale mam też dobrą wiadomość. W 2024 roku, gdy ChatGPT i inne tego rodzaju mechanizmy zaczęły być bardzo popularne, zaczęliśmy dostawać więcej darowizn. Wiele osób pisało, że do tej pory nie angażowali się w naszą działalność, ale teraz widzą, jak ważne jest, byśmy istnieli i się rozwijali. Dostrzegam szansę dla ruchu społecznego, który będzie w kontrze wobec efektów generatywnej sztucznej inteligencji. Być może wiele osób właśnie teraz dopiero uświadamia sobie, jak ważne jest korzystanie ze sprawdzonych źródeł informacji.

W ostatnich latach przeciwko Wikipedii grzmieli między innymi Donald Trump i Elon Musk. Czy w Niemczech odczuwacie presję polityczną?

– Działamy w zupełnie innym otoczeniu i nikt na nas nie wywiera presji. W maju 2025 roku utworzono resort cyfryzacji i modernizacji państwa, z którym prowadzimy rozmowy. Na pewno przyświeca nam świadomość tego, że społeczeństwo obywatelskie trzeba włączyć do współdecydowania o kierunku, w którym ma się rozwijać cyfryzacja. Na pewno interesuje nas też cyfryzacja administracji – zarówno na poziomie Niemiec, jak i Unii Europejskiej, oraz uniezależnienie jej od Stanów Zjednoczonych.

Wikimedia Deutschland jest organizacją pozarządową, która nie dostaje żadnych pieniędzy od rządu federalnego. Jesteśmy częścią różnych projektów, które są finansowane z unijnego czy krajowego budżetu, ale sami takich projektów nie prowadzimy. W efekcie żaden rząd nie może wpływać na nasze działania.

Powiedziałaś o momencie, który może nadejść, ale to już się w zasadzie dzieje – pod różnymi zabawnymi filmami stworzonymi za pomocą AI czytam komentarze: „Może i AI, ale mnie rozbawiło". Mam wrażenie, że trwa już – nie wiem, czy w niemieckim jest takie określenie – powolne gotowanie żaby.

– Po niemiecku mówimy tak samo. I uważam, że to wcale nie jest powolne gotowanie żaby, żaba już wrze. Rozwój AI jest niesamowicie szybki. Kilka dni temu uczestniczyłam w dyskusji, podczas której omawiano, czy i jak powinno się używać AI w rządzeniu. Zaskoczyło mnie to. Pomyślałam: „To już tu jesteśmy?".

W tym momencie zaczynam się zastanawiać, czy to jest świat, w którym chcemy żyć. Ale prawda jest taka, że on już nadchodzi. ●

Rozmowę tłumaczył Wojciech Capała

FOT. MATTHIAS WEHOFSKY/DOMENA PUBLICZNA

***Franziska Heine**

• niemiecka menedżerka, specjalistka w zarządzaniu oprogramowaniem. Od 2022 roku dyrektorka zarządzająca Wikimedia Deutschland.

IGRZYSKA WOLNOŚCI

• W sobotę 25 października Franziska Heine weźmie udział razem z Agatą Bielik-Robson w debacie „Demokracja i dialog", którą poprowadzi Piotr Bieniuszys.

eprasa.pl 0c26237a5c

TOMEK WILMOWSKI NIE PŁACZE

eprasa.pl 0c26237a5c

1 RP

„W pustyni i puszczy” przepisane? Zmiany w książkach Agathy Christie i Roalda Dahla?

Jak poprawiano literaturę od starożytnych Greków, przez Szekspira, Conrada, po Kosika i panią Wallace.

Wojciech Szot

Trzy wiedźmy z „Makbeta” to wyjątkowo enigmatyczne postaci tego dramatu. Szekspira. Stoją miedzy światem realnym a złudą i są personifikacją zła

FOT. ILBUSCA/GETTY IMAGES

Dwa wielbłądy niosły jeźdźców z Policji Literackiej przez półpustynne stepy”. To Doktor Lektur i jego feministycznie usposobiona towarzyszka Jessica LaFemme ruszają przez Afrykę w poszukiwaniu zaginionych w pustyni i w puszczy dzieciaków. Tak, Stasia i Nel, bohaterów powieści Henryka Sienkiewicza.

Marcin Przewoźniak napisał nową wersję „W pustyni i w puszczy”, uwzględniając współczesną wrażliwość i mierząc się z kontrowersjami pierwowzoru. Oto więc Doktor Lektur będzie się uczył, że słowo „Murzyn” lepiej zastąpić słowem „Afrykanin”, a agentka LaFemme będzie wygłaszać przemowy w rodzaju: „Świat jest zaludniony przez wiele kultur. I one wcale nie muszą podrzynać sobie gardeł”. – Brakuje ci argumentów w dyskusji i dlatego odbezpieczasz karabin? – pyta porywczego detektywa jego towarzyszka?

Seria „Doktor Lektur” w zamierzeniu ma znane opowieści pokazywać w zupełnie innym, współczesnym świetle. Autor zaczął od „W pustyni i w puszczy”. Czy to oznacza, że trzeba przepisać lektury szkolne?

Historia słowa na „k”

Weźmy takiego Kochanowskiego. Matematyk z jego fraszki, choć „wie, jako wstają i zachodzą zorze”, nie widzi, że „ma kurwę w domu”. Czy w 2025 roku powinniśmy na poważnie pomyśleć o zmianach w tekście poety?

Słowo „kurwa” jest obelżywe, choć – gdy przed paru laty publicznie wypowiedział je Jerzy Owsiak – nasz czytelnik bronił go właśnie Kochanowskim, podkreślając, że „kurwa” została „usankcjonowana w naszym języku już w XVI wieku”. Teorii pochodzenia „kurwy” jest przynajmniej kilka i na pewno jest to słowo starsze od Jana z Czarnolasu.

Słowo na „k” ma zapewne prasłowiańskie korzenie i od początku oznaczało kobietę o obyczajowości rozwiązłej. Występuje w jednym z najstarszych udokumentowanych polskich przysłów. Brzmi ono: „Kto nie ma kurwy w swym rodzie, tedy to zmaż” – taki dopisek zamieścił w latach 30. XVI wieku czytelnik na egzemplarzu traktatu Arystotelesa „De anima”, którego inkunabuł znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. To dość wulgarna wersja znanego w wielu krajach powiedzenia: „Gdyby młodzi wiedzieli, a starzy mogli”. Zatem „kurwa” ma dla polszczyzny zasługi trudne do podważenia.

Gombrowicz uważnie zmieniał drugie wydanie „Ferdydurke. Były zmiany niewielkie, ale były też znaczące – rozdział czwarty de facto napisany został na nowo

Czy współczesna wrażliwość jest gotowa na „kurwę”? Sądząc po tym, że za używanie tego, jakże cennego dla wyrażania emocji, słowa można dostać karę grzywny – niekoniecznie. Współcześnie cenzorem są też algorytmy w serwisach społecznościowych, które obniżają zasięgi, a czasem i blokują wpisy zawierające „trudne” słowa, jak choćby „wojna” czy „seks”. Nie tylko słowa budzą spory. Czy młodzi czytelnicy mają czytać o tragicznych przypadkach literackich bohaterów?

Pisarze, wydawcy, redaktorzy od wieków przerabiali własne i cudze dzieła, licząc na to, że nowe, poprawione wersje książek wciąż będą w stanie zainteresować osoby czytające. Przyczyny tych decyzji rzadko kiedy były literackie – przeważnie decydowały polityka, obyczaje i oczywiście pieniądze.

Nic, co przepisane, nie jest nam obce

„Człowiekiem jestem; nic, co ludzkie, nie jest mi obce”, napisał Terencjusz w powstałej w II wieku p.n.e. sztuce „Heauton timorumenos” („Sam siebie karzący”). Była to ironia, która kilkanaście stuleci później została odczytana całkiem na poważnie i umieszczona na sztandarach Renesansu.

Dla naszej „krótkiej historii przepisywania literatury” jednak ważniejszy jest fakt, że cytat pochodzi ze sztuki będącej adaptacją innej, starszej o kilka stuleci. Terencjusz bowiem, podobnie jak starszy od niego Plaut, pisał swoje dzieła, przerabiając komedie żyjącego dwa wieki wcześniej Menandra, greckiego poety, autora 108 komedii, z których tylko jedna – „Odludek albo mizantrop” – zachowała się do czasów współczesnych (odnaleziono ją w połowie XX wieku). Plauta i Terencjusza przerabiali zaś twórcy polskiego teatru doby Oświecenia.

O ile przerabianie dzieł pod nową postacią czy nawet cenzorskie zapędy dawnych tłumaczy i tłumaczy literatury nie wzbudzają dzisiaj wielu kontrowersji, o tyle wydawanie „poprawionych” dzieł „udających” oryginalne wzbudza burzliwą dyskusję.

Czy jednak domagamy się, by dzieci czytały wciąż oryginalne baśnie Andersena czy braci Grimm? Nie. Dlaczego? Bo sami często je czytaliśmy w wersjach skróconych czy poddanych infantylizującym zabiegom przekładowym, co dotyczyło szczególnie duńskiego pisarza. „Baśnie” Andersena od wielu lat wydawane są w wersjach będących – nie zawsze oznaczonych – parafrazami oryginałów.

„W baśniach dla 6-latków zachowane zostają wszystkie wątki główne, ale w postaci skróconej, m.in. w partiach dialogowych i opisowych. Zazwyczaj usuwa się też elementy uznane za wywołujące lęk – np. pieśni kwiatów przedstawiające obrazy trumien dzieci czy płonącej na stosie hinduskiej kobiety. Podobnie często rezygnuje się z kreślenia sadystycznego charakteru zbójniczki, który w pierwowzorze objawia się m.in. okrutnymi groźbami śmierci kierowanymi do Gerdy i rena” – opisywała podobne zabiegi badaczka Michalina Jaworska z Uniwersytetu Wrocławskiego, która przyglądała się kolejnym wydaniom „Królowej Śniegu”.

Takie zabiegi nie są niczym nowym na rynku książki. Zaczęły się już na początku XIX wieku wraz z rozwojem i upowszechnianiem się edukacji dzieci.

Szekspir (nie) dla rodzin?

Tak jak dzisiaj mowa o „czyszczeniu” książek, w XIX wieku mówiło się o „bowdleryzacji” literatury.

Termin ten wywodzi się od nazwiska autorów „rodzinnej” edycji sztuk Szekspira – Thomasa Bowdlera i jego siostry Henrietty Marii, którzy w 1807 roku opublikowali wybór dzieł angielskiego dramatopisarza dostosowany do wrażliwości dzieci i kobiet epoki.

Bowdler – jak niemal każde dziecko w dogorywającym XVII wieku – poznawał Szekspira, słuchając ojca, który wieczorami czytał głośno jego sztuki. Dorosły Thomas odkrył, że ojciec zmieniał lub pomijał fragmenty, które uważał za nieodpowiednie dla uszu młodocianego i kobiety. Postanowił pójść tym tropem i ułatwić wszystkim lekturę Szekspira przez ocenzurowanie go, dzięki czemu dzieła Szekspira mogły być wciąż wykorzystywane do rodzinnej lektury.

Każdą ze sztuk Bowdler opatrzył wstępem, w którym uzasadniał dokonane zmiany. Według siostrzeńca Bowdlera autorką „bowdleryzacji” była sama Henrietta Maria, ale ze względu na to, że w tej epoce niemal nikt by nie uwierzył, że kobieta była w stanie zrozumieć Szekspira i dokonać zmian w jego dziełach, podpisał je – wówczas już były – lekarz.

Bowdlerowskie „The Family Shakespeare” początkowo liczyło 20 dzieł Szekspira w czterech tomach, jednak w ciągu 20 lat rozbudowane zostało o 16 kolejnych sztuk i doczekało się pięciu wydań, co zachęciło autora do dalszych przepisywań. W latach 20. XIX wieku Bowdler przygotował skróconą wersję dzieł historyka Edwarda Gibbona, w tym słynnego „Upadku Cesarstwa Rzymskiego”.

eprasa.pl 0c26237a5c

W 1850 roku „Rodzinny Szekspir” został wydany po raz jedenasty.

Czy Julia musiała umrzeć?

Czy protestowano przeciwko dokonaniom Bowdlera? Protestowano. Establishment narzekał, że świadczą one o upadku kultury i cenzurze.

Czy coś te protesty dały? Nic. Jak wspominał słynny poeta Algernon Swinburne (urodzony w 1837 roku): – Nikt nigdy nie oddał Szekspirowi większej przysługi niż człowiek, który to sprawił, że jego dzieła trafiły w ręce inteligentnych i obdarzonych wyobraźnią dzieci.

Jedną z najczęściej przerabianych historii stworzonych przez Szekspira jest opowieść o tragicznej miłości Julii i Romea. Szczęśliwe zakończenie historii kochanków z Werony kusiło niejednego twórcę. Siergiej Prokofiew, komponując w 1935 roku balet na podstawie sztuki Szekspira, ocalił słynną parę od śmierci, jednak powrotu do oryginalnej historii zażądali od kompozytora stalinowscy urzędnicy. Po raz pierwszy balet w oryginalnej wersji wystawiła Mark Morris Dance Company w 2008 roku.

„Król Lear” to sztuka, której zakończenie nie spodobało się Nahumowi Tate'owi, irlandzkiemu poecie, który niewiele ponad 70 lat po śmierci Szekspira, w 1681 roku, opublikował własną wersję historii tytułowego króla. Ze szczęśliwym zakończeniem.

Sztuka Tate'a została gremialnie skrytykowana, co nie przeszkodziło jej odnieść niezwykły sukces – do XIX wieku to jego wersja opowieści była grana w angielskich teatrach. Zdaniem wielu badaczy dziejów teatru przez ponad 150 lat ani razu na scenach nie wystawiono wersji Szekspira (choć była oczywiście wydawana).

Słowo „bowdlerize” zostało po raz pierwszy użyte w 1836 roku. Od tego czasu używa się go do działań mających na celu zmianę treści dzieł ze względów moralnych. Nie jest więc bowdleryzacją propaganda czy manipulacje z podręczników historii, ale zdecydowanie bowdleryzacją jest próba manipulacji treściami dzieł Roalda Dahla czy Agathy Christie.

Rasizm się nie opłaca

W 1925 roku amerykańskie wydanie esejów Montaigne'a zostało ocenzurowane przez Harvard Press. Ze zbioru wyrzucono teksty poświęcone erotyce. Podobnie „Kochanek lady Chatterley” D.H. Lawrence'a – choć napisany po angielsku – w ojczyźnie autora ukazał się dopiero w latach 60. XX wieku. Trzydzieści lat wcześniej autor sam sfinansował pierwszy nakład, który ukazał się we Włoszech (po angielsku). Książka była zakazywana w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Japonii czy Australii. Jednak to – wbrew pozorom – nie erotyka jest największym problemem współczesnych bowdlerów, ale rasizm.

„W brytyjskim kasztelu Murzyn czuje się osamotniony” – pisał w 1887 roku Joseph Conrad w noweli „Murzyn z załogi »Narcyza«”. Początkowo ukazywała się w odcinkach na łamach „Illustrated Buffalo Express”. Tytuł – „The Nigger of the Narcissus. A Tale of the Forecastle” – już wtedy budził zastrzeżenia. I nie chodziło tu o niestosowność „słowa na »n«”. W pierwszym wydaniu książkowym opowiadanie zyskało tytuł „The Children of the Sea. A Tale of the Forecastle”. Uznano bowiem, że słowo „Nigger” nie zachęci odbiorców.

Choć Conrad w swoich opowiadaniach wielokrotnie występował przeciwko rasizmowi, w noweli użył wyjątkowo rasistowskiego określenia „coons”. Pojawia się ono w opowieści jednego z marynarzy, który mówi o chcącym „zabawić się” na lądzie załogancie, że jest „old coon”.

Sformułowanie to tłumaczone na język polski jako „stary oszust” (Lemański) lub „stary płaksa” czy „stary lebiega” (dwie wersje Zielińskiego) odnosi się – zdaniem niektórych badaczy – do żargonu marynarskiego, ale Jeremy Hawthorn, wieloletni komentator dzieł Conrada, uznaje je za jednoznacznie rasistowskie. Zdaniem Hawthorna chodzi po prostu o „czarnucha”, a hasło nawiązuje do popularnej ówcześnie piosenki „All Coons Look Alike to Me” mówiącej o tym, że wszyscy czarni są do siebie podobni, co odbierało im indywidualność. Wykonywane przez aktorów o poczernionej twarzy coon songs były częścią niezwykle popularnych w XIX wieku minstrel show, spektakli łączących w sobie skecze, piosenki i sztuczki cyrkowe parodiujących kulturę czarnych mieszkańców Stanów. Conrad musiał to wiedzieć.

Ryszard Koziołek pisał w „Gazecie Wyborczej”: „Czytana dziś powieść wprawia nas w konfuzję »tym« słowem w tytule. Upierając się przy czytaniu Conrada, nie można wybierać z jego twórczości wyłącznie antykolonialnych rodzynków, ale trzeba brać go z całym inwentarzem, także tym kryptorasistowskim. Chinua Achebe, ojciec nowoczesnej literatury afrykańskiej, nazwał Conrada »cholernym rasistą« i stwierdził, że zdaje się on mieć obsesję na punkcie słowa »Nigger« (czarnuch). Argument, że sto lat temu nie istniała polityczna poprawność, nie jest wystarczający”.

Zdaniem literaturoznawcy Conradowi wolno użyć „słowa na »n«”, gdyż „dokonał w naszych nadwrażliwych oczach estetycznego odkupienia tej krzywdy”. Warto się jednak zastanowić, na ile odkupienie w oczach białych czytelników w Polsce jest tu w ogóle istotne? Kto ma decydować o tym, że dana wersja jest poprawna?

Bowdleryzacja królowej kryminału

Choć czytelnicy w Polsce wydają się przyzwyczajeni do „Dziesięciu Murzynków” Agaty Christie, to nie można tego powiedzieć o osobach czytających w języku angielskim. Ostatnie wydanie kryminału pod tytułem „Ten Little Niggers” ukazało się 48 lat temu. Od tego czasu książka znana jest wyłącznie jako „And Then There Were None” („I nie było już nikogo”).

Ile zmian wprowadzili twórcy w nowych wydaniach, nie informując publiczności? Dopóki ktoś nam o tym nie doniesie, zapewne nigdy się nie dowiemy. Co jest ich celem? Oczywiście dalsza sprzedaż

W Polsce również już od ponad 20 lat nikt nie wydał powieści królowej kryminału pod pierwotnym tytułem. A przecież jest to dzieło, dla którego słowo na „n” wydaje się wręcz kluczowe – ważnym elementem fabuły jest bowiem wierszyk „Ten Little Niggers”. Został on początkowo zmieniony na „Ten Little Indians”, co nie było najszczęśliwszym wyborem, ale pokazuje, jak postępują zmiany kulturowe. Dzisiaj, gdy rasizm wobec czarnych i rdzennych Amerykanów nie jest już normą kulturową, w książce mówi się o „dziesięciu żołnierzykach”.

Drastyczniejszych zmian dokonano w książkach Roalda Dahla. W 2023 roku wybuchł skandal, gdy wydawnictwo Puffin Books i The Roald Dahl Story Company wprowadziły setki „poprawek” w książkach autora. Większość z nich dotyczyło takich kwestii jak „terminy opisujące wagę, płeć, zdrowie psychiczne, przemoc czy kwestie rasowe”, donosiły media. Retusze mają „uszanować wszystkie wrażliwości” i dotyczą najsłynniejszych powieści Dahla, od „Matyldy” po „Charliego i fabrykę czekolady”. Zaprotestowali fani pisarza i inni twórcy, wśród nich Salman Rushdie. Zmiany potępiła również królowa Kamila. Obecnie w księgarniach można kupić dwie wersje książek – oryginalne i te z poprawkami.

Dzieła Dahla, Fleminga czy Christie przynosiły do tej pory miliony dolarów zysku, ale wraz ze zmianami „wrażliwości” czy po prostu postępującym równouprawnieniem, a może „poprawnością polityczną” (proszę wybrać swoje własne określenie tej sytuacji) mogą przestać być kurą znoszącą złote jaja.

Komentujący „poprawianie” Christie mniej uwagi poświęcają temu, co łączy trójkę twórców – uwielbienie brytyjskiego imperializmu, który dzisiaj jest dziedzictwem mocno wątpliwym. Szczególnie wyraźnie brytyjskie nierozliczenie się z czasami kolonializmu i wciąż powszechny rasizm w warstwach uprzywilejowanych pokazała historia Meghan Markle i księcia Harry'ego.

Jeszcze inny jest kontekst poprawiania literatury w Stanach Zjednoczonych, gdzie w ostatnich latach dochodzi do cenzurowania przez władze na różnych szczeblach administracji zawartości szkolnych bibliotek. Tutaj poprawianie literatury nawet w szczytnych celach może być wykorzystane również przez tych, którzy chcieliby wprowadzić do edukacji na przykład poglądy wyłącznie kreacjonistyczne.

Zjawisko przepisywania dzieł literatury nie jest nowe i za każdym razem świadczy nie tylko o zmianach kulturowych, ale i komercyjnych potrzebach tych, którzy za zmianami optują.

Filidor przepisany

Wybitny redaktor Roman Loth pisał, że „autor nie ma mocy unieważnienia ogłoszonego dzieła. Raz opublikowane, wchodzi ono w życie literackie”. Twierdził też, że „zwykle autor troskliwiej dogląda pierwszego wydania swego nowego utworu niż wydań następnych”. Zwykle. Ale bywają autorzy tacy jak Witold Gombrowicz.

Pierwsze wydanie „Ferdydurke” ukazało się w październiku 1937 roku. Drugie – w 1957 roku podczas odwilży. 20 lat dzielące te dzieła to 20 lat wielkich zmian w Polsce, także językowych. Gombrowicz uważnie zmieniał drugie wydanie swojego dzieła. Były zmiany nie-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34400479

DODATEK SPECJALNY: KRYMINALNY CZWARTEK W „WYBORCZEJ”

Zbrodnia w Zimnodole

Małgorzata zamówiła worki z cementem, by zalać ciało Grzegorza zaprawą. Nogi wystawały z formy, więc je obcięła. Śledczy dowodów na zabójstwo nie znaleźli, sąd złagodził wyrok.

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

wielkie – „belfer” został „profesorem”, ale też te znaczące – rozdział czwarty, „Przedmowa do Filidora dzieckiem podszytego”, uległ obszernym zmianom, de facto został napisany na nowo. Które wydanie czytamy współcześnie? Gdy w 2007 roku ukazywało się pierwsze wydanie krytyczne „Ferdydurke”, za podstawę przyjęto drugie wydanie. Ale czy powieść o niedojrzałości powinna być znana tylko z dojrzalszej wersji?

Tomek w krainie bez łez

Jednym z największych bestsellerów w historii polskiej literatury młodzieżowej jest „Tomek w krainie kangurów” Alfreda Szklarskiego. Pierwsze wydanie powieści ukazało się w 1957 roku i choć przyniosło autorowi popularność, to jednak zdecydował się na dokonanie w nim – wcale nie kosmetycznych – zmian, by zaskarbić sobie przychylność… nie tylko cenzorów, ale też nauczycieli i rodziców. W drugim wydaniu „Tomka…” główny bohater już nie jest wątłym młodzieńcem, ale „dobrze zbudowanym blondynem”, z historycznego wstępu do książki wyleciało słowo „rusyfikacja”, a stosunki Tomka Wilmowskiego z nauczycielami zdecydowanie się poprawiły.

W pierwszym wydaniu, gdy Tomek radośnie ściska kapitana Smugę, narrator pisze, że „łzy szczęścia popłynęły po jego twarzy”. W drugim wydaniu Tomek „nagle odwrócił głowę, powstrzymując łzy cisnące się mu do oczu”. Tomek nie płacze od 1960 roku.

„Felix, Net i Nika” i „Rodzina Miziołków” w nowych wersjach

Gdy Rafał Kosik zaczynał pisać „Gang Niewidzialnych Ludzi”, pierwszy tom popularnej serii powieści dla młodzieży „Felix, Net i Nika”, kaseta magnetofonowa czy płyta CD były przedmiotami ogólnie rozpoznawalnymi. Net mógł wtedy spod choinki wyciągnąć „płaski, prostokątny przedmiot wielkości discmana”. W wersji z 2019 roku – pierwsze wydanie to rok 2004 – był to już jednak „płaski, prostokątny przedmiot wielkości książki”.

Dużo więcej zmian wprowadziła do swojej „Dynastii Miziołków” Joanna Olech. Treść książki, będącej dziennikiem tytułowego bohatera, ulegała nie tylko rozbudowie, ale też intrygującym korektom. Autorka m.in. usunęła niektóre z wpisów, jak choćby te odnoszące się do Wielkanocy, czyli święta ruchomego, tak by książka była aktualna niezależnie od kalendarza.

Fifa, szkolny kolega Miziołka, przyniósł na lekcje białego szczura imieniem Gutek. Dzieciaki wypuściły Gutka na lekcji matematyki u pani Barszcz. Czy spotkała ich kara? W pierwszym wydaniu dostali pałę („Ta pała była tego warta!”), w wydaniu z 2014 roku nic takiego się nie wydarzyło.

W nowych wydaniach dziewczyny opisywane przez Miziołka przestały mieć „dziób”, który stał się „twarzą”, „BMX-a” zastąpił „rower górski”, a „Mały Potwór”, której rośnie ósmy ząb, już nie wygląda zdaniem mamy „idiotycznie”, ale „identycznie” i nie jest „gruba jak prosię”, ale ma „obrzydliwe dołeczki w policzkach” (to mówi złośliwy Miziołek). Tak się zmienialiśmy w ciągu tych 20 lat.

Ile takich zmian wprowadzili twórcy w nowych wydaniach, nie informując publiczności? Dopóki ktoś nam o tym nie doniesie, zapewne nigdy się nie dowiemy. Co jest ich celem? Oczywiście to samo co w przypadku poprawiania dzieł Christie czy Dahla – dalsza sprzedaż.

Poznajcie panią Wallace, praprawnuczkę pana Wallace’a

Dlatego w finale tej opowieści chciałbym, żebyście poznali Carol Wallace, pisarkę, która dla pieniędzy zrobiła bardzo dużo.

Otóż Carol Wallace jest pisarką, współautorką m.in. powiastki „To Marry an English Lord” („Poślubić angielskiego lorda”), która ponoć zainspirowała twórców serialu „Downtown Abbey”. W bibliografii pani Wallace trudno jednak przejść obojętnie wobec innego dzieła. „20001 imion dla dzieci” z pewnością czeka na polską adaptację.

Pani Wallace jest praprawnuczką Lewisa Wallace’a, autora „Ben Hura”, powieści napisanej w 1880 roku. Do czasu „Przeminęło z wiatrem” – czyli do roku 1936 – była to najlepiej sprzedająca się powieść w Stanach Zjednoczonych.

Gdy w 2016 roku na ekrany kin wchodziła kolejna adaptacja powieści Wallace’a, tym razem w reżyserii Timura Bekmambetowa, pani Wallace napisała „Ben Hura” od nowa. Wszystko po to, by książka ukazała się w okładce z filmowym fotosem, a czytelnicy szukający słynnego dzieła zamiast książki prapradziadka, której skończył się okres ochrony praw autorskich i jest dostępna za darmo w internecie, nabyli twórczość pani Wallace.

Jak napisał Rick Hamlin, mąż pani Wallace (i również pisarz): „Przepisanie książki prapradziadka było dla niej podróżą do wiary”. A wydawałoby się, że skokiem na kasę. Nieudanym – film był kasową porażką, książki pani Wallace również nie odnotowały prestiżowe magazyny z recenzjami.

Chodzi tylko o kasę?

Krótka historia przepisywania literatury przeważnie sprowadza się do pieniędzy. Bowdler dzięki swojej siostrze i pomysłowi na Szekspira nie musiał już nigdy pracować jako lekarz (od leczenia wolał szachy), wydawcy mogą wymyślać kolejne wariacje na temat „Królowej Śniegu”, dbając nie o przekłady, ale o własny interes. Podobnie inni przepisywani i przepisujący kierowali się trudno ukrywanym rachunkiem ekonomicznym. W księgarniach nasz wzrok przyciągają półki z „nowościami”. Można się na nie dostać, gdy napisze się coś oryginalnego, ale można też – przepisując coś dawnego i tworząc wokół tytułu otoczkę kontrowersji.

Tym, co doceniamy, jest mityczna dłoń artysty, która stanowi o oryginalności dzieła. Nawet ustawa o prawie autorskim, która w Polsce jest wyjątkowo restrykcyjna w tym względzie, mówi, że spadkobiercy mogą wprowadzać zmiany, gdy „są one spowodowane oczywistą koniecznością, a twórca nie miałby słusznej podstawy im się sprzeciwić”. Czy twórca mógłby się z nami pokłócić o to, czy był – na przykład – rasistą? Czy zmiana wrażliwości i norm kulturowych jest „oczywistą koniecznością” do zmian? Wszystko zależy od tego, kto ocenia. Wnuk niewolnika czy wnuk autora?

Niezależnie od tego, czy zmiany wprowadza autor czy jego spadkobierca, efekt jest ten sam – dzieło ewoluuje podobnie jak świat wokół nas. Może lepiej pozwolić przeszłości odejść do przeszłości, a niekoniecznie ją reaktywować, jak zrobiła to choćby pani Wallace? Chyba że naprawdę nie widzimy niczego niepokojącego w dzieciach czytających – u Sienkiewicza – że „Mea mieć czarną skórę i czarny mózg”? ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Marta Błażejowska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Kraj/34402903

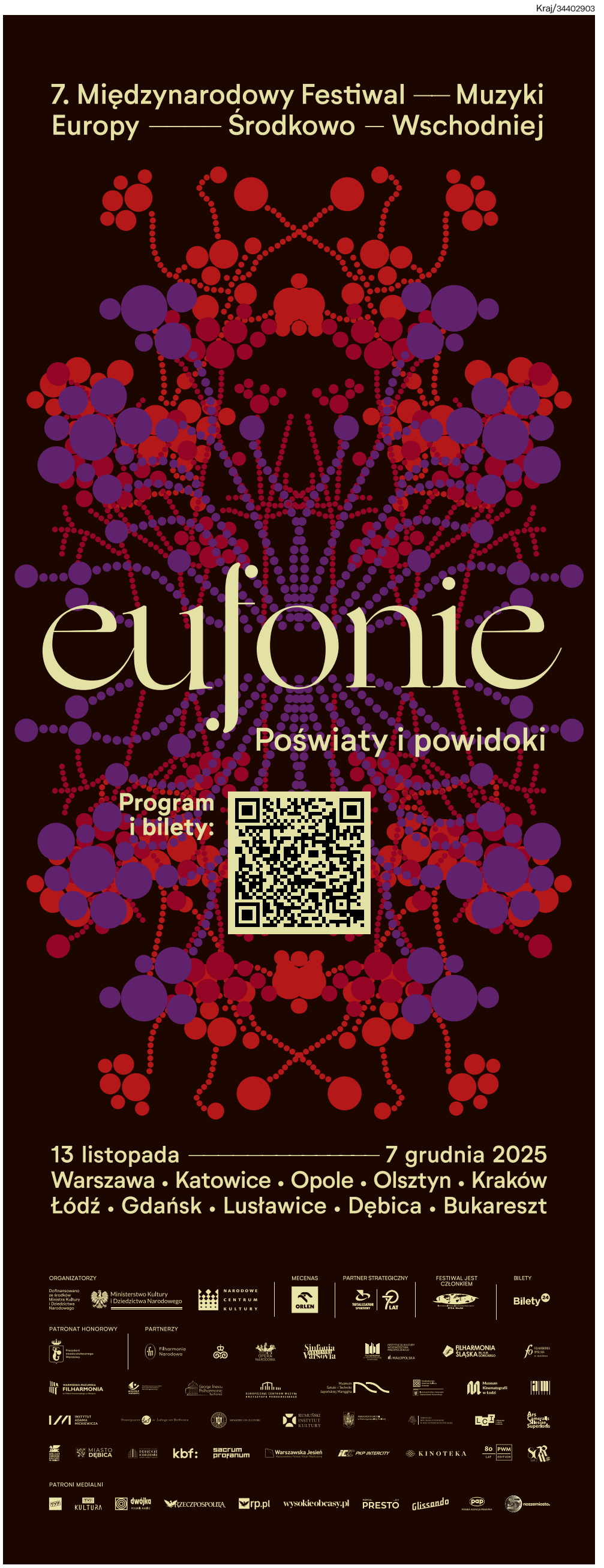

eprasa.pl 0c26237a5c

Co z tego, że wygrała? Nie wie, że anoreksja to choroba? Jaki wzór daje dziewczynkom?

A W OGÓLE, TO WIDZIAŁA SIĘ W LUSTRZE?

• Pauline Ferrand-Prevot na mecie 9 etapu wyścigu 4. Tour de France Femmes 2025. Wygrała ten etap i całą kasyfikację generalną tego wyścigu

FOT. SZYMON GRUCHALSKI/GETTY IMAGES

Anna Tkocz

To przeterminowany temat – mówię. – Nikt już o tym nie pamięta. Był środek lata, flauta w polityce, paragony grozy i klapki na Orlej Perci już zdążyły się rozgrzać i wypalić, a tu dziewczyna wygrywa wielki wyścig, schudła w tym celu, może trochę za bardzo. Algorytmy zachwycone, portale społecznościowe się grzeją, jedni zniesmaczeni, drudzy oburzeni na tych zniesmaczonych. Ale nawet jeśli ktoś miał własne wyważone zdanie i brał pod uwagę szerszy kontekst, wiesz, wojnę kulturową i tak dalej, teraz to już absolutnie nikogo nie obchodzi. Świat już jest naście imb dalej. Aktualnie chyba przy kolejnej dramie między Dżej Kej a Hermioną".

„To nie jest przeterminowany temat". Patrzy mi prosto w oczy. Zaczepnie, ale pod tą twardością widać rozczarowanie. „Nie wierzę, że muszę ci to tłumaczyć" – kreśli palcem kropki i kreski na barowym stole. „Nie o nią chodzi. Chodzi o nas. O to, że wciąż patrzymy na kobiety tak, jakby były winne ciałem. A ty mówisz, że to nieistotne".

Myśli, że to podchwycę. Że skoro siedzę w mediach, tych prawdziwych i tych społecznościowych, a jednocześnie lubię przyglądać się szarościom dylematów, będę chciała ustalić obiektywne proporcje czerni i bieli. „To nie jest przeterminowany temat" – powtarza.

„Może i nie. Ale jak zaczniesz w nim grzebać, każdy gotów jest się obrazić. Każdy o coś innego. I wcale nie tylko o feminizm, przegięty, udawany, jaki chcesz. Czy o seksizm, czy o paternalizm. Po prostu w tym kraju ludzie marzą, żeby trochę schudnąć, i nikt nie chce słuchać o pięknej sportowej celebrytce, kolarskiej mistrzyni, i tak już wysportowanej, która zrzuciła jeszcze parę kilogramów i się jej za to oberwało. To jak opowiadać ubogim o rozterkach inwestora giełdowego".

Milczymy chwilę. Patrzy na mnie męcząco długo, jakby próbowała zrozumieć, kiedy przestało mi zależeć. A przecież ten mój opór to nie obojętność. To chyba nowa forma obrony – przed nadmiarem. Bo ile można się oburzać, ile tłumaczyć, ile udawać, że nas to nie dotyczy? Każda z nas nosi w sobie jakąś wersję tej historii – w której mamy być w sam raz, ale nigdy nie jesteśmy. Bo nie da się być „akurat" dla wszystkich.

•

W tym sporcie jest sporo kalkulacji: taktyka, waty, kadencja, tętno, moc, waga roweru, opór powietrza. I grawitacja! Każdy kalkuluje, nawet amatorzy. Ale zanim pojawi się matematyka, jest ciało – komórki, które „uczą się" zużywać mniej, by dawać więcej. Serce, które bije wolniej, bo musi wytrzymać dłużej. Uprawianie sportów wytrzymałościowych fizycznie zmienia organizm i wpływa na wydajność procesów, jakie w nim zachodzą.

Katarzyna Niewiadoma-Phinney na ostatnim etapie Tour de France Femmes 2024, którym przypieczętowała zwycięstwo w całym wyścigu, zużyła 4000 kilokalorii. Odcinek liczył 162 km i był typowym górskim etapem, dość powiedzieć, że przewyższenia sięgnęły 3760 m w w pionie. Jakby wspiąć się rowerem na Rysy, a potem jeszcze na Śnieżkę.

Pokonanie etapu z finiszem na L'Alpe-d'Huez zajęło Kasi Niewiadomej pięć godzin. Zgodnie ze sztuką powinna w tym czasie przyjąć około 1800 kcal doładowania – pięć lub sześć dużych żeli energetycznych lub batonów) – wciąż za mało, by uzupełnić spożytkowaną energię. Trwający 7 dni wyścig obejmował 8 etapów – w tym jeszcze jeden górski i dwa pagórkowate – i niemal 1000 kilometrów. Naturalny turnus odchudzający, ale zdecydowana większość z nas nie byłaby skłonna wybrać się w wakacje do takiego SPA.

Ten sam wysiłek, starania i ambicja, te same liczby, ta sama biochemia. Ale kolarz jest „skoncentrowany, precyzyjny, skalkulowany", kolarka „wychudzona, blada, zmarnowana"

Choć nie każdy wyścig rozgrywany jest w górach, płasko wcale nie oznacza łatwiej. Płaskie trasy to dla kolarzy brak odpoczynku na zjazdach i wielogodzinny, nieprzerwany wydatek energetyczny – ciągły obrót korbami, skupienie i gotowość na odpowiedź na atak rywalek lub rywali. No i ten wmordewind, gdy na długiej prostej przez pola ty jedziesz 45 na godzinę, a on wieje 50, masz wrażenie, jakbyś pedałowała w miejscu.

Tu źle i tam niedobrze. Dlatego można mieć lekki, aerodynamiczny rower i samemu być lekkim, ale i tak najważniejsze pozostaje jedno, jak w czasach drewnianych obręczy, wełnianych trykotów i wypomadowanych wąsów – uzupełnianie na bieżąco zasobów energii. „Żeby jeździć, trzeba jeść" – mówią kolarze, gdy chcą brzmieć poważnie, w towarzystwie rzucają chętniej: „Jeździmy, żeby po sezonie móc jeść dużo ciastek".

Prawda jest taka, że w sezonie startowym nawet potężna liczba ciastek nie jest w stanie zaspokoić zapotrzebowania zawodnika na składniki odżywcze. Nie przypadkiem Jan Ullrich, jeden z największych (oraz najbardziej autodestrukcyjnych i pechowych) kolarzy wszech czasów, który zajadał stres, kompleksy i porzucenie przez ojca, wchodził w sezon niczym opięty lycrą tucznik (disclaimer, nim padną oskarżenia o bodyshaming – sam się tak z siebie śmiał) – i po dwóch tygodniach trenin-

eprasa.pl 0c26237a5c

gu do trudności Tour de France zmieniał się w grecki posąg.

Długotrwały, powtarzany wysiłek generuje deficyt energetyczny, na skutek którego zawodnik czy zawodniczka tracą na wadze. Tkanka tłuszczowa zanika, poprawiając, przynajmniej w teorii, najbardziej pożądany kolarski parametr – waty na kilogram masy ciała. Silny i lekki kolarz łatwiej pokonuje podjazdy. Mały problem zaczyna się wtedy, gdy ubytek wagi powoduje spadek możliwości wysiłkowych. Nie zjadłeś? Nie pojedziesz! Ale przynajmniej będziesz szczupły. Duży problem zaczyna się, gdy podupada twoje zdrowie.

Treningi interwałowe o wysokiej intensywności (HIIT), jakie w okresie przygotowawczym są dla kolarzy niemal codziennością, potrafią wpływać na liczbę i wielkość mitochondriów – organelli komórkowych, w których na drodze oddychania komórkowego zachodzą procesy związane z produkcją energii przez organizm. A przekładając z rozszerzonego podręcznika dla klasy pierwszej liceum biol-chem na nasze – im więcej trenujesz, tym sprawniej jesteś w stanie pozyskiwać energię z pożywienia. Poddanie się długotrwałemu, intensywnemu treningowi wpływa na specjalizację organizmu.

Innymi słowy, my, Kowalscy i Kowalskie, nie jesteśmy jak oni, nawet jeśli jeździmy na rowerze długo i często. Współczesne zawodowe kolarstwo jest jak Formuła 1 – niczego tutaj nie zostawia się przypadkowi. To kalkulacja przeprowadzana na najzdolniejszych i najsilniejszych jednostkach, które potem siadają na rowerze i wykonują swoją pracę – wykorzystują wszelkie posiadane zasoby, by zbliżyć się do podium. Oni mają sztab fizjologów i statystyków, my mamy treningowego smartwatcha.

To jest różnica, która powinna nas powstrzymywać przed szybkim (podszytym źle rozumianą poprawnością) sądem i wyrażaną na fejsie oraz Instagramie (nieco faryzejską) troską, że ona czy on wyglądają „niezdrowo", nie „normalnie".

W 2017 roku Chris Froome, najlepszy kolarz drugiej dekady tego stulecia, wygrywa Tour de France po tym, gdy intencjonalnie schudł 9 kilogramów. Jego wskaźnik *power-to-weight* (to właśnie te słynne waty na kilogram masy ciała) wzrósł wtedy o dramatyczne 10 procent i pozwolił pokonywać mu najcięższe podjazdy w stylu nieosiągalnym dla rywali. Jeździł brzydko, wyglądał źle, jak przerośnięty Gollum, ale wygrywał. Świat niespecjalnie go lubił, ale gratulował mu wygranej. „Silnik", już wcześniej sprawny, teraz mógł dźwigać mniej i jechać szybciej.

Froome jednak pracował nad tym świadomie. Sam przyznaje, że gdy sześć lat wcześniej nie dojadał, by zrzucić parę kilogramów przed Vueltą – trzecim pod względem rangi i kultowości wyścigiem etapowym świata – robił w to sposób zagrażający zdrowiu, bez kontroli specjalistów i odbiło się to na jego formie.

•

Kolarz nie chudnie z próżności, tylko z procesu. Z powtarzalności. Z codziennego wydatkowania energii i przemyślanej, odpowiedzialnej diety. Lata treningów i wyścigów sprawiają, że ciało się adaptuje. Staje się wydajne, ekonomiczne, skupione na celu. „Jedz odpowiednio dużo, by mieć siłę, i odpowiednio mało, by pozostać szczupłym". A właściwie lekkim. To fizjologia – czysta, nieideologiczna. I praca, której ewaluacja jest bardzo prosta, bo zerojedynkowa. „Jesteś pierwszy – wygrywasz. Jesteś drugi – jesteś pierwszym przegranym. Reszta się nie liczy".

Ciało sportowca nigdy nie będzie wyglądać „normalnie", gdyż wysiłek, jaki wykonuje, nie jest normalny. W kolarstwie szczupłość nie jest jakąś celebrycką modą dopalaną ozempikiem – jest efektem profesjonalizmu nie tylko samego kolarza, ale całego sztabu osób odpowiedzialnych za jego przygotowanie. Ciało sportowca jest narzędziem, które codziennie się zużywa i odbudowuje, żeby mogło następnego dnia znowu działać.

Tyle że z zewnątrz wygląda to jak estetyka, a nie biologia. I może właśnie dlatego tak łatwo poddać ją powierzchownej ocenie.

•

Legendarny Tour de France od 1903 roku odbył się już 112 razy, z przerwami na wojny. Na najwyższym stopniu podium stanęło 65 mężczyzn. Kilku więcej niż raz. Nie było wśród nich Polaka. Wyścig Tour de France Femmes odbył się do tej pory 4 razy, na najwyższym stopniu podium stanęły 4 kobiety, w tym Polka – Katarzyna Niewiadoma-Phinney.

W kolarskim świecie nie ma wyścigu o większym prestiżu: owszem, mistrzowie i mistrzynie świata dożywotnio noszą na rękawkach mistrzowską tęczę i łatwo ich wypatrzyć w peletonie, ale o zwycięzcach Tour de France po prostu się pamięta. Możesz być trzykrotnym mistrzem świata i pozostać krótkim hasłem w Wikipedii. Wygrywasz „Le Tour" raz i co roku przywołują cię w każdym tekście, filmie, podkaście o kolarstwie.

Wciąż żyjemy w świecie, w którym męska kontrola nad ciałem to determinacja, a kobieca – obsesja

Ale czy pamięta się o jego zwyciężczyniach? To zależy, czy zasłużyły. Sęk w tym, że w kobiecym kolarstwie na pamięć najlepiej zasługuje się skandalem („facet umie przegrywać, a laski wzięły się za łby"), bo zwycięstwo w „tej ich zabawie w rowery" się co najwyżej trafia: „któraś musi to przecież wygrać" (cytaty te i kolejne autentyczne, z polskich i – tak, tak – zachodnioeuropejskich forów kolarskich).

Pauline Ferrand-Prévot wygrała w tym roku. Gdyby nie zdecydowała się na kolarstwo, może wykonywałaby jakiś pospolity zawód, byłaby barmanką, może ekspedientką – niewysoka dziewczyna o przyjemnej twarzy; śmieszny akcent, zadziorny głos, ładny uśmiech... Stałaby za ladą albo doradzała klientkom w jakimś salonie. To moja wizja, ani złośliwa, ani oceniająca – próbuję zmusić wyobraźnię do wygenerowania czegoś niedorzecznego, trudno bowiem wyobrazić sobie, by ktoś o tak ukierunkowanej determinacji zadowolił się sklepikiem na rogu.

To jedyna osoba na świecie, która w ciągu jednego roku, mając zaledwie 23 lata, wygrała mistrzostwa świata w trzech różnych dyscyplinach kolarskich: na szosie (peleton, rowery z kierownicą barankiem, średnie prędkości powyżej 40 km/h), w cross-country (około półtorej godziny na rowerze górskim po parokilometrowych pętlach, w ekstremalnie trudnym terenie; połączenie siły, wytrzymałości, odwagi i akrobatycznej techniki), w przełajach – zimowej odmianie kolarstwa, w której specjalizują się Holendrzy i Belgowie. Swoją drogą, wcale nie tak rozmiękczeni dobrobytem; trzeba mieć w genach pamięć wielokilometrowych dojazdów do fabryki czy na pole, przed świtem, po brukach, w zacinającej mżawce, o pajdzie chleba i zbożowej kawie, i cenić to dziedzictwo, żeby czerpać przyjemność z podbiegania w mokrym piachu i zjeżdżania w błocku na lekko wzmocnionej szosówce.

Francuzka nie miała konkurencji? Miała. Czy miała szczęście? Oczywiście. Szczęście to niezwykle ważny czynnik w kolarstwie. Męskim również. Czy można być najlepszym na świecie w każdej z trzech odmian? To potwierdza jedynie Pauline. Nikt poza nią nie zbliżył się do tego poziomu wszechstronności. Ale w pewnym wieku rozsądnie jest wybrać. Zdecydować. Oddać się specjalizacji. W tamtym roku Pauline wybrała wszystko. I wygrała.

Były też kryzysy. Pauline brylowała, a potem znikała. Odpuszczała szosę, startowała intensywnie w kolarstwie górskim, zimą wracała do cyclocrossu. O szosie potrafiła zapomnieć nawet na cztery sezony, a może to świat szosy zapominał o niej, bo było jej mniej, mniej intensywnie, bez sukcesów i tytułów.

W 2022 wygrała pierwsze mistrzostwa świata w kolarstwie gravelowym. Gravel (czyli po prostu szuter, ale swojski termin się nie przyjął, tak jak u schyłku PRL nie przyjął się lansowany odgórnie „dyskofon" w miejsce „kompaktu") to głównie wytrzymałość siłowa z szosy; sport wbrew hipsterskim, estetyzującym i *slowlife* pozorom szybki, wymagający dużej siły i doskonałej wytrzymałości, a mniej techniki i dynamiki, jakiej uczy kolarstwo górskie czy przełaje. To ściganie się na szosowym rowerze obutym w nieco grubsze opony z trekkinga po bardzo kiepskich asfaltach i gruntowych drogach – nie każdy jest fanem tego typu jazdy. Podobnie jak nie każdy potrafi szosówką jeździć po bruku. A Pauline... Ale nie uprzedzajmy faktów.

W naszym światku mówisz „Paryż-Roubaix" – i wszystko jasne. Rozgrywany w północnej Francji od 1896 roku, jeden z najbardziej uwielbianych przez kibiców wiosennych wyścigów jednodniowych, jest jednocześnie jednym z najbardziej znienawidzonych przez zawodników. Ma opinię morderczej i przede wszystkim niebezpiecznej rywalizacji dla potężnych facetów. 55 z 269 kilometrów przebiega starymi brukowanymi drogami. Tej nawierzchni nienawidzą rowery, nadgarstki i uda, a także kości, stawy, niekiedy nawet zęby – bo bruki są nie tylko twarde i nierówne, ale też obłe i śliskie. Wielu zawodowych kolarzy nigdy nie podjęło wyzwania startu w tym wyścigu. „To nie dla mnie" – wybrzmiewało w rozmowach twardzieli mających na ścianie niejedną koszulkę w grochy dla najlepszego „górala" TdF. „Jestem na to za lekki".

W 2025 roku, na krótszej od męskiej o 112 kilometrów trasie wyścigu kobiet wygrywa ważąca 53 kilogramy Pauline Ferrand-Prévot. Po sześcioletniej przerwie wraca na szosowe salony ze średnią prędkością 40,5 km/h, wygrywa najtrudniejszy jednodniowy wyścig świata – i wraca do cienia, by przygotować się do realizacji największego marzenia z dzieciństwa.

Na wygranie Tour de France daje sobie 3 lata. Wygrywa za pierwszym razem.

•

Ósmy, przedostatni etap Tour de France Femmes avec Zwift wieńczy długi, półtoragodzinny podjazd na przełęcz: 18,6 kilometra, 1522 metry w pionie i średnie nachylenie 8,1 procent – nie ma takich podjazdów w Polsce. Jest początek sierpnia, w dolinach powietrze drży z gorąca, liderką wyścigu jest Kimberley Le Court, Ferrand-Prévot druga. Królewski górski etap wyłania nową liderkę – Pauline dogania uciekające z peletonu zawodniczki i samotnie finiszuje na szczycie Col de la Madeleine, zdobywając żółtą koszulkę. Nikt nie potrafi utrzymać jej koła. Dziennikarzom mówi o „jeździe na granicy czerwonej strefy", którą zna z MTB. „Wiem, że potrafię zarządzać takim wysiłkiem".

To nie są słowa osoby, której „się udało". To zdania wypowiadane przez jedną z najbardziej doświadczonych i utytułowanych kolarzy wszech czasów. „Kolarz" – stosuję rodzaj męski zamiast feminatywu celowo.

Dzień później Ferrand-Prévot wygrywa ostatni etap i zostaje czwartą w historii zwyciężczynią kobiecego Touru. A świat na to: „Coś chuda ta Pauline, jakaś niewyraźna taka. Nie schudła ona za bardzo? Kiepski przykład dla młodych dziewcząt".

Takie głosy – nie na jakichś przedpotopowych, opartych na phpBB forach dla boomerów, lecz w tiktokowych rolkach fitnessowych influencerek, na instagramach sportowych celebrytów. Nie w zakładkach „sport", lecz na maintopach informacyjnych portali – pojawiają się już parę dni wcześniej, kiedy Ferrand-Prévot, po kilku miesiącach spędzonych na przygotowaniach, staje na starcie pierwszego etapu Touru.

Wtedy nikt nie zna jej dyspozycji, można jedynie spekulować, czy 33-latka ma szansę podjąć walkę z bardzo mocnymi rywalkami, w tym z Polką – Kasią Niewiadomą, czy Holenderką Demi Vollering. Ale wszyscy już wiedzą i niepokoją się, że jest za chuda.

Słowa „za chuda" brzmią jak diagnoza, więc algorytm niesie je dalej i dalej, aż do Google Discovery, ale są tylko odruchem. Diagnoza wymaga badań, odruch – kliknięcia.

•

Ferrand-Prévot rzeczywiście jest wychudzona – przed Tourem ważyła plus minus 53 kilogramy, schudła co najmniej 4 – i jednocześnie cholernie mocna. W dodatku zdaje sobie sprawę z obu faktów. Z możliwych, a w zasadzie gwarantowanych „kontrowersji", jak elegancko określa się każdą imbę w nagłówkach – również.

„Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała ochotę zrobić to znowu – powie na konferencji prasowej po dekoracji zwyciężczyń. – W tej chwili jestem zbyt zmęczona". Cel został osiągnięty, środki zostały uświęcone. W jej świecie. Nie w naszym. W naszym przesadziła. Co z tego, że wygrała? Nie wie, że anoreksja to choroba? Jaki wzór daje dziewczynkom? I to bez tego poddanym presji nierealnych kanonów urody rodem z wybiegów? A w ogóle to widziała się w lustrze?

Nasz świat ratuje, obnaża, demistyfikuje, piętnuje i ostrzega, choć w tym przypadku Królowa nie jest idiotką. I wcale nie trzeba jej ratować. Zrobiła dokładnie to, co należało zrobić, by zapewnić sobie szansę zwycięstwa. „To moja praca – wyjaśnia bez chwili wahania. – A moja waga jest stanem tymczasowym".

A może to dlatego reakcja na jej ciało jest tak gwałtowna. Bo to ciało nie chce już być „dla nas". Nie jest do oglądania, do oceniania, do poprawiania. Ani nawet do stawiania za wzór. Jest do osiągania celu. I nagle coś się w nas buntuje. Bo w tym świecie kobieta nie może być tylko funkcjonalna. Powinna być „w sam raz" – nie za silna, nie za szczupła, nie za skuteczna. Najlepiej, gdyby była wdzięczna, że w ogóle może.

Mówimy, że się martwimy. O zdrowie, o dziewczynki, o złe wzorce. W komentarzach pojawia się troska podszyta niepokojem, który wcale nie dotyczy tej konkretnej kobiety, lecz nas samych. Bo przecież wiemy, jak łatwo wpaść w fitnessowo-dietetyczną spiralę, jak szybko „forma" może się stać obsesją, chorobą. Tylko czemu ta troska brzmi jak przesłuchanie. Nie pytamy: czy jesteś zdrowa? Pytamy: dlaczego tak wyglądasz? To żądanie wyjaśnień. Troska, kiedy przychodzi gdzieś z zewnątrz, od obcych, często jest tylko kontrolą w przebraniu. Dbaj, ale nie przesadź. Pracuj, ale wyglądaj naturalnie. Walcz, ale się nie zmieniaj. Niepokój, który deklarujemy wobec cudzego ciała, to często echo na-

eprasa.pl 0c26237a5c

szych własnych ograniczeń – tego, że sami mamy własną definicję normalności. Wygodną. Bo w świecie, w którym ciało jest walutą, odstępstwo staje się przestępstwem.

●

W męskim peletonie nikt nie pyta o kilogramy. Po duńsku, kącikiem zaciśniętych ust uśmiechnięty Jonas Vingegaard, przed Tourem chudnie z 63 do 58 kilogramów i nikt nie opatruje czasownika „chudnie" stopniowaniem „jeszcze bardziej". Bezwzględnie dominujący z miną urwisa Tadej Pogačar stale kontroluje wagę, nawet poza sezonem pozwala sobie na hamburgera może raz przed świętami – o tym nie powiemy „obsesja żywieniowa", to nazywamy profesjonalizmem. O ile w ogóle się o tym dowiemy, bo ich wygląd i forma budzą emocje jedynie wśród kibiców, nabijając góra kilkanaście tysięcy odsłon.

Ferrand-Prévot robi to samo i daje nam powód do niepokoju. Epatujący swoją chudością w 2017 roku Froome dzisiaj byłby jednym z wielu, Pauline wciąż musi się tłumaczyć. Jej ciało zostało potraktowane jak komunikat, który wymaga interpretacji. Ktoś poczuł, że trzeba zadziałać, coś z tym zrobić, a przynajmniej zapytać, czy wszystko w porządku. Jakby kobieca forma nie mogła być efektem decyzji, tylko emocji: „tak bardzo uparła się, żeby wygrać, że zaryzykowała swoje zdrowie". Zaryzykowała, że przestanie nam się podobać!

Wystarczy zobaczyć różnicę w języku. On jest „skoncentrowany, precyzyjny, skalkulowany". Ona – „wychudzona, blada, zmarnowana". U niego – proces. U niej – dramat. W obu przypadkach ten sam wysiłek, starania i ambicja, te same liczby, ta sama biochemia. A jednak wciąż żyjemy w świecie, w którym męska kontrola nad ciałem to determinacja, a kobieca – obsesja.

●

Wszystko rozgrywa się w jednym kadrze. Zdjęcie z podium, z Col de la Madeleine. Obrazek, który przelatuje przez platformy społecznościowe jak iskra w loncie: niewysoka, drobna sylwetka w żółtej koszulce, uśmiech, uniesione ręce. W kadrze nie widać ani wysiłku, ani danych z pomiaru mocy, ani planu żywieniowego. Widać wystający obojczyk. I to wystarczy.

Internet nie znosi niuansów. Wystarczy, że coś jest widoczne, żeby stało się ważne. Nie ma znaczenia, że ciało Ferrand-Prévot przeszło setki godzin treningów, badań, monitorowania składu masy ciała, planowania regeneracji. Algorytm Instagrama nie czyta wyników krwi. On czyta emocje. „Za chuda", „niezdrowa", „zły przykład". Te słowa krążą powielane przez ludzi, którzy sami walczą z własnym lustrem, własną wagą, własną niepewnością, własnymi uprzedzeniami. Którzy do wszystkiego przykładają – ten czy inny, nieważne jaki, ważne, że w ogóle – światopogląd. Łatwiej ocenić, niż przyznać, że coś nas uwiera. Łatwiej nazwać „niezdrowym" to, co wymyka się naszym proporcjom. Bo kiedy kobieta przekracza granicę, którą po lewej i prawej wyznaczyliśmy dla niej społecznie, nie wiemy, jak to oswoić.

FOT. SZYMON GRUCHALSKI/GETTY IMAGES

• **Katarzyna Niewiadoma i Pauline Ferrand-Prevot na stracie pierwszego etapu (78,8 km) 4. Tour de France Femmes z Vannes do Plumelec(26.07. 2025)** FOT. SZYMON GRUCHALSKI/GETTY IMAGES

●

Trzeba jednak powiedzieć to wprost – sport wyczynowy nie jest zdrowy. Nikt, kto rywalizuje na tym poziomie, nie uprawia go dla zdrowia. Tu zdrowie bywa ceną, haraczem, pozycją po stronie „straty" w excelowym arkuszu. Ferrand-Prévot wiedziała, że jej forma jest tymczasowa. Powiedziała to jasno: „Nie chcę tak wyglądać na co dzień". To nie była pogoń za estetyką, tylko zarządzanie zasobami w pracy, gdzie różnicę między sukcesem a porażką mierzy się w sekundach.

Rozumienie tymczasowości stanu zdrowia i formy sportowca wymaga empatii, a my udowadniamy na co dzień, że zupełnie jej nie mamy: „Kiedyś wygrywał, teraz nie potrafi. Jest skończony". „Sprzedał się. Oddał ambicje lidera za milionowy kontrakt pomocnika". Ostatnio, żeby daleko nie szukać, choćby odchodzącemu właśnie na emeryturę Rafałowi Majce. My chcemy stałości, powtarzalności – czemu tylko dwa razy został najlepszym góralem w największym wyścigu świata? Dlaczego wygrał tylko pięć najtrudniejszych etapów w największych tourach? – kontroli. To jest dla nas bezpieczne. Dlatego każda ekstremalna forma – nawet chwilowa – budzi lęk. Każe na nowo się oswajać, przyzwyczajać, szukać nowych idoli – to męczy. „Przytyła. Dlatego nie wygrywa" – usłyszymy za pół roku. Z kanapy widzimy tylko granicę. Jedynie z siodełka widać drogę, którą trzeba przejechać, by ją przesunąć. To jest właśnie różnica między komentarzem a doświadczeniem. Wysiłek.

●

Dla nas, zwykłych ludzi, ta historia to nie ostrzeżenie. To lustro. Nie jesteśmy Ferrand-Prévot. Nie mamy sztabu ludzi, którzy mierzą, analizują, korygują każdy posiłek i trening. Mamy za to kulturę, która wpoiła nam, że ciało trzeba „poprawiać". Że bycie „fit" to obowiązek społeczny. I że szczupłość to synonim sukcesu, choć powinna być co najwyżej neutralnym przeciwieństwem nadwagi. Dlatego tak nas uwiera chudość, która popłaca w szerszym kontekście, która nie jest celem sama w sobie. To odbiera nam narrację, którą znamy, pokazując, że można używać ciała do czegoś innego niż autoprezentacja.

To nie jest apel o tolerancję wobec wychudzenia. To apel – chciałoby się napisać „ciałopozytywny", ale wtedy ktoś to wyciągnie do nagłówka i zapłonie ulubiony front wojny kulturowej – o zrozumienie, że każde ciało ma kontekst. A kontekstu nie da się poznać jednym spojrzeniem na ekran. Ani na człowieka.

Najbardziej symptomatyczne w tej historii jest to, jak szybko świat przeszedł od zachwytu do krytyki. Od „niesamowita!" do „niezdrowa!". Jakby sukces był czymś podejrzanym, jeśli nie mieści się w granicach aktualnie akceptowalnej estetyki. Jakbyśmy nie potrafili powiedzieć: „Wykonała doskonałą robotę", nie dodając: „ale nie pasuje jej ta garsonka". Ta reakcja mówi o nas więcej niż o niej. O naszej potrzebie porządku. O szukaniu dziury w całym. O braku zaufania, że ktoś wie, co robi. O tym, że chcemy, by świat był przewidywalny, a ciało kobiety czytelne i zgodne z naszym „lewackim", „prawackim" lub dowolnie etykietowanym wyobrażeniem o bezpieczeństwie. Mamy problem z kobiecą ekstremą. Nie z jej wysiłkiem, tylko z tym, że nie potrzebuje naszej aprobaty.

Ferrand-Prévot wygrała, bo umiała zapanować nad sobą. My wolimy, żeby kobiety nie panowały nad sobą zbyt dobrze. Bo wtedy stają się nieprzewidywalne.

„To przeterminowany temat" – powiedziałam wtedy przyjaciółce. Dziś myślę, że właśnie dlatego warto było go odgrzebać, choć mimo najlepszego otagowania algorytmy go o tej porze roku nie podchwycą. Bo jeśli coś przeterminowuje się tak szybko, to znaczy, że nadal fermentuje pod powierzchnią. Nie chodzi o kilogramy. Chodzi o ciężar spojrzenia, które zawsze wie lepiej. O wagę opinii, które nie mają masy, a mimo to potrafią ciążyć.

Patrzę na zdjęcie Ferrand-Prévot w żółtej koszulce. Na chudy obojczyk, który dla jednych był dowodem siły, dla innych, liczniejszych – słabości. Czuję ogromny podziw dla człowieka, dla kobiety i dla profesjonalistki. Może właśnie na tym polega prawdziwa lekkość: na umiejętności udźwignięcia cudzego spojrzenia – i pojechania dalej. „Just do your job" – mówił do podopiecznych nieodżałowany Marek Galiński, trener kadry Polski MTB. To dotyczy każdej dziedziny. Jeśli Pauline miałaby się okazać złym przykładem dla młodych ludzi, chciałabym poznać innych kandydatów. To mogłoby być naprawdę pouczające. Lub przerażające. ●

REKLAMA Kraj/34396428

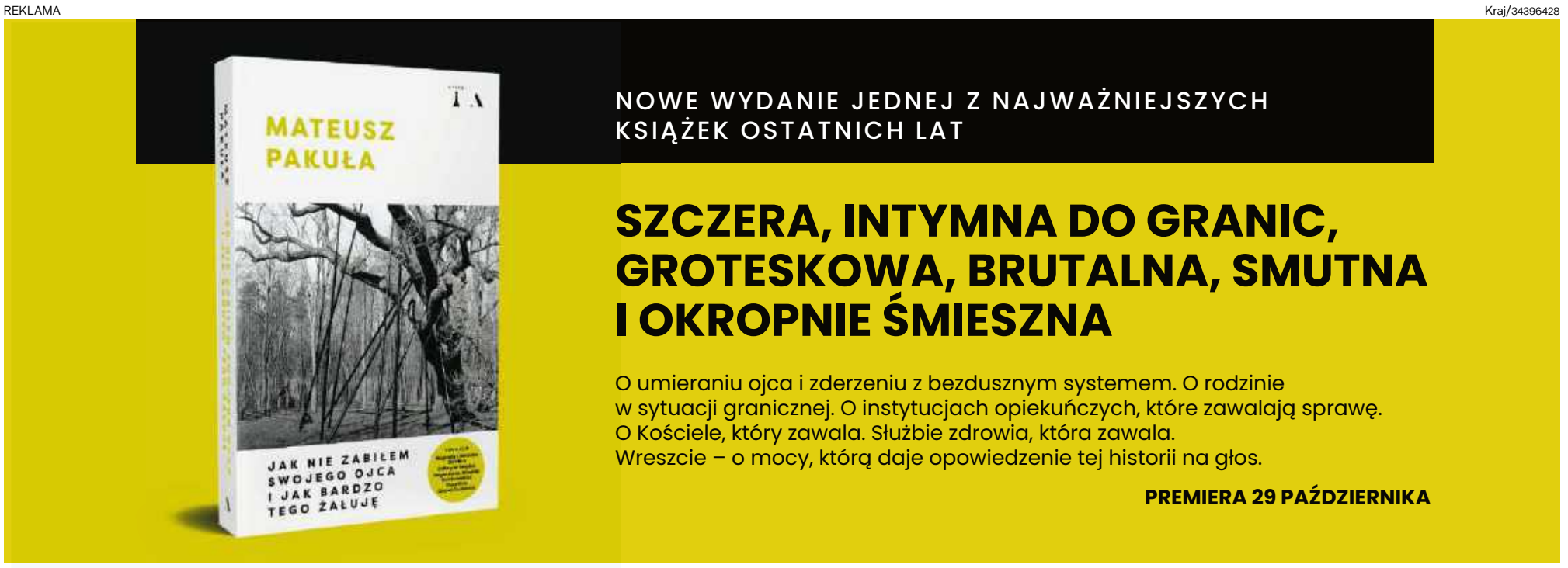

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
1RP

eprasa.pl 0c26237a5c

POLECA ADAM MICHNIK

ROZBŁYSŁO ŚWIATŁO W WATYKANIE

60 lat temu Kościół odrzucił pojęcie zbiorowej winy za śmierć Jezusa wszystkich Żydów wszech czasów. **Tak jakby ich przeprosił. A było za co**

Anna Wolff-Powęska*

FOT. LOTHAR WOLLEH / DOMENA PUBLICZNA

Sobór Watykański II (1962-65) zwołany przez Jana XXIII był kontynuowany przez papieża Pawła VI. Na zdj. papież w bazylice św. Piotra

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

La kilka dni, 28 października, mija 60 lat od wydania najważniejszego dokumentu Soboru Watykańskiego II, deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich, „Nostra aetate". Ten głos w sprawie demokracji oraz pluralizmu teologicznego i kulturowego ocenia się jako zwrot kopernikański, podjęto bowiem próbę dostosowania myślenia i praktyki Kościoła do warunków współczesnego świata i pojednania z nim.

Sobór odrzucił pojęcie zbiorowej winy za śmierć Jezusa przypisywanej wszystkim Żydom wszech czasów, co było fundamentem antyjudaizmu i antysemityzmu w Kościele. We fragmencie dotyczącym stosunku do judaizmu zamieszczony został apel wzywający żydów i chrześcijan do dialogu i współpracy z wyznawcami innych religii jako źródła łaski i prawdy oraz wspierania znajdujących się w nich wartości. W centrum uwagi znalazła się godność człowieka i wolność sumienia. Ojcowie soborowi przeciwstawili się w nim wszelkim formom dyskryminacji i prześladowań religijnych.

•

Uwzględnienie tematyki relacji między Kościołem a judaizmem w pracach Soboru nie było czymś oczywistym. Przeciwnie, od początku temat wywoływał kontrowersje. Trzy lata obradowało 3058 ojców soborowych.

Jak podkreślają świadkowie wydarzeń, bez wyraźnej interwencji papieża Jana XXIII nie byłoby miejsca dla tej najważniejszej deklaracji. Z kolei na decyzję papieża wpływ miały naciski Jules'a Isaaca, Francuza pochodzenia żydowskiego, który stracił w czasie wojny całą najbliższą rodzinę. Podczas prywatnej audiencji prosił papieża o podjęcie podczas Soboru tematyki żydowskiej.

Kiedy w 1959 r. papież sondował biskupów, jakie tematy należałoby uwzględnić podczas Soboru, nikt nie wspominał o Żydach. Żadnego zainteresowania nie wykazywali również teolodzy z Niemiec. Debaty soborowe nie tworzyły pozytywnego klimatu dla uwzględnienia spornych kwestii.

Katolickie pismo „Wort und Wahrheit" przeprowadziło jeszcze w 1961 r. wśród czytelników ankietę dotyczącą tematów, którymi powinien się zająć Sobór. Tylko trzech spośród 83 ankietowanych opowiedziało się za uwzględnieniem tematu żydowskiego.

•

O wiele trudniejsza okazała się realizacja zaleceń Soboru w nauczaniu i praktykowaniu Kościoła katolickiego. Proces wprowadzania idei soborowej w życie dokonywał się wolno i z trudem. Prof. Stanisław Obirek tłumaczy te problemy w szerszym kontekście procesu laicyzacji na świecie, gdy na znaczeniu traci teologia narzucona w okresie kolonialnym, a jednocześnie Kościół odradza się w Afryce i w Azji. Następuje marginalizacja chrześcijaństwa zachodniego, przy jednoczesnym otwarciu się pewnych grup społecznych na kulturę współczesną, wzrost znaczenia ekumenizmu i dialogu z niewierzącymi.

O ile Sobór Watykański II oznaczał cezurę przynajmniej w oficjalnym stanowisku wobec Żydów i judaizmu, o tyle nie stanowił przełomu w mentalności przeciętnego chrześcijanina. Zabrakło szerszej międzywyznaniowej debaty. W Europie, szczególnie w regionie środkowo- i wschodnioeuropejskim, nie było po 1945 r. przestrzeni do rozrachunku z tragiczną przeszłością.

Złożyło się na to wiele czynników. Porównanie sytuacji ludności żydowskiej w Niemczech i w Polsce przed Holocaustem unaocznia w pewnym uproszczeniu dylematy wzajemnych relacji.

Na odmienność tożsamości Żydów polskich i niemieckich rzutowały zróżnicowane uwarunkowania kulturowo-społeczne. Rozstrzygająca okazała się w obu krajach rola statusu obywatelskiego Żydów. Identyfikacja niemieckich Żydów wspierała się na niemieckiej przynależności państwowej, podczas gdy samoidentyfikacja Żydów w Polsce na przynależności żydowsko-narodowej.

Integracja niemieckich Żydów w niemieckim społeczeństwie opierała się na oświeceniu i jego ideach równouprawnienia, które otwierały możliwość włączenia społeczności żydowskiej do wspólnoty chrześcijańskiej. Inaczej aniżeli w Europie Wschodniej Żydzi identyfikowali się z Niemcami jako obywatele państwa prawa. Okazali się beneficjentami oświeceniowej i przemysłowej rewolucji. Ujawnili przy tym energię ducha i intelektu, która zapewniła im stałe miejsce na Parnasie kultury.

•

Historia Żydów w regionie środkowoeuropejskim, w tym również w Polsce, przebiegała całkowicie odmiennie. Mimo że w XIX wieku dokonywano tu pewnych reform, ludność żydowska miała status obywateli drugiej kategorii. Stąd mniejsze możliwości integracyjne w ramach społecznych i państwowych. Poza wąską warstwą Żydzi prowadzili życie w Europie Wschodniej bardziej w zamkniętym tradycyjnym środowisku. Dlatego m.in. Żydzi w Niemczech chcieli się utożsamić z Niemcami, być Niemcami, w Polsce chcieli pozostać Żydami.

Do niemieckiego oświecenia i niemieckiej kultury wnieśli oni dorobek wzbogacający wszystkie dziedziny życia. Nigdzie ich działalność nie była tak różnorodna i bogata w treści jak w krajach niemieckojęzycznych.

Moses Mendelssohn [XVIII-wieczny filozof i teolog] był pierwszym niemieckim Żydem, który otwierał pochód reprezentantów różnych dyscyplin naukowych o światowym znaczeniu. Wielkie zasługi wnieśli lekarze, jak Ferdinand Julius Cohn, twórca bakteriologii, czy Paul Ehrlich, który zaproponował pierwsze praktyczne sposoby chemioterapii, Karl Landsteiner, odkrywca grup krwi, filozof Zygmunt Freud, twórca psychoanalizy, chemicy: Otto Wallach, Richard Willstätter czy Fritz Haber, fizycy: Albert Einstein, Heinrich Hertz.

Literaturę wzbogacili m.in.: Stefan i Arnold Zweigowie, Franz Kafka, Egon Erwin Kisch, Kurt Tucholsky, Joseph Roth. Nieoceniony wkład wnieśli muzycy i kompozytorzy, jak Felix Mendelssohn-Bartholdy, Gustaw Mahler, Jacques Offenbach, myśliciele, jak choćby Edmund Husserl, David Oppenheimer, Martin Buber, Ernst Cassirer, Max Horkheimer.

•

Narodowy socjalizm przekreślił ten dorobek. Jeżeli wcześniej Kościół katolicki wykluczył Żydów ze wspólnoty chrześcijańskiej jako „bogobójców", to naziści wykluczyli ich ze wspólnoty aryjskiej jako „podludzi". Rządy III Rzeszy wprowadziły te same zakazy i nakazy wobec Żydów, które niemal 2 tys. lat wcześniej realizowali ojcowie Kościoła.

I tak np. ustawodawstwo kościelne zakazało w 306 r. małżeństw i stosunków płciowych między chrześcijanami a żydami, a w 1935 wchodziło w Niemczech w życie prawo o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiego honoru. W 535 r. zakazano Żydom sprawowania urzędów, co potwierdzili naziści w 1933. Publiczne palenie w 1933 r. Talmudu stanowiło powtórkę postanowień synodu w Toledo z 681.

Trudno podejrzewać urzędników III Rzeszy o studiowanie postanowień kościelnych z wczesnych lat chrześcijaństwa, jednak kierunek myślenia i cel działania – napiętnowanie i wykluczenie Żydów – był ten sam.

Victor Klemperer, niemiecki romanista pochodzenia żydowskiego, dzieląc się po latach swym doświadczeniem, pisał:

„Znowu zadaję sobie pytanie, które już setki razy zadawałem sobie i innym: jaki był najcięższy dzień dla Żydów w ciągu tych strasznych dwunastu lat? Ani od siebie, ani od innych nie otrzymałem nigdy innej odpowiedzi, tylko tę: 19 września 1941.

Od tego dnia obowiązywało Żydów noszenie gwiazdy – sześcioramiennej gwiazdy Dawida. Strzępek materiału żółtej barwy – barwa, która dziś jeszcze oznacza zarazę i kwarantannę, a która w średniowieczu służyła do oznaczania Żydów, kolor zazdrości i żółci, co się przedostała do krwi, kolor zła, którego należy się wystrzegać, żółty strzępek materiału z czarnym nadrukiem »Jude« – słowo to jest obramowane liniami dwóch przecinających się trójkątów i utworzone z grubych liter, które w swoim wyizolowaniu i w nadmiernym podkreśleniu ich wymiaru poziomego imitują znaki pisma hebrajskiego".

•

Niemcy nie mieli w okresie międzywojennym monopolu na antysemityzm. W Europie chrześcijańskiej wszędzie utrwalone było przekonanie, że za grzech „bogobójstwa" Żydzi muszą ponieść zasłużoną karę. Oskarżenie o dokonanie mordu na Chrystusie w swych konsekwencjach równe było moralnemu ich ukrzyżowaniu. Stanowiło zaprzeczenie istoty chrześcijaństwa.

Bo dla pierwszych uczniów Chrystusa judaizm i chrześcijaństwo nie stanowiły odmiennych religii. Żydzi żyli w rozproszeniu w basenie Morza Śródziemnego, stąd wielu z nich nie słyszało nigdy o Chrystusie. Do społeczności żydowskiej należał zarówno tłum żądający śmierci Jezusa, jak i stojący pod krzyżem: Matka, towarzyszące jej niewiasty i apostołowie.

Rozdział między chrześcijaństwem a judaizmem był powolny. Wraz z nabieraniem przez chrześcijaństwo cech Kościoła państwowego zaczął się okres ograniczeń prawnych dla niechrześcijan. Chrześcijańska judeofobia rozporządzała środkami Kościoła panującego. Wyrażała się w języku stygmatyzującym tych, którzy trwali w odmiennej religii. W pismach ojców Kościoła używa się epitetów: „wężowe plemię", „adwokaci diabła", „demony".

Żydzi „są jak zwierzę – pisał Jan Chryzostom, ojciec i doktor Kościoła – które stało się tłuste, ponieważ otrzymało wszystko, co chciało do jedzenia, uparte i trudne do sterowania. (...) Synagoga jest domem publicznym i teatrem, do tego piekłem i schronieniem dla dzikich zwierząt. (...) Ze swą wiecznie śmierdzącą gębą Żydzi żyją tylko dla swego brzucha i prowadzą się nie lepiej aniżeli świnie i kozły ze swym nędznym prymitywizmem i nieokiełznaną żądzą".

Powielano motyw grzechu zmysłowości i rozpasania seksualnego Żydów, przypisywano im powierzchowność i przeciwstawianie się duchowości i powściągliwości chrześcijańskiej. Synagoga uchodziła za synonim „nierządnicy", Jerozolima jako miasto grzechu porównywana była z Sodomą i Gomorą.

Kościół upowszechniał poglądy obciążające Żydów winą za wszystko, czego nienawidzili antysemici: konstytucję weimarską, demokrację, liberalizm, oświecenie, nowoczesność, oddzielenie Kościoła od państwa i finansjery przemysłowej. Powstanie republiki uznano za przejaw upadku moralnego narodu. Tylko tacy mogli skazać „swego Mesjasza na śmierć w swym zaślepieniu, uporze i nienawiści". Akceptowano dyskryminację Żydów oskarżanych o zdradę podstawowych zasad swej religii objawionej na rzecz obsesyjnego umiłowania pieniędzy i dóbr materialnych.

Partia narodowosocjalistyczna jawiła się jako nadzieja na wyjście z chaosu republiki. Kościół uznał ratowanie dusz chrześcijańskich przed „zażydzeniem" za swój święty obowiązek. Przekonywano, że chrześcijański antysemityzm nie jest antysemityzmem, tylko „konieczną obroną przeciw duchowo-gospodarczemu wyobcowaniu, przeciw nieproporcjonalnie rozdętej władzy żydowskiej mniejszości i panowaniu we wszystkich dziedzinach duchowej i materialnej kultury".

Wierni epatowani byli apokaliptyczną wizją świata bez Boga. Tytuły i hasła: „dusza chrześcijańska na łożu śmierci", „triumf żydowskiej moralności", zalew „narodów kulturalnych przez orientalnych nomadów i rabusiów" służyły jako usprawiedliwienie rosnącej przemocy.

Rolę języka w kształtowaniu wizerunku Innego ukazał dobitnie wspomniany Victor Klemperer, uznając,

Abp August Hlond, rok 1938: „Hitler nazwał Żydów mikrobem świata. Jest to oskarżenie niezwykle surowe, ale musimy przyznać, że jest prawdziwe"

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

że język autokratów stanowi zawsze wyraz lęku przed człowiekiem myślącym. W wydanej w 1947 r. pracy „Lingua Tertii Imperii" dokonał wnikliwej analizy języka III Rzeszy jako języka narodowego socjalizmu, który „zatruł i zbeszcześcił wiele uczuć":

„Narodowy socjalizm wślizgiwał się w ciało i w krew tłumu pojedynczymi słowami, zwrotami narzucanymi przez ich uporczywe powtarzanie, słowa jako maleńkie dawki jadu, nieświadomie przyjmowane. Uczynił ten system język posłusznym narzędziem swego systemu i w języka znalazł najsilniejszy i najtańszy środek agitacji.

Manipulacja językiem, słowa kreują wroga, wzniecają poczucie zagrożenia i podejrzliwości, i tym samym wykluczają możliwość dialogu. Kłamstwo infekuje, to »język na służbie«, który zaciera granicę między prawdą i fałszem, wiedzą i irracjonalnością. Racjonalna refleksja ustępuje miejsca emocjom".

Język „przekracza granicę dzielącą popularność od demagogii z chwilą, gdy od odciążenia intelektu przechodzi z rozmysłem do jego wyeliminowania i odrzucenia. Ileż pojęć i uczuć zbezcześcił on i zatruł".

•

Głos polskich duchownych nie odbiegał w dwudziestoleciu międzywojennym od ogólnego tonu antysemickich działań i wypowiedzi w Europie. Abp August Hlond, autor wydanego w 1938 r. listu pasterskiego, pisał m.in.: „Hitler nazwał Żydów mikrobem świata. Jest to oskarżenie niezwykle surowe, ale musimy przyznać, że jest prawdziwe".

I dalej: „Faktem jest, że Żydzi walczą z Kościołem katolickim, tkwią w wolnomyślicielstwie, stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej. Faktem jest, że wpływ żydowski na obyczajność jest zgubny, a ich zakłady wydawnicze propagują pornografię. Prawdą jest, że Żydzi dopuszczają się oszustw, lichwy i prowadzą handel żywym towarem".

„Głos Narodu", organ archidiecezji krakowskiej, wyrażał się w tym samym czasie z aprobatą o nocy kryształowej w Niemczech i jej celu „wyzwolenia Niemiec z niewoli żydowskiej".

„Przewodnik Katolicki" akcję palenia książek w Niemczech nazwał „świeżym, dobrym powietrzem przechodzącym przez ziemię niemiecką". W roku wybuchu wojny ks. Franciszek Błotnicki pisał: „Pomiędzy aryjczykami a żydami istnieje przepaść duchowa, a nawet fizyczna. Istnieje coś fizycznego, coś, co nas od żydów odtrąca, jak np. białego od murzyna, których dzieli nie tylko kolor skóry, lecz i odmienny zapach"; „Żydzi są pasożytami. Istotnie nasz emocjonalny stosunek do nich jest bardzo podobny do stanowiska, jakie zajmujemy wobec pchły czy pluskwy. Zabić, zniszczyć, pozbyć się. Pasożyt obchodzi mnie o tyle tylko, że mi przeszkadza".

Główną „religią" czasów nowoczesności był nacjonalizm, a jego wyróżnikiem dążenie do tego, by – jak wyraził to amerykański badacz Yuri Slezkine – „każde państwo było plemieniem, każde plemię miało własne państwo, a każdy kraj stał się ziemią obiecaną, każdy język musiał pochodzić od Adama, każda stolica była Jerozolimą, a każdy naród prastary i wybrany".

Spośród wszystkich podlegających procesom modernizacji narodów Żydzi stanowili wielki wyjątek. Byli największymi beneficjentami czasów kapitalizmu i jednocześnie największymi ofiarami nacjonalizmu. Świeżo wyemancypowana społeczność żydowska była najbardziej samotna wśród narodów Europy.

Wobec braku własnej państwowości potrzebowali Żydzi bardziej niż ktokolwiek inny ochrony ze strony państwa osiedlenia. W kolejce po gwarancje bezpieczeństwa byli jednak ostatnimi. Prymusi modernizacji zapłacili za swój awans najwyższą cenę. Wiek nacjonalizmu był bowiem wiekiem antysemityzmu.

•

Zanim Żydów wysłano w ostatnią drogę do komór gazowych, w głowach przywódców III Rzeszy rozwinął się, nienowy zresztą i niezrealizowany, plan wywózki europejskich Żydów na Madagaskar. Zamysł tego planu pojawiał się wielokrotnie, i to nie tylko w nazistowskich Niemczech.

O kolonii w Afryce jako miejscu zsyłki była mowa w memoriale Heinricha Himmlera skierowanym do Hitlera 25 maja 1940 r. „Plan Madagaskar" pojawił się jako jeden z celów wojennych w uwagach Franza Rademachera, kierownika Referatu D III (Judenangelegenheiten) w Auswärtiges Amt [MSZ], skierowanych do Martina Luthera [protegowanego Ribbentropa]. Całość pomyślana była jako „wielkie getto".

Liczono na to, że spośród czterech milionów europejskich Żydów, którzy znajdowali się na kontrolowanych przez Niemców terenach, będzie można rocznie przewozić na wyspę milion osób, przy wykorzystaniu 120 statków transportowych.

Pomysły pozbycia się „nadwyżki" żydowskiej obecne były w polskich planach kolonialnych. Pod koniec 1935 r. powołana została przez Józefa Becka grupa robocza do rozwiązania „kwestii żydowskiej" poprzez emigrację. Z jego inicjatywy została wysłana na Madagaskar wyprawa specjalnej komisji w celu zbadania rzeczywistych możliwości osadniczych. Zaostrzająca się sytuacja międzynarodowa i napięcia w stosunkach polsko-niemieckich zepchnęły polskie zamysły kolonialne na dalszy plan.

Z lutego 1939 r. pochodzi niepodpisana notatka o „problemie żydowskim" sporządzona dla dyrektora Departamentu Konsularnego [MSZ]. Informuje ona, że trzeba się liczyć z tym, iż w ciągu 1939 r. „sprawa żydowska będzie w Niemczech praktycznie załatwiona". Ostatnia rozmowa polskiego ministra spraw zagranicznych z Himmlerem o konieczności emigracji żydowskiej miała miejsce 18 lutego 1939 r.

•

Wydawałoby się, że po zakończeniu wojny Żydzi nie wrócą do Niemiec. Potwierdzał to rabin Leo Baeck, który po uwolnieniu z obozu w Terezinie pisał:

„Dla nas, Żydów z Niemiec, pewna epoka w historii dobiegła końca. Taka epoka kończy się, gdy trzeba pogrzebać na zawsze nadzieję, wiarę i zaufanie. Wierzyliśmy, że duch niemiecki i żydowski spotkają się na niemieckiej ziemi i poprzez swe zaślubiny staną się błogosławieństwem. To było iluzją – epoka Żydów w Niemczech skończyła się raz na zawsze".

Żydzi jednak do Niemiec wrócili. Nie wrócili do Polski.

Ocalały z zagłady Bernard Goldstein pisał: „Nigdy przez wszystkie lata przed 1939 r. polscy Żydzi nie czuli się tak niepewnie, nie bali się tak o swoje życie jak po II wojnie światowej. Antysemityzm był wyraźniejszy, bardziej zjadliwy, bardziej krwiożerczy niż przed wojną".

Potwierdzał to Julian Tuwim, który po wojnie wrócił do Polski. Oceniając ówczesną sytuację, zanotował m.in.: „Przedwojenna nienawiść do Żydów plus to, czego nauczył Hitler, plus nienawiść do bolszewizmu dały antysemityzm, jakiego Polska nigdy nie znała, nawet za czasów sanacyjno-oenerowskich. O jakimś cieniu litości czy współczucia dla wymordowanych Żydów nie ma mowy...".

Podczas gdy demokratyczne Niemcy uznały pamięć o Holocauście za istotny element własnej racji stanu, ani w Polsce, ani w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej nie dokonano po 1945 r. rozrachunku z antysemityzmem. Jedyna w Polsce, późniejsza, debata na temat Jedwabnego trwała krótko i ograniczona była do wąskiego kręgu osób.

Zabrakło gotowości i przestrzeni do dialogu międzywyznaniowego, do czego nawoływał Sobór. Soborowym inicjatorom dialogu nie chodziło jednak o dobieranie rozmówców myślących podobnie, lecz o osoby o odmiennym widzeniu. Ważna była gotowość do zmian, poznawanie i otwieranie się na inny współczesny świat, wsłuchiwanie się w potrzeby innych, uwzględnienie pluralizmu teologicznego.

W dzisiejszym Kościele brakuje refleksji nad tym, czy i jakie postanowienia soborowe zostały zrealizowane i czy znajduje się w nim miejsce dla prześladowanych i wykluczonych.

•

Wydawałoby się, że Żydzi bardziej niż inna nacja powinni zrozumieć, czym są emigracja i wykluczenie. Obecna polityka Izraela stanowi jednak zaprzeczenie tego doświadczenia historycznego. Tymczasem, jak przypomina Lea Ypi, urodzona w Albanii filozofka i politolożka („Przegląd Polityczny" nr 191/2025), wartości europejskie, do których podstawowego kanonu należy troska o migrantów, muszą być zakorzenione w bardziej uniwersalnym zobowiązaniu „na rzecz narodowej i międzynarodowej sprawiedliwości".

Chodzi o to, by nie pozwalać na gwałcenie praw człowieka, elementarnego zobowiązania kultury europejskiej. Uświadamia ona, jak funkcjonuje logika wykluczania i poszerzania jej norm: „najpierw przyjdą po nielegalnych imigrantów, potem po osoby z prawem pobytu, a w końcu po obywateli mających odmienne imiona, np. Abdullah czy Mohamed, tak jak kiedyś przyszli po Lewich i Goldszmitów".

Jej pytanie, czy tak trudno to sobie wyobrazić i „czy możemy powiedzieć, że nigdy czegoś takiego nie doświadczyliśmy?", nabiera dziś szczególnej aktualności. ●

Cytaty w przekładzie autorki tekstu.

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***prof. Anna Wolff-Powęska**

• historyk idei, politolog, emerytowany pracownik Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wasyl Stus*

Bezsenną nocą

Myśli wyzbieram jak ziarna,
jak kłosy ze ścierniska.
Łzy kłują łzy. Kłujące łzy.
Są jak ości – w oczach.

Noc się przeciska jak pijak,
po pokoju, po ścianach się miota.
I milczy, i milczy.
Domowy skrzat by tak chodził.
I milczał.

Za oknem hurkoczą samoloty,
jak czarownice – w sabat.
Ponad dachami,
ponad ucichłymi,
ponad przyćmionym Kijowem – hurkoczą.

Jestem jak emigrant. Na Boga. Łóżko.
A na łóżku – od okien – kraty.
I moja poduszka zmierzwiona,
i zmierzwiona głowa.

Co wy łapiecie, anteny
z bożej woli telewizyjne, pogorzelców?
Co wy łowicie – zapadłą gębą –
poczerniałe kominy?

Zabrakło wam powietrza? Dymu?
Umysł ściśnięty, jak spirytus, płonie?
Drugą już noc, drugą – spać nie mogę.
Żółkną w oknie latarnie.

LISTOPAD 1964

przeł. Zbigniew Dmitroca

***Wasyl Stus** - 1938-85, ukraiński poeta, eseista, tłumacz. Rzecznik pojednania ukraińsko-polskiego. W czasach ZSRR działacz opozycyjny, członek ukraińskiego Komitetu Helsińskiego. W latach 1972-79 i od 1980 r. więzień łagrów. Zmarł w obozie pracy na Uralu.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 0c26237a5c

ALE HISTORIA

Chińscy cesarze, by przedłużyć sobie życie, próbowali wszystkiego, od religii po magię i alchemię.

Robert Stefanicki

W Pekinie, na Bramie Niebiańskiego Spokoju (Tian'anmen), prowadzącej do królewskiego Zakazanego Miasta, po obu stronach wielkiego portretu Mao Zedonga widnieją hasła tłumaczone jako: „Niech żyje Chińska Republika Ludowa. Niech żyje Wielka Jedność Narodów Świata". Pierwsze słowo, „wansui", dosłownie oznacza „10 tysięcy lat". Tyle miał żyć chiński władca wedle pozdrowienia stosowanego przez dworzan od czasów dynastii Han (206 p.n.e. – 220 n.e.). Był to jeden z przejawów supremacji cesarzy: wyłącznie im przysługiwało prawo do długiego życia, a w marzeniach nawet do nieśmiertelności.

Współczesny przywódca Chin, 72-letni Xi Jinping, który po 13 latach rządów i zręcznych manewrów politycznych dysponuje już władzą niemal tak absolutną, jak dawni cesarze, ma prawo do cesarskich pragnień. Jak wynika z nagrania wykonanego przez państwową telewizję CCTV, we wrześniu, w drodze na paradę wojskową w Pekinie, chiński przywódca rozmawiał z Władimirem Putinem, jego równolatkiem, o przedłużeniu życia. Prezydent Rosji stwierdził, że postępy biotechnologii mogą nawet pozwolić osiągnąć nieśmiertelność, na co Xi odparł, że „według prognoz w tym stuleciu jest szansa dożyć 150 lat".

Należy poczytać to za skromność, bo 150 lat dawano już Mao Zedongowi. „Według badań fizjologów i naukowców, nasz wielki przywódca, czerwone słońce w naszych sercach, towarzysz Mao, może żyć 140-150 lat. To największe szczęście całego narodu chińskiego i narodów całego świata. Życzymy Przewodniczącemu Mao nieskończonej długowieczności", pisała partyjna gazeta w dniu 73. urodzin Wielkiego Sternika.

Według wspomnień jego osobistego lekarza, Li Zhisui, Mao miał własny przepis na przedłużenie sobie życia: stosunki seksualne z młodymi kobietami. Dlatego stale utrzymywał harem wybranek z zespołów tanecznych lub z Sekretariatu Partii Komunistycznej. Li twierdził, że kobiety te były dumne, gdy zaraziły się od Przewodniczącego chorobami wenerycznymi.

W 1976 roku, po dwóch zawałach serca, Mao zmarł w wieku 82 lat. Prosił o kremację, ale kierownictwo partii zdecydowało, że ciało zostanie zabalsamowane i wystawione na widok publiczny w mauzoleum na centralnym placu Pekinu. Było to niezgodne nie tylko z wolą zmarłego, ale i tradycją. Cesarze, w przeciwieństwie do egipskich faraonów, nie mumifikowali się w celu zmartwychwstania, lecz budowali podziemne grobowce, a przedtem usilnie szukali sposobów na

Zabójczy ELIKSIR NIEŚM

eprasa.pl 0c26237a5c

przedłużenie sobie życia. Xi Jinping mógłby wyciągnąć wnioski z ich ponurych doświadczeń.

CELNE OKO ŁUCZNIKA HOU YI

Według popularnego mitu pierwotnie było dziesięć słońc. Przemierzały niebo jedno po drugim, ale pewnego dnia postanowiły wzejść wszystkie naraz, co groziło spaleniem ziemi. Łucznik Hou Yi otrzymał zadanie od boskiego cesarza Yao, aby temu zapobiec. Najpierw próbował przemówić słońcom do rozsądku, a gdy odmówiły posłuszeństwa, począł je strącać. Kiedy pozostało ostatnie, Yao i Xihe, matka słońca, poprosili, by je oszczędzić dla dobra ludzkości.

W nagrodę za wypełnienie zadania łucznik otrzymał od bogów eliksir nieśmiertelności, a lud ogłosił go królem-bohaterem. Hou Yi okazał się brutalnym władcą. Jedna z wersji mitu mówi, że jego żona, Chang’e, obawiała się, że jeśli będzie żył wiecznie, ludzie pozostaną na zawsze ofiarami jego okrucieństwa. Dlatego wypiła eliksir i uciekła na księżyc.

Ziemscy cesarze nie mogli zestrzelić słońc, ale próbowali wszystkiego, od religii po magię i alchemię, żeby przedłużyć sobie życie. Na przestrzeni wieków poszukiwania receptury nieśmiertelności pozostawiały spuściznę w postaci zatruć, prześladowań i skandali.

Niektórzy za ojca chińskiej alchemii uważają Laozi, twórcę taoizmu, który żył w VI wieku p.n.e. Ale nie ma na to żadnych dowodów. Pierwsze wzmianki o eliksirze nieśmiertelności, znanym w języku chińskim jako xiandan, pojawiają się w księgach z okresu Walczących Królestw (475–221 p.n.e.).

Przypowieść z tego czasu mówi, że wędrowny czarnoksiężnik podarował królowi Chu eliksir nieśmiertelności, a pałacowy strażnik go ukradł i spożył. Król wpadł we wściekłość, chciał zabić złodzieja, lecz ten zaprotestował: „Jeśli eliksir jest prawdziwy, nie umrę. Jeśli umrę, będzie to dowód na to, że eliksir jest fałszywy, więc byłem niewinny”. I król go oszczędził.

WYSPA NIEŚMIERTELNYCH

Urodzony w 259 r. p.n.e. Qin Shi Huang podbił wszystkie sześć walczących królestw i został pierwszym cesarzem zjednoczonych Chin. Dwa lata później 40-letni podówczas władca zapragnął nieśmiertelności. Alchemik Xu Fu powiedział mu, że nieśmiertelni, zamieszkujący trzy święte góry położone na wyspie Penglai na wschód od Chin, posiadają miksturę wiecznego życia i poprosił o pozwolenie na wyprawę, aby ją odnaleźć.

Było to olbrzymie przedsięwzięcie. Flota przewoziła zapasy żywności, odzieży, leków, narzędzi rolniczych i nasion na kilka lat. Oraz trzy tysiące dziewiczych chłopców i dziewcząt jako dar dla boga morza.

Po kilku latach Xu Fu wrócił z pustymi rękami. Cesarzowi tłumaczył, że drogę blokuje gigantyczny stwór morski i poprosił o łuczników, aby go zabili. Qin Shi Huang zgodził się. Xu wypłynął ponownie i już nigdy nie wrócił. Według późniejszych podań dotarł na wyspy japońskie i przyniósł tamtejszemu ludowi nowe techniki rolnicze. W Japonii można znaleźć świątynie i pomniki poświęcone Xu, czczonemu jako bóg rolnictwa, medycyny i jedwabiu.

W 2002 roku w opuszczonej studni w prowincji Hunan w środkowych Chinach znaleziono 36 tys. listów na paskach bambusa ze starożytną kaligrafią. Archeolodzy przeanalizowali też 48 dokumentów medycznych z tej kolekcji i odkryli, że zawierają one dekret pierwszego cesarza nakazujący poszukiwanie mikstur nieśmiertelności w całym kraju. Były też odpowiedzi z terenu: miasto o nazwie Duxiang donosiło cesarzowi, że mieszkańcy nie znaleźli jeszcze eliksiru życia, inne oferowało mu zioło z miejscowej góry.

Kolejne sensacyjne znalezisko pojawiło się 2020 roku na Wyżynie Tybetańskiej. Była to inskrypcja w kamieniu upamiętniająca dotychczas nieznaną ekspedycję, jaką Qin Shi Huang wysłał w 210 roku p.n.e. na wschód. „Cesarz nakazał wielkiemu mistrzowi piątego stopnia Yi poprowadzić grupę alchemików w celu zebrania yao”, głosi napis.

Yao to termin, który może odnosić się do ziół, zwierząt lub minerałów o mocy uzdrawiającej – ale mógł

• **Taichang, 14, cesarz dynastii Ming odnaleziony martwy w 1620 roku. Zmarł po zażyciu eliksiru życia podanego mu przez urzędnika**
FOT. ALAMY STOCK PHOTO

◄ **Yongzheng, piąty cesarz mandżurskiej dynastii Qing, który rządził właściwymi Chinami w latach 1722–1735. Ostatni cesarz Chin, który wierzył w moc eliksirów, zażywał je aż do śmierci**
FOT. ALAMY STOCK PHOTO

również oznaczać eliksir życia. Inskrypcja donosi, że grupa podróżowała powozem w góry i dotarła do jeziora Zhaling w prowincji Qinghai w 37. roku panowania Qin Shi Huanga.

PIERWSZY CESARZ I RTĘĆ

Alchemia dobrze pasowała do chińskiej koncepcji świata zakładającej, że wszystko można przypisać do pięciu elementów – wody, ognia, ziemi, metalu i drewna – uznawanych za wzajemnie powiązane i mogące przekształcać się jedne w drugie.

Zarówno wschodnia, jak i późniejsza zachodnia praktyka, są zadziwiająco podobne pod względem metod i celu: zamienić metale nieszlachetne w złoto lub srebro. Zauważono bowiem, że w przeciwieństwie do powszechnych metali, takich jak miedź i żelazo, metale szlachetne są stosunkowo chemicznie obojętne i odporne na warunki atmosferyczne, skąd wywiedziono wniosek, iż przekazują swą esencję konsumentowi i w rezultacie przedłużają życie. Chińczycy wierzyli, że złoto otrzymane w laboratorium jest lepsze od prawdziwego, ponieważ łączenie i przekształcenie różnych substancji nadaje ostatecznej substancji wartość duchową i silniejszą esencję.

W Chinach złoto było rzadkie, zazwyczaj pochodziło z importu. W górach prowincji Syczuan i Hunan wydobywano za to inny ważny w alchemii minerał: cynober, czyli siarczek rtęci. Jego barwa i trudność rafinacji podpowiadały alchemikom związek cynobru z nieśmiertelnością. W kulturze chińskiej czerwień reprezentuje życie, energię yang, słońce i szczęście.

Według „Chemistry World” Qin Shi Huang, któremu nie dowieziono eliksiru z nieśmiertelnych wysp, miał spożywać cynober. Jak obecnie wiadomo, rtęć jest trująca, więc kuracja ta mogła przyczynić się do jego śmierci w wieku 39 lat. Cesarz zbudował sobie rozległe podziemne mauzoleum w kształcie piramidy. Samego grobowca wciąż nie otworzono, za to w pobliżu znaleziono osiem tysięcy ceramicznych żołnierzy i koni znanych jako Terakotowa Armia. Starożytne pisma twierdzą, że podziemny pałac Qin Shi Huanga miał sufit imitujący nocne niebo z perłami w roli gwiazd i rzekami rtęci. Próbki gleby w jego okolicy wykazały wysoki poziom skażenia rtęcią.

W POSZUKIWANIU ESENCJI ŻYCIA

Dynastia Qin upadła trzy lata po śmierci jej założyciela. W czasach kolejnej dynastii Han (206 p.n.e – 220 n.e.) obsesja na punkcie eliksiru nie ustała, a alchemia zaczęła być postrzegana jako sztuka. Wśród praktykujących były i kobiety. Najwcześniejsza odnotowana alchemiczka nazwała się Fang i żyła około I wieku p.n.e. Wychowywana w rodzinie z tradycjami alchemicznymi, studiowała tę sztukę z jedną z małżonek cesarza Han Wudi. Fang przypisuje się odkrycie metody przekształcania rtęci w srebro, a szczegóły jej życia zostały spisane przez innego alchemika, Ge Honga.

Bywało, że sami twórcy eliksirów umierali zatruci swoimi wyrobami. J.C. Cooper w książce Chińska alchemia: taoistyczne dążenie do nieśmiertelności” pisze, że na podstawie stanu zwłok nieszczęśnika określano poziom sukcesu, jaki osiągnął. Jeśli trup pachniał słodko, mawiano, że osiągnął nieśmiertelność w stanie efemerycznym. Jeśli jego zwłoki znikały, pozostawiając po sobie jedynie ubranie – co według legendy spotkało wspomnianego wyżej Ge Honga – była to wyższa forma znana jako „nieśmiertelny bez zwłok”.

Cesarz dynastii Han Wu (141-87 p.n.e.) ustanowił konfucjanizm ideologią państwową, dokonał znaczących podbojów i reform, ale też był opętany pragnieniem nieśmiertelności. Zatrudnił mistrza ezoteryki (fangshi) imieniem Li Shaojun, który początkowo zalecił mu dietę bez zbóż. Jest to pierwszy przykład tzw. alchemii wewnętrznej, neidan, która zamiast toksyn wykorzystuje techniki medytacyjne, wizualizację, ćwiczenia oddechowe, gimnastykę qi gong, a także dietę. Celem jest zachowanie jing, czyli „esencji życia” i udrożnienie przepływu qi, czyli energii w organizmie.

Li polecił też cesarzowi składanie ofiar przy piecu, aby przywołać duchy, które miały przemienić cynober w złoto. Miało ono posłużyć do wytworzenia naczyń, które przedłużyłyby życie władcy i ostatecznie umożliwiły mu spotkanie z nieśmiertelnymi z wyspy Penglai.

Kiedy Li zmarł, Wu otoczył się podejrzanymi magami. Jednego mianował markizem i wydał za niego swoją córkę. Ów magik, Luan Da, został później zdemaskowany jako oszust i stracony.

Rządy Wu były niebywale kosztowne, bo wydawał krocie na kampanie wojenne, podróże i wystawne ceremonie, podczas których prosił bogów o nieśmiertelność. Usiłując poratować skarb państwa, jego minister rolnictwa Sang Hongyang wpadł na pomysł stworzenia państwowych monopoli na sól i żelazo.

Cesarz cierpiał na halucynacje, ciągle śniło mu się, że był biczowany przez maleńkie kukiełki, a spożywanie eliksirów z pewnością mu nie pomagało. W 96 roku p.n.e. Wu rozpoczął prześladowania za rzekome czary, co kosztowało życie wielu mieszkańców dworu. Na terror nałożyły się walki o sukcesję. Intrygi pchnęły do rebelii i samobójczej śmierci następcę tronu, Liu Ju, na którego również padły oskarżenia o czary.

CESARZ WIE LEPIEJ

Choć poszukiwania eliksiru nieśmiertelności były nieudane, alchemiczne eksperymenty nie były całkiem daremne. Pozwoliły lepiej zrozumieć właściwości materiałów takich jak saletra i siarka, co położyło podwaliny pod odkrycia, m.in. prochu strzelniczego. Kroniki wspominają też o narkotycznym „proszku pięciu minerałów” wytwarzanym z białego kwarcu, czerwonej gliny, siarki, fioletowego kwarcu i stalaktytów. Tworzono afrodyzjaki. W składzie tych mikstur znajdowały się rtęć, węgiel, cyna, ołów, miedź, złoto, srebro oraz toksyczny arsen, co prowadziło do śmierci niektórych użytkowników z powodu krwawienia ze wszystkich otworów.

W tym czasie nie istniała jasna granica między alchemią i medycyną, terminy lekarstwo i eliksir stosowano zamienne. Leki produkowano głównie z ziół i produktów zwierzęcych, ale też wiele eliksirów powstawało poprzez łączenie metali z produktami naturalnymi. Na przykład róg nosorożca, do dzisiaj uznawany za środek zwiększający płodność, był powszechnie używany zarówno w medycynie, jak i w eliksirach.

Spośród 22 cesarzy dynastii Tang (618–907), która wprowadziła do Chin buddyzm, jedenastu zażywało alchemicznych mikstur, a sześciu z nich zmarło z tego powodu. Xianzong, dwunasty władca, w 810 roku zasięgnął rady swojego kanclerza, który ostrzegł go przed poszukiwaniem xiandan, cytując wiersz:

IERTELNOŚCI

eprasa.pl 0c26237a5c

„W poszukiwaniu boskiego lekarstwa często popełnia się błędy. Lepiej pić dobre wino i nosić szlachetny jedwab".

Według oficjalnej historii dynastii cesarz czuł słuszność tej idei. Jednakże osiem lat później zatrudnił nadwornego alchemika, Liu Mi, aby opracował buddyjską receptę na życie wieczne. Xianzong mianował go gubernatorem prefektury Taizhou, aby miał łatwy dostęp do góry Tiantai, gdzie, jak twierdził, znajdowała się farmakopea składników eliksiru.

Doradcy zasugerowali cesarzowi, aby kazał alchemikowi spożywać jego własny napój przez rok i obserwować efekty, zanim sam się go napije. Xianzong nie posłuchał, zażywał mikstury przepisane przez Liu i pogrążył się w chorobach, a królestwo w chaosie. W stolicy powstawały zwalczające się frakcje, eunuchów i dworki skazywano na śmierć z błahych powodów. Otumaniony wywarami cesarz w końcu został uduszony przez eunucha, który obawiał się o swoje życie. Syn i następca Xianzonga, cesarz Muzong (820-824), miesiąc po objęciu tronu kazał zatłuc Liu na śmierć.

ALCHEMICY DO WYMIANY

Wnuk Xianzonga znany jako cesarz Wuzong (840-846) był żarliwym taoistą i wydał wojnę buddyzmowi, nakazując zniszczenie świątyń i konfiskatę majątku kleru. Dążenie do życia wiecznego to jedna z podstawowych zasad doktryny taoizmu, a można było to osiągnąć na dwa sposoby: poprzez wywołanie wewnętrznej przemiany lub poprzez spożywanie substancji.

W pierwszym roku swoich rządów Wuzong wezwał do pałacu znanego taoistycznego mnicha i alchemika, Zhao Guizhena. Jak zapisał w swych dziennikach japoński mnich Ennin, cwany kapłan wymyślił składniki eliksiru, których nie dało się zdobyć: po 5 kg śliwkowego nalotu, puchu brzoskwiniowego, surowej błony kurczaka, futra żółwia i poroża królika. Zaś według pałacowej kroniki, Zhao zalecił Wuzongowi zażywanie złotego eliksiru z siarki.

Cesarz w końcu zaczął podejrzewać, że jest to przyczyną jego choroby, lecz mnich przekonał go, że problemem było prawdziwe imię Wuzonga, Li Chan, którego głównym elementem jest żywioł wody. Mnich kazał mu je zmienić imię na takie „z większą zawartością żywiołów ognia, harmonizujące z ziemią". Cesarz posłuchał, ale 12 dni później zmarł w wieku 33 lat.

Kolejny cesarz Li Chen (846-859), ucząc się na błędach swoich przodków, po wstąpieniu na tron kazał zabić wszystkich alchemików zatrudnionych przez swojego poprzednika. Tylko po to, by zatrudnić nowych w dwunastym roku swojego panowania – i umrzeć w trzynastym.

SZALEŃSTWO CESARZA JIAJINGA

Dynastia Ming (1368-1644) też miała kłopotliwą postać: cesarza Jiajinga (1521-1567), który wysłał kapłanów taoistycznych w kraj, aby zbierali rzadkie minerały i zioła do mikstur przedłużających życie. Do eliksiru dodawał mocz młodych chłopców i krew menstruacyjną trzynastoletnich dziewcząt. Tych ostatnich skoszarował ponad tysiąc, pozwalając im jeść jedynie liście morwy i pić rosę, co miało zmaksymalizować skuteczność eliksiru.

Cesarz nie tylko sypiał z tymi dziewczętami, ale i często bił je za słabą jakość mikstury. Ponad dwieście tego nie przeżyło. Niewolnice w końcu zmówiły się, żeby Jiajinga udusić we śnie. Zamach się nie powiódł, bo jedna z zamachowczyń spanikowała i zaalarmowała eunuchów. Jiajing zabił wszystkie uczestniczki spisku i – wierząc, że przetrwanie zawdzięcza taoizmowi – poświęcił się całkowicie praktykom religijnym i alchemii.

Zamiłowanie do eliksirów weszło w krew jego potomkom. Prawnuk oddawał się seksualnym ekscesom, zażywając pigułki afrodyzjaku i zmarł miesiąc po objęciu tronu. Praprawnuk – przedostatni cesarz dynastii Ming – wyzionął ducha w wieku 22 lat, również z powodu eliksirów.

W bardziej oświeconych czasach dynastii Qing (1636-1912) należało oczekiwać, że postęp naukowy przeważy nad zabobonami. Jednak i ona miała czarną owcę: cesarza Yongzhenga (1722-1735). Mocno zaangażowany w buddyzm władca zażywał eliksir i kazał robić to samo swoim ministrom, oczekując ich opinii. Yongzheng znany był ze swego pracoholizmu – spał cztery godziny na dobę, odpoczywał tylko trzy dni w roku. Eliksiry były dla niego również środkiem pobudzającym. Na łożu śmierci wykazywał objawy zatrucia metalami ciężkimi.

Był ostatnim cesarzem Chin spożywającym eliksiry. Jego następca, cesarz Qianlong, wyrzucił z pałacu wszystkich kapłanów taoistycznych razem z ich receptami. ●

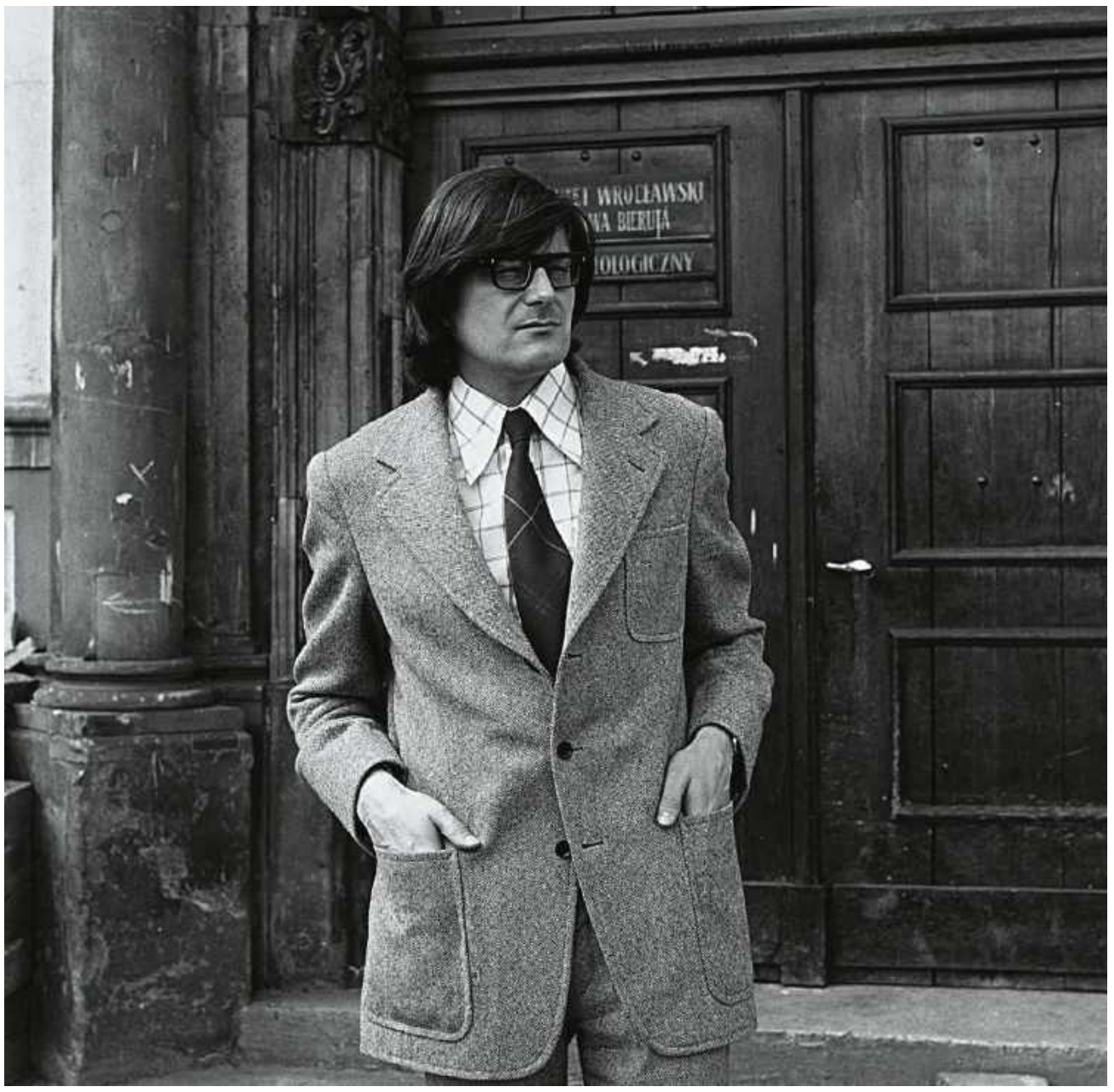

▲ **Lothar Herbst (1940–2000), poeta, krytyk literacki, wykładowca akademicki, przy wejściu do gmachu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego, 1977 rok**
FOT. PAP/TADEUSZ DRANKOWSKI

WYBORY LOTHARA

W więzieniu siedziałem nie za Niemcy, tylko za wolną Polskę.

Stanisław Zasada

Od niemieckich rówieśników dostaje po mordzie za to, że mówi po polsku. Od polskich – bo jest Niemcem.

Na studiach musi uczyć się trzy razy więcej od koleżanek i kolegów. Żeby im dorównać.

Gdy angażuje się w „Solidarność", peerelowska propaganda wypomina mu przeszłość ojca. Tę z Werhmachtu.

– Nie masz mi za złe? – pyta kolegę, gdy dostaje niemiecki paszport.

Syn żołnierza Wehrmachtu, polski poeta, opozycjonista. Lothar Herbst.

INSTYNKT

Patrzy z okna na trzecim piętrze. Grzywa zaczesana na bok, w okularach (miał słaby wzrok), w klapę marynarki wpiął biało-czerwoną flagę. Uśmiecha się.

Miejscowy artysta namalował portrety poetów, filozofów, księgarzy związanych z Wrocławiem. Z kamienic patrzą Edyta Stein, Tadeusz Różewicz, Rafał Wojaczek. Z zamurowanego okna dawnego Browaru Mieszczańskiego na Hubach spogląda Lothar Herbst.

Zagaduję o mężczyznę w okularach, który uśmiecha się z trzeciego piętra.

– Nawet nie wiedziałam, że tu jest jakiś portret – rowerzystka.

– Nie znam – jowialny mężczyzna w średnim wieku.

– Nie mam pojęcia – dziewczyna z kanapką.

Lothara Herbsta pamiętają dawni przyjaciele, znajomi, byli opozycjoniści, garstka literatów.

– Miotał się między instynktem samozachowawczym a heroizmem – Leszek Budrewicz, jego student.

– Potrafił pokazać brawurę, ale umiał też zachować pewien rozsądek – Agnieszka Sidorska, działali razem w „Solidarności".

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

– Ze studentami potrafił być na koleżeńskiej stopie, a jednocześnie był wymagający – Alicja Badowska, jego magistrantka.

– Człowiek z trudnym doświadczeniem życiowym – Rafał Bubnicki, też student Herbsta, później jego biograf.

– Zawsze miał pod górkę – Krystian Herbst, syn.

WINNETOU

Jedno z pierwszych wspomnień: Wigilia 1944, matka zastanawia się, czy iść do ciotki na dzisiejszy plac Grunwaldzki. Zostali w domu. Dowiedzą się potem, że kamienica ciotki została zbombardowana.

Irmgard z domu Szlagowski jest krawcową, Helmut – policyjnym sierżantem. Mieszkają przy Schwerinstrasse (Skwierzyńska na Krzykach). Gdy w lipcu 1940 rodzi się Lothar, wojna jest daleko od Breslau.

Cztery lata później Helmuta powołują do Wehrmachtu: dostanie się do sowieckiej niewoli, do rodziny nie wróci. Oficjalna wersja będzie taka, że zginął.

Ostatniej wojennej zimy Irmgard z czteroletnim Lotharem i półroczną Hennelore idzie pieszo do Waldenburga – niemiecka nazwa Wałbrzycha. Ewakuacji nie przeżyje prawie sto tysięcy ludzi.

Zwycięska armia wkroczy do Waldenburga po kapitulacji Trzeciej Rzeszy. Lothar będzie wspominał, jak żołnierze z czerwoną gwiazdą wdarli się do mieszkania, w którym Irmgard zabarykadowała się z dziećmi. Porąbali meble i rozpalili ognisko, żeby upiec kartofle. Wpadł radziecki oficer, przegonił intruzów, a upieczone ziemniaki dał Herbstom.

Rodzina matki wyjeżdża do Niemiec, ona zostaje: nie chce zostawić grobu córki – Hannelore zmarła tragicznie. I czeka na powrót męża. Bliscy nie chcą jej znać, nawet ojciec zrywa kontakt. – Moja matka została z rodziny wykluczona, bo została w Polsce – Lothar będzie się żalił.

W Wałbrzychu mieszka jeszcze dużo Niemców. Lothar z matką rozmawia po niemiecku, z polskimi rówieśnikami po polsku. Żeby im zaimponować, czyta w oryginale Karola Maya, a potem po polsku opowiada na podwórku kolegom przygody Winnetou i Old Shatterhanda. W 1956 roku odprowadza na dworzec kolegów z niemieckiego liceum, którzy jadą do RFN.

Za lojalność wobec jednych i drugich podwójnie płaci.

– Gdy wracając ze szkoły, przechodziłem przez ulicę zamieszkaną przez Niemców, to od swoich rówieśników dostawałem w gębę za mówienie po polsku. Na „polskiej” ulicy obrywałem za to, że jestem Niemcem – będzie wspominał.

Nie przyjęli go do polskiego liceum – skończy wieczorowe. Zatrudnia się jako księgowy w zakładach koksowniczych. Żeby dorobić, gra w karty – podobno był niezłym szulerem.

Osiemnastoletni. Chce uciec z kolegami do Afryki. Zatrzymują go w Gubinie. Za próbę nielegalnego przekroczenia granicy z Niemiecką Republiką Demokratyczną dostaje rok w zawieszeniu. A może ta Afryka to tylko alibi?

Kłóci się z matką: Irmgard chce, żeby przyjął jej panieńskie nazwisko – Szlagowski. I żeby spolszczył imię na Lotar. Ani myśli wyrzekać się pochodzenia.

– Nazywaliśmy go żartobliwie Jesienin – wspomina Rafał Bubnicki. To od nazwiska: Herbst po niemiecku znaczy jesień.

Nazwisko ujdzie. Ale to imię z „h” w środku będą mu wypominać.

UNIWERSYTET

– Czułem, że muszę trzy razy więcej dać z siebie niż każdy inny student, który nazywał się Kowalski lub Malinowski – będzie opowiadał w niemieckim radiu.

Polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim wybrał z przekonania: obok Karola Maya w młodości czytał Mickiewicza, Słowackiego. Także Goethego i Schillera.

• **Pierwszy z lewej Lothar Herbst, podczas II Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, Gdańsk, hala Olivia, kwiecień 1990 rok** FOT. MIECZYSŁAW MICHALAK, ZBIORY OŚRODKA KARTA

Gdy wracając ze szkoły, przechodziłem przez ulicę zamieszkaną przez Niemców, to od swoich rówieśników dostawałem w gębę za mówienie po polsku. Na „polskiej” ulicy obrywałem za to, że jestem Niemcem

– Był pasjonatem literatury – mówi Leszek Budrewicz. – Mało rzeczy było dla niego ważniejszych.

Magisterkę pisze u profesora Czesława Hernasa, znawcy baroku: o wrocławskich czasopismach studenckich. Przyjmują go na studia doktoranckie z literatury współczesnej, robi doktorat, jest opiekunem Koła Młodych Polonistów.

Polonistyka jest dysydencka. – To był Piemont wrocławskiej opozycji – uważa Budrewicz.

Bubnicki: – Gdy pojawił się drugi obieg, mało kto się krył na korytarzach z bibułą.

Profesor Hernas (dyrektor Instytutu Filologii Polskiej) pozwala studentom na pisanie prac o Gombrowiczu i Miłoszu, choć są zakazani. – Profesor stworzył klimat, w którym nie było cenzury – mówi Bubnicki, też pisał magisterkę u Hernasa. – Panowała pełna tolerancja. Jak ktoś miał poglądy, mógł je wygłaszać bez obawy o „konsekwencje”.

W połowie lat siedemdziesiątych do Koła Młodych Polonistów należą Jarosław Broda, Leszek Budrewicz, Mariusz Wilk. Jak Lothar, pasjonaci literatury. Potem inaczej potoczą się ich życiorysy.

„Było nas trzech, w każdym z nas inna krew” – Budrewicz nuci słowa piosenki „Perfectu”.

On: sportowiec (wicemistrz Polski w piłce wodnej).

Broda nosi beret jak Che Guevara.

Wilk przeczytał chyba wszystko.

Wszyscy w opozycji. Wszyscy chcą być literatami.

Herbst wydaje „Zeszyty Koła Naukowego”. – Drukował nasze niepokorne wiersze – mówi Budrewicz.

Alicja Badowska pamięta jego wykłady: – Mała sala, na czterdzieści, góra pięćdziesiąt osób, a przychodziło czasem i koło stu, mimo że zajęcia odbywały się wcześnie rano. Siedzieliśmy stłoczeni w ławkach, na parapecie, na podłodze. Rzecz nazywała się „Wprowadzenie do literatury Polski Ludowej”, ale otrzymaliśmy dużo więcej, niż sugerował tytuł: wiedzę o literaturze najnowszej, współczesnym życiu literackim – czego nie było w podręcznikach.

Mówił im o Tyrmandzie, Miłoszu, Herbercie, Bursie, Hłasce, tygodniku „Po Prostu”, Nowej Fali.

Był też wymagający i surowy.

– Koleżanka, która pisała pracę o Borowskim, wyszła zapłakana z konsultacji. Inna zrezygnowała z seminarium – wspomina Badowska. – Ale z tymi, którzy potrafili sprostać jego wymaganiom, nawiązywał bliższe relacje koleżeńskie, a nawet przyjacielskie.

Po Noblu dla Miłosza (Badowska pracowała już w szkole) doświadczeni poloniści pytali ją, kto to ten Miłosz, zrobiła o nim lekcję.

Bubnicki był akurat w sanatorium akademickim w Zakopanem. Schodzi do stołówki podekscytowany nagrodą dla Miłosza. – Były tam studentki polonistyki z Uniwersytetu Warszawskiego i kompletnie nie wiedziały, kto to jest – wspomina. – Dziwiły się mojej ekscytacji.

Gdy poszedł na zastępstwo uczyć polskiego w liceum, na lekcjach mówił otwartym tekstem o literaturze emigracyjnej. – Tego nauczyli nas Hernas i jego ekipa, w której był też Herbst.

POETA

We wrocławskim środowisku literackim zachowała się anegdotka.

Lothar Herbst owinięty szalikiem (dla kamuflażu) wchodzi do księgarni. Zmienionym głosem pyta o swój debiutancki tomik „Pejzaże”.

– Panie Lotharze, przecież pan już wszystkie wykupił – księgarz rozpoznał pytającego.

Uważa się przede wszystkim za poetę.

– Można było z niego się śmiać, miał do siebie dystans, ale nie z jego poezji – mówi Badowska.

Gdy wpisywał znajomym krótkie dedykacje, zawsze było imię konkretnej osoby i zwrot: „te ważne dla mnie wiersze”.

– Ja dostałam coś podobnego, a jednak trochę innego – opowiada Badowska. – Gdy znudzona politycznymi sporami przyjaciół zasnęłam, znalazłam w torebce tomik z wpisem: „Śpiącej Alicji w Krainie wśród Nas, przy dobrej wódce i Kelusie, te ważne dla mnie wiersze – Lothar”.

Pierwszy wiersz napisał podobno jako siedemnastolatek. Po polsku, jak wszystkie.

„Język jest moją ojczyzną. Ja się po prostu zafascynowałem językiem, w tym języku się zakochałem, w tym języku zacząłem tworzyć i nigdy nie napisałem żadnego wiersza w jakimkolwiek innym języku” – opowiadał; prawie jak Tuwim w manifeście „My, Żydzi polscy”.

– Nasi przyjaciele germaniści śmiali się z jego niemieckiego, że taki mamuci – opowiada Badowska. – Podobno mówił niemieckim sprzed wojny.

Należy do grupy literackiej Agora – nazwę wzięli od tytułu pisma, które Herbst założył jako student (– Wszędzie, gdzie był, zakładał pismo – mówi Bubnicki). Oprócz niego, w „Agorze” publikują Marianna Bocian i Andrzej Zawada. Mówi się o nich, że to prekursorzy Nowej Fali – z Barańczakiem, Kornhauserem, Krynickim i Zagajewskim.

Wczesny Herbst:

nie
nie mogę dać się oszukać tym zdaniom
które w jednym szeregu tak chcą mną zawładnąć
i tak łatwo garną się na papier
nie
nie wyrzeknę się wiary że mogą się one po prostu
stać komuś potrzebne
po prostu potrzebne
nie
pozostanę sobą wśród tylu możliwości świata
wśród tylu odmian języków i stylów
wśród tylu odmian śmierci

Leszek Budrewicz nie lubi tamtej poezji. – Była dość średnia – mówi oględnie.

Alicji Badowskiej też nie porusza. – To było pisane grubą kreską. Polityczne, sprozaizowane, mało finezyjne. Jakby przygotowane do przełożenia na niemiecki. Nie znajdowałam tam egzystencjalnych prawd, nie pamiętam ani jednego wersu.

Rafał Bubnicki: – Cenię te wiersze jako świadectwo czasu.

PIWO

„Tu, w dawnej restauracji Pod Chmielem, spotykał się z przyjaciółmi, wiódł dyskusje i obmyślał jak walczyć z komuną” – napis na tablicy przy Odrzańskiej. Portret ten sam, co przy Hubskiej.

Blisko miał z uniwersytetu. Piwo nie zawsze było.

Badowska: – Wtedy szło się „na szlak”. Przyjaciół, znajomych spotykało się tam, gdzie było piwo.

Bubnicki: – Te spotkania były często kontynuacją dyskusji, które odbywały się na uczelni.

Badowska: – Sławna była oszczędność Lothara, żeby nie powiedzieć – skąpstwo. Kiedy szliśmy na piwo, mówił: „Ale ja mam tylko pięć złotych!”.

Do bycia opozycjonistą dojrzewał długo: należał do Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Studentów Polskich, zapisał się do partii (legitymację rzuci, gdy powstanie „Solidarność”).

Znajomi sądzą, że to z pragmatyzmu: chciał pokazać, że jest lojalnym obywatelem Polski Ludowej.

– W tamtych czasach niemieckie pochodzenie to był „hak” w życiorysie – mówi Bubnicki. – I Lothar to wiedział.

Marzec 1968. Wrocławscy studenci przyłączają się do protestu kolegów i koleżanek z Uniwersytetu Warszawskiego. Herbst się nie przyłącza. Przynajmniej nic o tym nie wiadomo.

Jego „Agora” publikuje kuriozalne oświadczenie. Z jednej strony „solidaryzuje się w pełni z wypowiedziami programowymi” towarzysza Władysława Gomułki, które pierwszy sekretarz wygłosił w Sali Kongresowej. Gomułka grzmiał tam na studentów, literatów i syjonistów.

eprasa.pl 0c26237a5c

Tylko że zaraz potem autorzy oświadczenia domagają się „swobody dyskusji, która umożliwia ścieranie się rozmaitych myślowych postaw" i „liberalizacji cenzury".

Rok później „Agora" przestaje się ukazywać.

Maj 1977. W Krakowie ginie tragicznie student polonistyki Stanisław Pyjas: był przesłuchiwany przez SB, śledzony, wtedy nikt nie ma wątpliwości, że to mord polityczny. Na uczelniach powstają Studenckie Komitety Solidarności. We Wrocławiu komitet zakładają studenci polonistyki.

Lothar zabiera na spacer Budrewicza. – Fajny ten wasz ruch – mówi. – Ale nie moglibyście się nazywać Socjalistyczny Komitet Studencki? Wkładacie palce między drzwi – ostrzega.

Alicja Badowska też współpracowała z SKS, pamięta lojalizm Herbsta. – Dopóki się dało, wolał działać legalnie. Ale z tej lojalności wyciskał, ile się dało. Wystarczy przypomnieć jego wykłady, propozycje tematów prac magisterskich.

Budrewicz domyśla się powodów ostrożności Herbsta. – To mogło być z obawy, że wytkną mu jego niemieckość. Także nas chciał ochronić. Uważał, że z komuną można walczyć w ramach systemu.

Bubnicki: – Hernasowi też zarzucano, że nie idzie na barykady, a on uważał, że należy chytrzyć i rozszerzać pole wolności, a nie uderzać w tarabany. Herbst też jak najdłużej próbował to robić.

Zaraz to się zmieni: wyjedzie na Zachód na stypendium, nawiąże kontakt z Giedroyciem.

SOLIDARNOŚĆ

Lato 1980. W Gdańsku strajkują, a on w Austrii.

– Jako Niemiec mieszkający w Polsce, jak pan to skomentuje? – pyta go niemiecki dziennikarz.

– Nie jestem Niemcem – Herbst na to. Prostuje, że jest Polakiem z niemieckim rodowodem.

Po powrocie przyłącza się do solidarnościowej rewolucji. Redaguje i pisze teksty do niezależnego tygodnika związkowego „Solidarność Dolnośląska". Jest prezesem wrocławskiego Związku Literatów Polskich.

Agnieszka Sidorska: – Dla robotników jego głos był też ważny.

OJCIEC

– Oficjalna wersja była taka, że dziadek zginął na froncie wschodnim czy na zesłaniu – Krystian Herbst nie wszystko pamięta.

Jako dziecko dopytywał o dziadka. – Ale tato niechętnie o tym rozmawiał – wspomina dziś Krystian. Wiedział, że to drażliwa sprawa, nie dociekał. Może ze dwa razy widział w rodzinnym albumie u babci jego zdjęcie. I to wszystko.

Tamtego lata, gdy w stoczni wybuchł strajk i powstała „Solidarność", Lothar spotkał się z ojcem. U bawarskiego notariusza zrzekł się majątku po nim. Helmut Herbst miał już wtedy nową rodzinę.

Że wrócił z sowieckiej niewoli, Lothar miał się dowiedzieć jeszcze w szkole. Może osiemnastoletni próbował uciec do Niemiec, żeby spotkać się z ojcem? A tę Afrykę wymyślił?

Rafał Bubnicki w książce „Nie tracić nadziei. Lothar Herbst. Z Breslau do Wrocławia" opisał to dość oględnie. – Rzeczywistość była bardziej dramatyczna – mówi mi, gdy rozmawiamy.

Helmut Herbst przeżył syna: umarł w 2010 roku. Krystian dziadka nigdy nie zobaczył.

CELA

– Ty, ty i ty pójdziecie za to do piachu! – esbek wskazuje palcami na przywódców strajku we wrocławskim Pafawagu. A Lothar jakby nigdy nic pisze na maszynie odezwę.

Jest wczesne rano piętnastego grudnia 1981, zakład otoczyli zomowcy i wojsko.

W nocy z dwunastego na trzynastego udało mu się wymknąć. Czternastego z Agnieszką Sidorską, Rafałem Bubnickim, Tadeuszem Drozdem i Tadeuszem Kurandą (redakcja „Solidarności Dolnośląskiej") byli w Pafawagu i Dolmelu.

Po wszystkim ukrywali się.

– Lothar powiedział, że na Wigilię chciałby być w domu z rodziną – wspomina Sidorska. – Odradzałam mu, ale się uparł.

Rzeczywiście, na święta wpadł na chwilę do żony i syna. Tak pamięta to Krystian Herbst.

Ukrywa się trzy tygodnie. Złapali go, gdy znowu na chwilę wpadł do domu. Z aresztu wysyła gryps do przyjaciół z podziemia. „Jest tu normalnie, jak w więzieniu. Nie martwcie się o mnie, da się i tutaj żyć. Celę mam dobrą" – pisze.

Przewożą go do obozu internowanych w Nysie (– Sam transport wyglądał strasznie, jak z filmów okupacyjnych – jego słowa wyemituje Radio Wolna Europa), potem do Strzelec Opolskich. Dla internowanych ma wykłady z literatury emigracyjnej, redaguje konspiracyjne pismo „PAPuga TASSmańska" (tytuł to kpina z propagandy Polskiej Agencji Prasowej i radzieckiej agencji TASS).

Pogarsza mu się wzrok. Po czterech miesiącach wraca do domu. Znowu knuje: kolportuje ulotki, należy do Solidarności Walczącej.

– Radykalizował się pod wpływem otoczenia – uważają znajomi.

BARD

Przemysław Gintrowski szarpie struny gitary, ochrypłym głosem wyrzuca z siebie:

Za rozbijanie naszych domowych
drzwi, za bicie po twarzy, zakuwanie
w kajdanki, krzyk dzieci,
płacz matek i żon –
nie będzie przebaczenia

To jeden z najgłośniejszych wierszy Herbsta. W kolejnych zwrotkach wylicza zbrodnie i draństwa stanu wojennego: „strzały oddane do bezbronnych ludzi", „niesprawiedliwe i bezprawne wyroki", „znęcanie w celach", „krzyki, wrzaski i wyzwiska".

To ze zbioru „Polska więzienna", z podtytułem: „Dziennik liryczny pisany od 16.02.82 do... w Strzelcach Opolskich, Nysie, we Wrocławiu i...".

Ponad sześćdziesiąt utworów. Pisał niemal codziennie, czasem po dwa, trzy wiersze na dzień. O nocy z dwunastego na trzynastego grudnia, strzelaninie w Wujku, odwiedzinach bliskich i przyjaciół, reżimowej propagandzie, strachu, kuszeniu opozycjonistów wyjazdem za granicę.

Kilka utworów zaśpiewał też Roman Kołakowski – jego były student.

– Wtedy Lothar najbardziej objawił się jako poeta – Budrewicz ocenia więzienne wiersze Herbsta.

Nie pomylił się z tymi wykropkowanymi miejscami w podtytule. Znowu go zamkną.

POCZTÓWKA

Już teraz wiemy, że można z nami
zrobić wiele, że jesteśmy przed
skazaniem lub po, że można nas
bezkarnie znieważyć, bić, zamykać do
karceru, okłamywać, a nawet wypuścić
na pozorną wolność, zakuć ponownie
w kajdanki, oddać rodzinie lub deportować.
Już wiemy, że można z nami
zrobić wiele, nie wiemy tylko co
jeszcze i jak długo,
lecz czas płynie
i wszystko jest przed nami.
Lecz czas płynie
i tym, którzy z nami
tak postępują,
i płynie im coraz szybciej

Napisał to w internowaniu.

Teraz znowu siedział. „Redagował, gromadził i rozpowszechniał nielegalne wydawnictwa", które „podburzały do niepokoju społecznego" – prokurator napisał nowomową.

Siódmy października 1985. Esbecy robią rewizję w jego uczelnianym gabinecie. Znajdują kilkaset książek drugiego obiegu. Do tego ulotki z odezwą do bojkotu wyborów.

Kilka dni po wpadce miał mieć wieczór autorski. Był: wiersze Herbsta recytowali przyjaciele. Broda z Kurandą zaprojektowali pocztówkę: na jednej stronie portret Lothara i jego wiersz: „Już teraz wiemy, że można z nami zrobić wiele...". Na drugiej: protokół z przesłuchania.

Coraz gorzej widzi. Literaci, naukowcy, studenci, Polski PEN-Club, episkopat domagają się jego uwolnienia.

Wypuścili go po trzech miesiącach.

HEJT

– Panie Herbst, wynoś się pan do Reichu! – wścieka się esbek.

– A wy wynoście się do Moskwy! – on na to.

W więzieniu proponowali mu paszport w jedną stronę – chcieli pozbyć się wroga socjalizmu. Odmawiał. Za tę pyskówkę, w której kazał im się wynosić do Moskwy, pobili go.

Lipiec 1987. „Gazeta Robotnicza" publikuje komunikat Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce: szukano osób, które w czasie wojny miały kontakt z Helmutem Herbstem, podoficerem niemieckiej policji. Sugerowano, że popełnił wojenne zbrodnie.

> – Panie Herbst, wynoś się pan do Reichu! – wścieka się esbek. – A wy wynoście się do Moskwy! – on na to

– Prowokację wymyśliła bezpieka, żeby skompromitować Lothara – przypomina Budrewicz. – A dokładnie: podważyć jego polskość.

Znajomi odbierali to jak dzisiaj hejt na Tuska za dziadka z Wehrmachtu.

PASZPORT

– Nie masz mi za złe? – Piotrowi Załuskiemu (wyjechał na emigrację do Niemiec, pracował w Wolnej Europie) pokazuje paszport Republiki Federalnej Niemiec.

Klinika okulistyczna w Lubece zaprosiła go na leczenie. Złożył wniosek o paszport. – Służba Bezpieczeństwa nie jest zainteresowana, żeby pan wyzdrowiał – oświadczył mu teraz esbek.

Napisał list to Kiszczaka. Generał „ze względów humanitarnych" zgodził się wydać paszport na „jednokrotny wyjazd do RFN".

W Niemczech zostanie dwa lata. Jeździ do Austrii, Francji, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Norwegii. Opowiada o polskiej „Solidarności", zbiera pieniądze dla opozycji, pomaga wydawać polskich autorów.

1989 rok. W Polsce przygotowania do Okrągłego Stołu, a on jedzie do Londynu: prezydent RP na Uchodźstwie przyznał mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Nie wie, jak go przyjmą: spotka przecież starych polskich emigrantów, którzy walczyli z Niemcami.

– Urodził się jako Niemiec, ale wybrał los Polaka, a nie znacznie wygodniejszy los Niemca – prezydent Kazimierz Sabbat dodał mu otuchy. – Potrafił w swoim sercu połączyć te dwie sprawy

Już w wolnej Polsce wyzna: „Po pierwsze nazywam się Lothar Herbst i jestem Ślązakiem. Wzrastałem jako Polak i w tym sensie jestem polskim patriotą – w więzieniu siedziałem nie za Niemcy, tylko za wolną Polskę. Oczywiście, zachowałem w sercu język mej matki i nie chcę, by ktoś mi tego zabraniał lub się do tego wtrącał".

Bubnicki: – Miał swoje zdanie. Nie był skłonny do ulegania stadnemu myśleniu.

RADOŚĆ

„Teraz jest czas na radość" – pisze po wyborach czwartego czerwca. „Obyśmy tylko mogli i potrafili to zwycięstwo mądrze wykorzystać" – apeluje.

Do kraju wrócił, gdy trwał Okrągły Stół. A jakże: znowu zakłada pismo – „Gazeta Wyborcza" była organem Komitetu Obywatelskiego (powstała wcześniej niż ogólnopolska „Gazeta Wyborcza").

Zostaje naczelnym Polskiego Radia we Wrocławiu. Potem prezesem.

Bubnicki: – Radio to była jego wielka miłość.

Jest zgorszony „wojną na górze".

BÓL

Gorzkie te ostatnie wiersze. Ten na przykład:

To jestem Ci winien. Tych kilka
obrazów zamierzchłej przeszłości,
śladów pamięci ze świata, którego
już nie ma, zniknął razem z nami,
pozostawiając kilka wyblakłych fotografii,
drobnych pamiątek, niegdyś bolesnych.
(Mam ochotę na wielki poemat o Wałbrzychu,
ale nie wiem
czy mi się to uda, pewnie nie)".

W tytule jest data: czwarty listopada 1998. Zostało mu kilkanaście miesięcy.

SYN

Z wczesnego dzieciństwa Krystian Herbst pamięta pojedyncze sceny:

– pod dom podjeżdża polonez, wysiada kilku rosłych mężczyzn w skórzanych płaszczach, prowadzą ojca;

– ubecy zrzucają z regałów książki i papiery, ulotki zabierają, matka sprząta po rewizji;

– siedzi z mamą i ojcem przy stoliku w sali widzeń wrocławskiego aresztu.

Wychowywał się bez ojca.

– Taty prawie w domu nie było. Albo siedział w więzieniu albo był na emigracji – mówi. – Ale swoją postawą nauczył mnie pokonywania trudności.

Mały Krystian dobrze pływa, w sąsiedniej szkole jest klasa pływacka. Rodzice chcą go tam przenieść. Wychowawczyni odradza, że nauczyciele będą mu dokuczać z powodu działalności ojca.

Gdy komuna upadła, ojciec zabrał go na koncert Gintrowskiego i Kołakowskiego – był dumny, że słynni bardowie śpiewają jego utwory. Starą kasetę z piosenkami Gintrowskiego, który śpiewał jego wiersz, Krystian ma do dziś. Synowi dał imiona Jakub Lothar.

EPITAFIUM

Grób na Cmentarzu Grabiszyńskim łatwo znaleźć – jest niedaleko głównej bramy.

Do kłopotów ze wzrokiem doszła białaczka.

„Jestem bólem" – pisze na kartce przyjaciółce, gdy już nie może mówić.

Umiera 27 kwietnia 2000 roku, trzy miesiące przed sześćdziesiątymi urodzinami.

Pogrzeb ma z wojskowymi honorami – znajomi zastanawiali się, czy chciałby takiego.

Nagrobek prosty: niewielka marmurowa płyta pod rozłożystym dębem.

U góry imię i nazwisko żony: Elżbieta Stachowiak-Herbst zmarła dziewiętnaście lat po nim.

Niżej:

Lothar Herbst

Poeta

Na dole cytat z jego wczesnego wiersza: „Pozostanę sobą wśród tylu możliwości świata". ●

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

• **Porwany król Stanisław August we Młynie pod Marymontem, rycina zamieszczona w „Tygodniku Ilustrowanym ” w 1878 roku, powstała według obrazu Feliksa Sypniewskiego**

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

Uprowadzenie KRÓLA JEGOMOŚCI

Chcieli Stanisława Augusta zawieźć na Jasną Górę i tam zmusić do współpracy. Ale zgubili się w lesie między Bielanami i Marymontem.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Warszawa, 3 listopada 1771 roku, godz. 21.30. Stanisław August Poniatowski kończy wizytę u chorego wuja, Michała Czartoryskiego i wyjeżdża z pałacu przy Miodowej 15. Kareta skręca w prawo i rusza w stronę Zamku Królewskiego. Z przodu dwóch ludzi z pochodniami, po bokach „kilku oficerów służbowych, trzech dworzan” i „dwu hajduków i dwu lokajów pieszo” z tyłu. Po 150 metrach, przed skrzyżowaniem Miodowej z Senatorską drogę zastępuje im niewielki oddział. To „ront kozacki”, uznano, czyli patrol rosyjskiego wojska i ktoś z obstawy woła „Król jedzie!”.

W tym czasie z tyłu nadbiegają dwa inne oddziały. Stangret już rozumie, tnie batem, ale jakieś ręce przytrzymują konie. Dwaj laufrowie, lokaje i paziowie rozpierzchają się, dworzanie próbują strzelać, zamachowcy zwalają ich na bruk, ktoś sięga po szablę, większość ucieka. Za to hajducy biją się dzielnie. Zamieszanie wzmaga się, przewaga jest po stronie atakujących i to oni otwierają drzwi karety. A tam… pusto.

Wykorzystał zamieszanie, wymknął się z adiutantem i biegnie w przeciwnym kierunku. Dopada do bramy przy Miodowej 15, łomocze. To król jegomość, uświadamiają sobie zamachowcy. Pędzą ku niemu i w zamieszaniu ktoś uderza króla płazem szabli w głowę. Obok rozbrzmiewa strzał z pistoletu i Poniatowski pada ogłuszony. Więc „wsadzono króla na konia, wziętego paziowi, odebrano mu szpadę […], oświadczając [kiedy odzyskał świadomość], że mu się nic złego nie stanie, jeśli się będzie spokojnie zachowywał, lecz, że w razie oporu lub zamierzonej ucieczki swe życie na niebezpieczeństwo narazi”.

I oddział z porwanym ruszył „Miodową, Długą, obok arsenału i zbliżył się do okopów”.

POGUBIENI KIDNAPERZY

Opis tej historii wraz z cytatami zaczerpnęliśmy z książki „Sprawa zamachu na Stanisława Augusta z 3 listopada 1771 r. przed Sądem Sejmowym” autorstwa Władysława Ostrożyńskiego. Ten XIX-wieczny lwowski prawnik interesował się nie tylko dziejami sądownictwa, ale i miał dostęp do dokumentów źródłowych z rozpraw i chociażby dlatego jego publikacja jest cenna. Bardzo zbliżoną relację znajdziemy też u kronikarza epoki stanisławowskiej, Jędrzeja Kitowicza w jego „Pamiętnikach, czyli Historii polskiej”. Ku takiej wersji skłania się też współczesny badacz, prof. Piotr Ugniewski z Uniwersytetu Warszawskiego, co przedstawił w publikacji „Król porwany czyli »Boskiej opatrzności dowód oczywisty«” (2023).

I wszyscy ci trzej autorzy zgodnie potwierdzają, że grupa zbrojnych z uprowadzonym Stanisławem Augustem Poniatowskim ruszyła w kierunku rogatek marymonckich, które znajdowały się w okolicy dzisiejszych ulic Czarnieckiego, Hauke-Bosaka i Śmiałej. Dotarli do wspomnianych „okopów”, czyli wału Lubomirskiego, wzniesionego rok wcześniej, aby chronić miasto przed epidemiami i tam koń, na którego posadzono króla, złamał nogę. Monarcha, zapewne podczas upadku, zgubił trzewik, płaszcz oraz – dodaje jeszcze Kitowicz – kapelusz. Otrzymał żołnierskie buty, okrycie i przesadzono go na innego konia. Dalszą drogę pokonywano wierzchem lub pieszo i również monarcha schodził z siodła, bo „okolice, po których się poruszano – pisze Ugniewski – były […] rzadko zabudowane, a po większej części pokrywał ten obszar gęsty, trudny do przebycia las”; jak można przypuszczać podobny do dzisiejszej Puszczy Kampinoskiej.

Krążyli po obszarze obecnych Bielan oraz Marymontu i pogubili się z kretesem. Stała się rzecz niebywała i król został tylko z jednym z porywaczy, Janem Kuźmą. Ten pochodzący z Wołynia szlachcic, lub jak chcą inni włościanin, ślubował swoim towarzyszom, że nie zdradzi i zrealizuje akcję do końca. Ale Poniatowski był zręcznym mówcą i „przekonał Kuźmę, że jest dobrym władcą, a lojalność wobec monarchy jest ważniejsza niż przysięga złożona przez porywacza”.

Żołnierz ostatecznie zdecydował się uwolnić uprowadzonego i z takim postanowieniem dowiózł króla do wodnego młyna nad Rudawką. Potok ten w XX wieku po prostu przeniesiono, obecnie jest częściowo zabudowanym kanałem, zaś sam młyn, zmodernizowany w XIX stuleciu, zbombardowano podczas II wojny światowej. Więc dzisiaj miejsce, gdzie zatrzymali się król i jego porywacz, ma kształt eliptycznej wysepki na zjeździe z węzła ulicy Słowackiego i alei Armii Krajowej. Pod wiaduktem jest przystanek, a tam, gdzie stał młyn i płynęła Rudawka, mieszkańcy wyprowadzają psy.

„CO ZA GŁUPIA BESTYA”

Początkowo młynarz i młynarzowa nie rozpoznali króla, ale mimo żołnierskich butów i okrycia, gość wyglądał na wielkiego pana i przyjęli go pod swój dach. Kuźma, któremu Poniatowski obiecał „łaskę i protekcję”, z porywacza przedzierzgnął się w ochroniarza i polecił młynarzowi, aby udał się od razu do „koszar gwardii pieszej koronnej, owego młyna najbliższej” (za Kitowiczem) i sprowadził karetę. Zaś Stanisław August „pieszą drogą niewczesną [tj. w niewłaściwym czasie – przyp. aut.], jakiej w życiu swoim nie próbował, i niebezpieczeństwem życia strudzony, położył się na łóżku młynarskim”.

Od razu po otrzymaniu wiadomości – jak relacjonował Ostrożyński –”wyruszyła gwardya z powozem, przy świetle pochodni”. Między godziną czwartą a piątą rano pod młyn zajechało co najmniej stu jeźdźców. Król wsiadł do powozu, a Kuźma pod eskortą ruszył konno i o piątej byli na Zamku Królewskim.

eprasa.pl 0c26237a5c

Ostrożyński pisał, że wjeżdżali „wśród okrzyków ludu, zalegającego ulice Warszawy”, ale mogło to być tylko figurą retoryczną. Czy aby na pewno mieszkańcy stolicy wylegli z radosnym powitaniem? Za to ambiwalentne emocje targały dworzanami.

Szybko zostali powiadomieni o porwaniu, choć marszałek wielki koronny Stanisław Lubomirski, ten sam, który zlecił stworzenie okopów, przez całą noc wstrzymywał się z jakimikolwiek decyzjami. Jak ustalił Piotr Ugniewski, ograniczono się tylko do opieczętowania dokumentów monarchy i wystawienia dodatkowych straży. Tłumaczono to później obawą, aby nie sprowokować porywaczy do pochopnych reakcji. Jednak Kitowicz, który był obserwatorem powrotu króla, zapisał, że podczas mszy wyprawionej rankiem 4 listopada w kościele św. Jana, „nie wszyscy skłaniali serce do głosu dziękczynnego”.

Mało tego, przywołał też rozmowę dwóch „orderowych”, prowadzoną „przy filarze”. Jeden z nich miał powiedzieć o Kuźmie: „Co za głupia bestya! [...] Zrobił dwa występki niegodne odpuszczenia, raz, iż oczernił naród, drugie, że pokazał całemu światu, że Polacy ani do złego, ani do dobrego nie są sposobni!”.

PRZEBRANI Z FORNALI I FLISAKÓW

Od początku nie było wątpliwości, że za uprowadzeniem stoją konfederaci barscy; o ich politycznych planach i kontekstach przyjdzie nam jeszcze powiedzieć. Porywacze zamierzali przewieźć króla do jasnogórskiego klasztoru, licząc, że tam, pod świętym obrazem, zdecyduje się do nich przystąpić. Jednak dzięki Kuźmie, który znalazł się w rękach śledczych, tajny plan się wydał.

Menedżerem, jakbyśmy to dziś powiedzieli, był Stanisław Strawiński. Ten kresowy rotmistrz, konfederacki oficer i – dodajmy – prapradziadek kompozytora Igora Strawińskiego, już w 1770 roku przyjeżdżał do Warszawy i analizował topografię miasta oraz zwyczaje króla. Po czym na Jasnej Górze dwukrotnie spotkał się z Kazimierzem Pułaskim, jednym z liderów konfederacji. Przysięgli sobie, że monarchę dostarczą do klasztoru żywego albo martwego i opracowali ostateczny schemat działań. Aby grupa licząca 26 porywaczy mogła zrealizować zadanie, Pułaski zdecydował się na przeprowadzenie akcji wojskowej, której celem było odciągnięcie obecnych w Warszawie sił rosyjskich. Stacjonowały one nie tylko w stolicy, ale i w innych miastach Rzeczpospolitej od 1767 roku, kiedy to wprowadzono je z inicjatywy carskiego posła, Nikołaja Repnina.

Zadanie swoje Pułaski zrealizował, związał carskie siły, choć w efekcie jego wojska poniosły znaczącą porażkę pod Skaryszewem. Klęska to nie miała jednak bezpośredniego przełożenia na działania Strawińskiego. On i jego ludzie, wśród których oprócz Kuźmy był także rotmistrz ziemi zakroczymskiej Walery Łukawski, zebrali się 31 października w Małej Wsi na północnym skraju Kampinosu, przy Wiśle. Tam, w „domu chłopa Jędrzeja”, precyzuje Ostrożyński, dwójkami składali przysięgę tajemnicy. Następnie przebrani – jak pisze Ugniewski – „za fornali i flisów [najemnych robotników rolnych oraz zajmujących się rzecznym transportem], z bronią ukrytą na wozach pod warstwą siana [...] dotarli [do Warszawy] 2 listopada”. Zatrzymali się w stajniach klasztoru dominikanów na Nowym Mieście. Zakonnicy świadczyli usługi komercyjnie i – twierdzi Ugniewski – „nie musieli wiedzieć, co knują ich goście”. Ci zaś przeprowadzili jeszcze rozeznanie, a w nocy z 2 na 3 listopada Łukawski odwiedził żonę, Maryannę, która mieszkała przy Nowym Świecie. Wizyta ta miała później swoje konsekwencje.

TO BÓG MNIE URATOWAŁ

Kuźma nie zaprzeczył, że on i wszyscy porywacze przysięgali „przystawić Króla żywego lub martwego” Pułaskiemu. Stanisław August uznał więc, że padł ofiarą „królobójstwa” a nie porwania. To miało konsekwencje prawne i medialne. Zajście z 3 listopada 1771 roku rozpatrywano jako drugie królobójstwo w historii kraju; pierwsze wydarzyło się 8 lutego 1296 roku w Rogoźnie, gdy ofiarą stał się Przemysł II. Przyjęcie kategorii „królobójstwa” czyniło ze sprawy „crimen laesae majestatis”, tj. zbrodnię obrazy majestatu, a zgodnie z konstytucją z 1588 roku takie przestępstwa należało traktować jako zdradę państwa. Organem władnym był sąd sejmowy. Ponadto przyjęto rozwiązanie modelowe – proces jawny, ustny i kontradyktoryjny, czyli dający szansę wolnej wypowiedzi dla oskarżonych.

• **Portret Stanisława Augusta Poniatowskiego (1731–1798) autorstwa Marcello Bacciarellego, datowany na 1791 rok** FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

Dzięki Kuźmie szybko zebrano dowody. Większość uczestników porwania ukryła się lub wyjechała z kraju, jak Pułaski i po 22 miesiącach wyrok „wocznie”, czyli przed sądem, usłyszało siedmiu oskarżonych, w tym Łukawski, zaś 27 – zostało skazanych zaocznie. W pierwszej grupie była m.in. przywołana już Maryanna. Bronił ją wyznaczony na „patrona” Wiktoryn Wiszowaty, poseł ziemi łomżyńskiej. Z zadaniem sprawił się doskonale, bo kobieta została skazana tylko na 3 lata zakładu poprawczego, z uwzględnieniem aresztu, ponadto zakazano jej używania nazwiska męża. Wiszowaty dokonał tego, argumentując, że ze względu na „słabości płci niewieściej samo prawo powszechne wyłączone niewiasty od obowiązku znania prawa mieć chciało”. Parafrazując, kobieta, jako gorsza od mężczyzny, nie podlega prawu powszechnemu, bo go nie rozumie.

Ale dla Łukawskiego nie było litości i został publicznie „egzekwowany”, a „ręce obydwie po śmierci [były] ucięte i odłożone na bok, dla zawieszenia na palach przy gościńcach [...], kadłub zaś sam poćwiartowany i na stos, przez milicyę miejską otoczony, wraz z głową wrzucony i podpalony”.

W przypadku Kuźmy król występował jako nieformalny obrońca i apelował do posłów o łaskę. Nie mogli wydać takiego wyroku i zasądzili minimalną karę – asystowanie przy ćwiartowaniu zwłok współtowarzyszy, po czym miał na zawsze opuścić kraj.

Wszystko to w połączeniu z dziesiątkami artykułów, relacjonujących proces oraz wieloma ilustrowanymi publikacjami, opisującymi wydarzenie z odpowiednim komentarzem, również w innych językach, przyczyniło się do rozpropagowania obrazu króla miłościwego, oświeconego i co nie mniej ważne – cudownie ocalonego. „Bóg uratował mnie, żebym znów uczynił [mój kraj wielkim]” – mógłby powiedzieć Stanisław August Poniatowski, ale słowa te padną dopiero 253 lata później z ust Donalda Trumpa po zamachu w Pensylwanii.

MOŻE CHODZIŁO O KOBIETĘ?

Cui bono?, czyli „na czyją korzyść” działało porwanie króla? Funkcjonowała swego czasu teoria, zgodnie z którą to król zainscenizował swoje porwanie lub w wersji mniej radykalnej, wiedział o nim i wykorzystał jak surfer falę. Według XIX-wiecznego historyka Kazimierza Władysława Wóycickiego, syna lekarza, na rękach którego zmarł Stanisław August, wydarzenie to posłużyło monarsze do zdyskredytowania i pokonania konfederatów. Powtarzał to Jerzy Łojek, który dodawał jeszcze wątek romansowy. Król jakoby nocą 2 listopada 1771 roku odwiedził żonę swojego hajduka, Jerzego Henryka Butzaua. Ten przyłapał kochanka i nie wiedząc, z kim ma do czynienia, zdzielił go płazem. Dlatego następnego dnia Butzau musiał zginąć, a król znalazł wytłumaczenie dla zadanej wcześniej rany. Gdyby stało się tak w rzeczywistości, byłaby to intryga godna Borgiów. Piotr Ugniewski uznaje jednak te teorie za mało prawdopodobne.

Za to porwanie niewątpliwie miało służyć konfederatom. Nie miejsce tu na podsumowania, czym była konfederacja barska. Zauważmy tylko, że już w XIX wieku pojawiły się na ich temat skrajne opinie. Michał Bobrzyński z krakowskiej szkoły historycznej pisał, że „konfederacja taka, jakkolwiek będziemy oceniali jej pobudki, nie mogła doprowadzić do celu”. Z drugiej strony przedstawiciele szkoły warszawskiej, a zwłaszcza Władysław Smoleński, podkreślali z uznaniem właśnie cele konfederatów: „oswobodzenie Rzeczypospolitej od despotyzmu rosyjskiego, detronizacja Stanisława Augusta i przywrócenie stanowiska uprzywilejowanego katolicyzmowi”.

Jeśli więc udałoby się skłonić króla do przyłączenia do konfederatów, to w taki sposób przezwyciężono by „ruchawkę”, czyli wojskową niekompetencję i „anarchię”, jakie zarzucał Bobrzyński. Z drugiej strony, na co wskazywali przedstawiciele szkoły warszawskiej, konfederaci mieli ambitne plany polityczne. Jak podkreśla Ugniewski, liczyli, że wydarzenie 3 listopada 1771 roku, „opróżni tron i otworzy międzynarodową rozgrywkę o polską koronę, co mogło przynieść pomoc mocarstw przeciw ingerencji politycznej i interwencji wojskowej Rosji”. Stało się inaczej.

A MOŻE KRÓL SAM SIĘ UPROWADZIŁ?

A może głównym beneficjentem porwania był sam porwany?

Ugniewski w książce „Władcy Polski. Historia na nowo opowiedziana”, twierdzi, że do nielicznych sukcesów konfederatów, „w kraju, gdzie główne role odgrywały magnackie stronnictwa [należało] zaktywizowanie ogromnych rzesz szlachty [i] pod hasłami walki o złotą wolność i suwerenność powstał autentyczny ruch obywatelski staroszlacheckich konserwatystów”. Ale nawet dla konfederatów, szczerze nienawidzących Stanisława Augusta, królobójstwo było czymś zbyt radykalnym i ostudziło ich zapał do walki z monarchą.

Oprócz tego po 3 listopada król skonsolidował wokół siebie część konserwatywnych elit wcześniej nierzadko sprzyjających konfederatom. Przykładem list pasterski Andrzeja Młodziejowskiego odczytany 6 dni po porwaniu. Poznański biskup apelował w nim do duchowieństwa „aby nietylko żadnej a żadnej cząstki w nieszczęśliwych kraju rozruchach nie miało, umysłów obywatelów, zwłaszcza przeciw panującemu [...] nie rozjątrzało, ale także wiernych wyprowadzało z omylnego rozumienia, jakoby panujący był autorem nieszczęśliwości krajowych”. Organizatorzy porwania musieli szczególnie boleśnie odczuć takie słowa.

Nie mniej ważne były międzynarodowe reperkusje. Zachodnie monarchie zgodnie potępiły porwanie, a to miało swoje praktyczne konsekwencje i przedstawiciele konfederacji z dnia na dzień stali się persona non grata m.in. na wiedeńskich czy paryskich dworach. Taki los spotkał Pułaskiego, który po klęsce pod Skaryszewem i fiasku porwania, opuścił kraj, gdzie sąd skazał go zaocznie na karę śmierci. W Europie nie udawało mu się nigdzie na dłużej zatrzymać i wydalany z kolejnych krajów, zadłużony po uszy, wyjechał za ocean. Dopiero tam usłyszał od Benjamina Franklina, że jest „oficerem znanym w całej Europie z odwagi i walki o wolność swojego kraju z przeważającymi siłami Rosji, Austrii i Prus [i] może być bardzo użyteczny w służbie [Stanów Zjednoczonych]”.

Wracając zaś do samego porwania, sankcjonowało ono również podjęcie bardziej radykalnych kroków zwłaszcza na placu boju. W efekcie stało się początkiem militarnego i politycznego końca konfederacji. Choć tu trudno mówić o sukcesie króla albo kraju, bowiem uzyskane wówczas sąsiedzkie wsparcie od carycy Katarzyny II, okazało się pierwszym rozbiorem. Władysław Konopczyński w „Dziejach Polski nowożytnej” pisał: „Jako powód amputacji ziem polskich podawali rozbiorcy »całkowity rozkład państwa« i »duch fakcyjny [tj. frakcyjny] utrzymujący w Polsce anarchię«”.

Przy czym historyk twierdzi, że sama decyzja o rozbiorze zapadła już latem 1771 roku i Petersburg tylko czekał na wydarzenie, które by ją uzasadniało. Porwanie, wraz z całą otoczką, okazało się idealne. ●

1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c

LAUR ZA CYGANOLOGIĘ

Nagrodą Naukową im. Jerzego Giedroycia przyznawaną przez UMCS uhonorowana została w tym roku Emilia Kledzik z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu za książkę „Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego”.

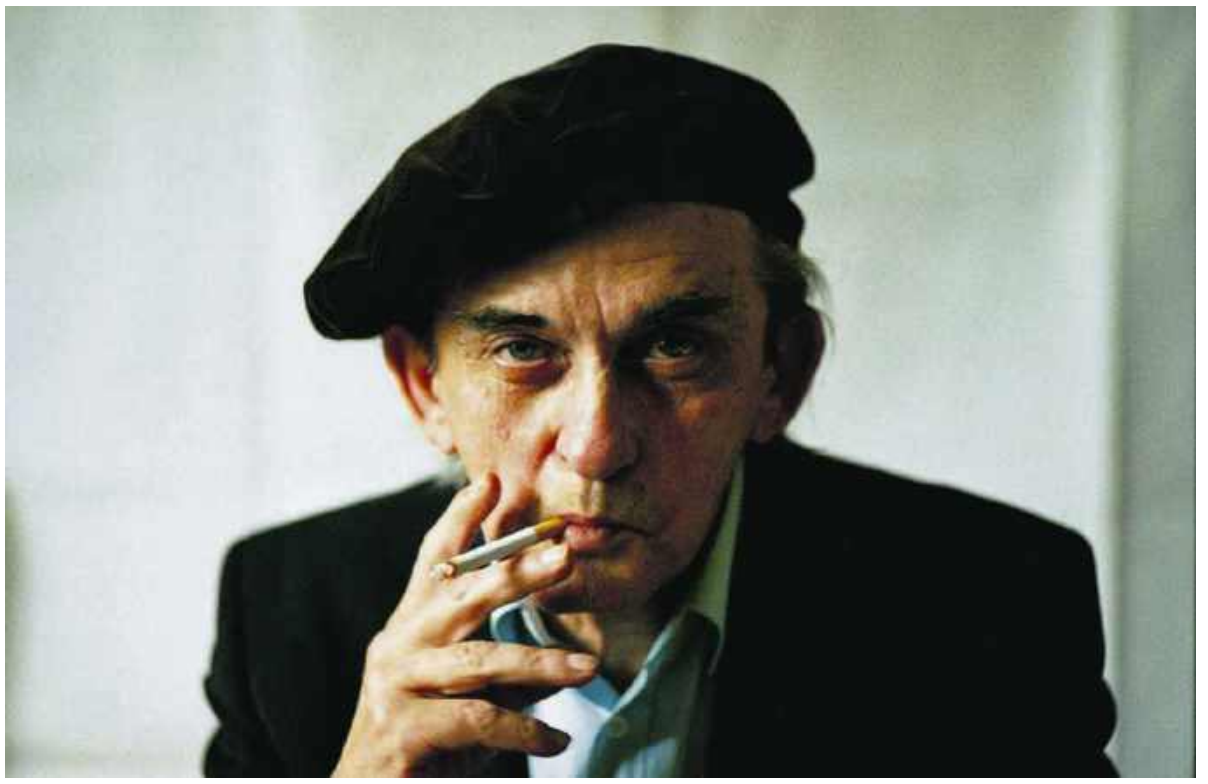

• **Jerzy Ficowski (1924–2006), poeta, pisarz, etnograf, zdjęcie z 1997 roku** FOT. PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Robert Traba

Słowo „dzieło” uległo popkulturowemu spłaszczeniu, bo dziś prawie każdy wytwór kultury, sztuki czy nauki może zasługiwać na to miano. Dlatego w przypadku książki Emilii Kledzik trzeba zaakcentować, że mamy do czynienia z dziełem wybitnym. Dotyczy to zarówno szerokiego horyzontu podstaw metodologicznych, jak również nowatorskości interpretacyjnej.

Opowieść Kledzik to nie tylko studium o Ficowskim i cyganologii, lecz również o ważnym aspekcie historii Polski i – poprzez transnarodowy charakter społeczności romskich – o uniwersalnym problemie relacji kulturowych.

Poziomowi merytorycznemu dorównuje forma edytorska, począwszy od artystycznej okładki, skończywszy na wyborze 55 ilustracji skorelowanych z krótkimi komentarzami, które stanowią cenne uzupełnienie tekstu głównego.

•••

Nie przez przypadek Emilia Kledzik zaczyna książkę mottem z klasycznego opracowania antropologa kultury Clifforda Geertza: „Co robi etnograf? – On pisze”. Widzę w nim podwójny sens.

Po pierwsze autorka definiuje w nim siebie, w wymiarze tematu badawczego, którego się podjęła, nie tylko jako literaturoznawczyni. Zachowując suwerenność własnej dyscypliny, rozszerza pole badawcze o inspiracje z antropologii oraz historii kulturowej. Etnograf pisze, ale jak? Preferowany przez Geertza opis gęsty jest drogowskazem również dla Emilii Kledzik. Autorka czyta więc tekst jako wytwór kulturowego, ukontekstowionego w czasie i biografii autora działania. Takie podejście bliskie jest wspomnianej historii kulturowej i literaturoznawczemu nowemu historyzmowi. Na te ramy nakłada studia translatorskie. Ich sens najlepiej opisał André Lefevere, twierdząc, że utwór literacki w przekładzie wywiera wpływ głównie dzięki nieporozumieniom i błędom, które nazywa „refrakcjami”.

Z tej mnogości inspiracji Emilia Kledzik wytwarza własną, oryginalną teorię małego zasięgu, która pozwala jej lepiej odczytać i zrozumieć dzieła oraz postawę Jerzego Ficowskiego.

Drugi sens motta Geertza odnosi się do samego Ficowskiego – „on pisze”. Ficowski był przede wszystkim poetą, ale pisał też jako etnograf samouk. Jak pisał? Jak uczył się świata cygańskiego? Jak się nim posługiwał w życiu publicznym? Jak stwarzał siebie poprzez relacje z „polskimi Cyganami”? I jak stwarzał ich, szczególnie poetkę Bronisławę Wajs – Papuszę?

Sama autorka tak określa cel pracy: „analiza cyganologii Jerzego Ficowskiego jako kompletnego systemu wiedzy na temat grupy ludzi nazywanych Cyganami, z uwzględnieniem obszarów naukowych i artystycznych”.

Tak klarownie zdefiniowany cel wysoko zawiesza poprzeczkę analityczną. Emilia Kledzik pokonuje ją znakomicie. Dlaczego? Po pierwsze dzięki wyborowi metody. Po drugie dzięki ogromowi źródeł, które poddaje krytyce. Po trzecie dzięki przejrzystemu językowi analizy i strukturze książki, która dzięki odpowiedniej problematyzacji prowadzi nas przez meandry twórczości cyganologicznej Ficowskiego.

Jest jeszcze jeden atut pracy Emilii Kledzik. Badaczka wie, że mierzy się z monumentalną postacią polskiej kultury. Postawa krytyczna nie zwalnia ją jednak z potrzeby podkreślania tej wielkości i unikalności. A jednak, gdy trafia na momenty wątpliwe, konfrontuje się z nimi. Nie po to jednak, by pozbawiać autorytet jego wielkości, lecz po to, by pogłębić wiedzę o cyganologii i jej polskim pionierze. Tylko z takim podejściem merytorycznym i etycznym nauka ma szansę otwierać nowe horyzonty.

•••

Na początku, na ponad siedemdziesięciu stronach, autorka wprowadza nas w atmosferę powojennej Polski, umiejscawiając w niej historię ludzi nazywanych Cyganami i na tym tle sytuując postać, badania i twórczość literacką Ficowskiego. Obserwujemy akcję osiedleńczą ludności cygańskiej, klasyczny przykład sowieckiej polityki wobec mniejszości i socjalistycznej modernizacji. Kledzik ukazuje też sytuację Polski w kontekście porównawczym i ta perspektywa nie jest już tak pesymistyczna, szczególnie na tle innych państw wschodnio- i zachodnioeuropejskich. W takich uwarunkowaniach politycznych bezpośrednio po holokauście na Sinti i Romach przyszło żyć i pisać protagoniście studium Emilii Kledzik. Gdy, zachęcony przez Juliana Tuwima, publikował pierwsze cyganologiczne teksty, nie miał specjalistycznego wykształcenia, ale wielki zapał. W czasach terroru stalinowskiego napisał swoje *opus magnum* „Cyganie polscy”. Wkrótce jego cyganologia

• **Dr hab. Emilia Kledzik, literaturoznawczyni** FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

stała się całościowym dziełem, obejmującym naukowe studia, ich popularyzację, poezję, głównie Bronisławy Wajs – Papuszy, i jej tłumaczenia oraz teksty piosenek, święcących triumfy w popkulturze PRL-u.

Zanim Emila Kledzik przejdzie do obszernej analizy dzieła Jerzego Ficowskiego, dwa rozdziały poświęca jego „literackiemu imaginarium” oraz etnograficznemu warsztatowi. To kolejny, ważny krok do lepszego poznania jego twórczości. Swój warsztat pisarz musiał bowiem budować sam, bo nie miał w Polsce wzorców. Już w 1949 roku został członkiem brytyjskiego towarzystwa cyganologicznego Gypsy Lore Society, a później – Romany Rye – „cygańskim panem”, czyli kimś, kto pokochał tę grupę i poznał jej język.

Badaczka analizuje głównonurtowe lektury Ficowskiego (Grellmman, Wlislocki, Block i inni) pod kątem odnajdowania ich śladów w twórczości autora „Cyganów polskich”. Czyni to z niezwykłą precyzją. Z jednej strony pionierska praca, jaką wykonywał Ficowski, musi budzić podziw, z drugiej Kledzik nie może pominąć jej oczywistych mankamentów. W końcu puentuje tak: „Historia Cyganów autorstwa Ficowskiego była kompilacją faktów zaczerpniętych z różnych opracowań cyganologicznych pisanych od połowy XVIII wieku po pierwszą połowę XX wieku. Informacje te, przez powtarzalność i brak danych o ich źródłach, nabierały charakteru wiedzy kanonicznej i niewymagającej weryfikacji, jednocześnie zamazywany był ich związek z tekstami historiograficznymi leżącymi u ich podstaw”.

Ta obserwacja nie dotyczy tylko Ficowskiego, odnosi się także do systemu krytyki naukowej w Polsce, czyli pozycji tzw. nietykalnych autorytetów i kultury debaty publicznej. O ile jednak do początku lat 70. w całej Europie dominował tradycyjny nurt badania problematyki cyganologicznej, o tyle, po pracach Thomasa Actona, w zachodniej części kontynentu nastąpił odwrót od egzotyzacji tej grupy w kierunku traktowania ich jako części historii politycznej, gospodarczej i społecznej Europy. Ten zwrot nie wpłynął już na zmiany w twórczości Ficowskiego. Tymczasem nowe badania nad etnosem, narodem i procesami nacjonalizacji, które dziś są już standardem nauki, wówczas wytyczały nowe podejście również do tożsamości zbiorowych oraz historii Sinti i Romów.

•••

Dalsze analizy Emilii Kledzik prowadzą nas do trzech wielkich tematów cyganologicznych Jerzego Ficowskiego: Zagłady, cygańskiej twórczości ludowej oraz twórczości i legendy biograficznej Bronisławy Wajs. Autorka nie umniejsza pionierskiej roli autora „Cyganów polskich”, ale jednocześnie – poddając skrupulatnej analizie filologicznej teksty Ficowskiego – dostrzega umiejętne syntetyzowanie i kompilowanie istniejących badań, bardziej niż pracę autorską.

Szczególny respekt budzą skrupulatne translatorskie analizy porównawcze twórczości ludowej i poezji Papuszy. Nie pozostawiają one wątpliwości, że autor daleko nadinterpretowywał te treści w duchu tego, co sam znał i wiedział o ludności zwanej „cygańską”: „Dzięki zastosowaniu przez Ficowskiego ramy konwencjonalnej cygańskości i utrzymaniu części egzotyzmu Papuszy jej twórczość nie wywoływała wrażenia radykalnej obcości. (...) Ficowski eksponował te fragmenty wierszy Papuszy, które tematyzowały zderzenie nomadycznego »kiedyś« z osiadłym »teraz«”.

Można zaryzykować twierdzenie, że dzięki zabiegom „oswajania Cyganów” i problematyki ich życia, ludzie ci mogli stać się bardziej akceptowalni w potocznym wyobrażeniu i poprzez tak uproszczony wizerunek – znaleźć przyjaźniejsze miejsce w percepcji społeczeństwa większościowego.

Emilia Kledzik dokonując głębokiej analizy tekstowej i formułując jasne tezy, które niekoniecznie zgadzają się z potocznymi wyobrażeniami o pionierze polskiej cyganologii, stawia przed nami fundamentalne pytania o granice poznania i interpretacji dzieł uznanych autorytetów. Jej perfekcyjna analiza osadzona nie w abstrakcji, lecz poparta głęboką kontekstualizacją życia i twórczości Jerzego Ficowskiego. Nie odbiera ona Ficowskiemu wybitnej roli pioniera i popularyzatora cyganologii, nie mówiąc już o jego niekwestionowanych osiągnięciach poetyckich. Jednocześnie otwiera nowe perspektywy badawcze. Tylko tak można rzetelnie uprawiać naukę. ●

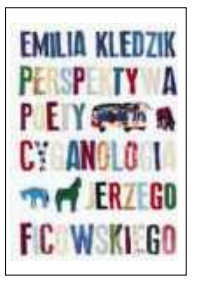

Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego

Emilia Kledzik
Poznańskie Studia Polonistyczne, UAM, 2023

eprasa.pl 0c26237a5c

weekendówka 177

OPERUJEMY

Z pewnością są wśród Czytelników osoby, które dziś, 25 października mają urodziny. Składam im rzecz jasna życzenia wszelkiej pomyślności i udanego świętowania.

Nie wiem, jaką celebrę wymyśliliście drodzy jubilaci, ale wiem za to, jak postanowiono uczcić jubileusz dwóch innych urodzonych tego właśnie dnia.

Otóż 25 października 1825 roku w Wiedniu na świat przyszedł Johann Strauss II, czyli syn Johanna Straussa – zwanego, dla odróżnienia od potomka, Johannem Straussem ojcem. Notabene jest i Johann Strauss wnuk, oraz trochę innych Straussów, Eduard i Josef, którzy razem tworzą dynastię Straussów, ale my dziś nie tylko o nich.

Bo oto 13 lat później, w Paryżu, urodził się Alexandre-César-Léopold Bizet, bardziej znany pod imieniem Georges.

Zbieżność dat okazała się wystarczająca i brać operowa, skupiona w międzynarodowych organizacjach OPERA America, Opera Europe i Opera Latinoamerica. które zrzeszają teatry operowe, ten dzień wybrała właśnie na ustanowienie – w 2019 r. - Światowego Dnia Opery. 25 października zresztą urodziło się jeszcze kilku innych kompozytorów, m.in. Polak Michał Świerzyński, co tylko umacnia powziętą decyzję, ale fakt faktem, że rozstrzygający okazali się Austriak z Francuzem.

Gwoli ścisłości to Strauss skomponował w życiu jedną tylko operę, „Ritter Pázmán" (Rycerz Pázmán), ale za to tworzył wspaniałe operetki, by wymienić choćby „Zemstę nietoperza", „Barona cygańskiego" czy „Noc w Wenecji" – że o walcach, jak „Nad pięknym modrym Dunajem", nie wspomnimy.

Bizetowi zawdzięczamy za to najsławniejszą bodaj operę na świecie, czyli „Carmen". Bo przecież Arię Torreadora czy Habanerę rozpozna nawet ktoś, kto od spektakli operowych raczej stroni. A na pewno znać będzie melodię, która wpadnie mu w ucho.

Trudno dziś uwierzyć, że kiedy Bizet napisał „Carmen", dzieło spotkało się z chłodnym przyjęciem, a krytycy nie zostawili na nim suchej nitki. Nie zwabiła też „Carmen" tłumów słuchaczy, a wielkie uznanie paryski kompozytor zdobył dopiero po śmierci. Cóż, z genialnymi twórcami tak nierzadko bywa.

„Carmen" należy też do oper najczęściej wystawianych na świecie, obok „La Traviaty" Giuseppe Verdiego czy „Wesela Figara" Wolfganga Amadeusza Mozarta. Nie ma wśród nich dzieł tego, kogo uważa się za twórcę pierwszej w dziejach muzyki opery, czyli Włocha Jacopo Periego. Za taką uchodzi jego „Dafne", skomponowaną około roku 1597. Wystawiać jej się nie da, bo dzieło w większości zaginęło w mrokach historii. Za to jego „Eurydyka" jest pierwszą zachowaną operą w historii, ale mimo to urodzin Periego, 20 sierpnia jako Dnia Opery się nie celebruje. Dlatego do „Weekendówki" operowej zapraszamy dziś.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

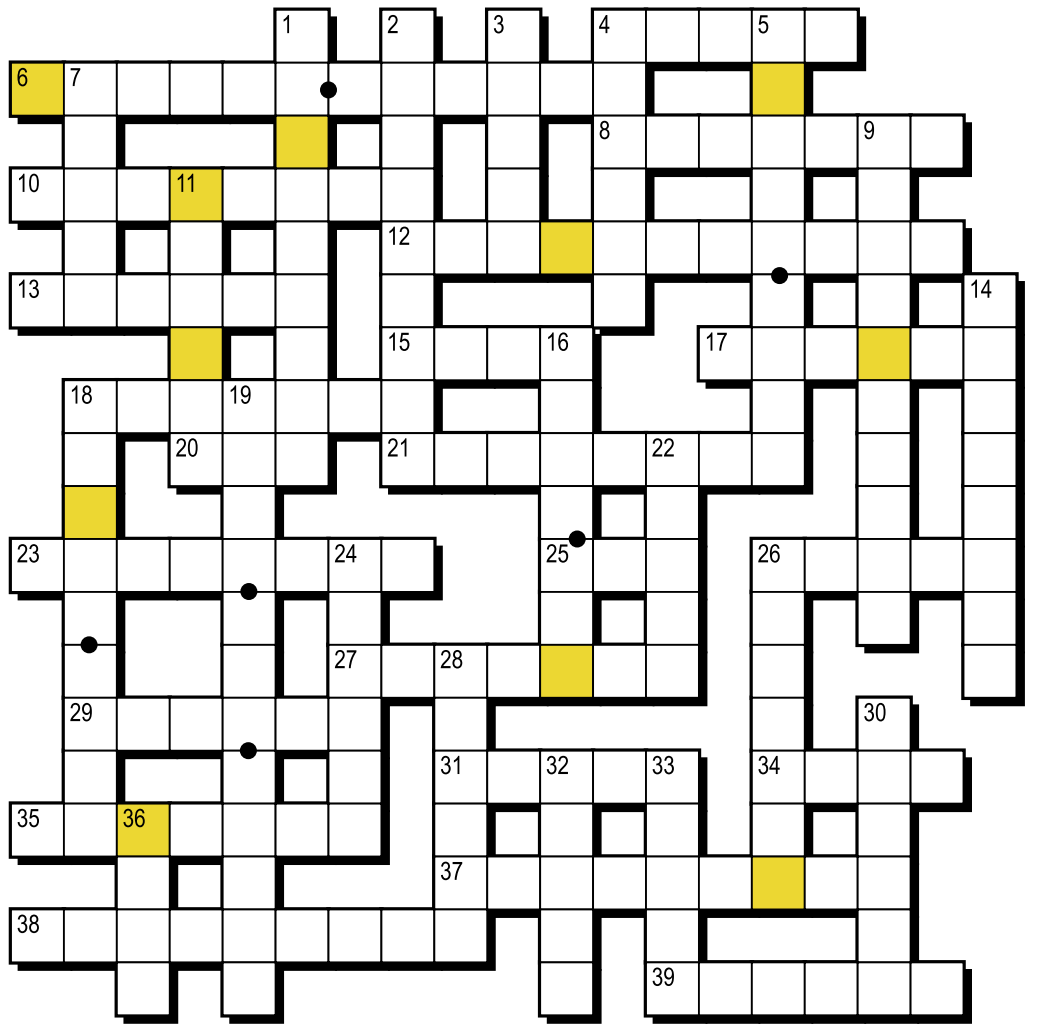

OPERUJEMY
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) ... generalna, poprzedza premierę spektaklu
6) opera Mozarta, w której występuje hrabina Rozyna
8) imię żeńskie w tytule opery Piotra Czajkowskiego
10) tekst słowny opery lub operetki
12) Rugiero, włoski kompozytor („Zaza")
13) Szekspirowski bohater w tytule oper Rossiniego i Verdiego
15) „Wilhelm ...", opera Gioacchina Rossiniego
17) nazwisko twórcy „Pierścienia Nibelunga", „Lohengrina"
18) występ orkiestry symfonicznej
20) „... Giovanni" Mozarta lub „... Carlos" Verdiego
21) „Wesoła wdówka" lub „Księżniczka czardasza"
23) rycerz Okrągłego Stołu w tytule dzieła Ryszarda Wagnera
25) imię najsłynniejszego tenora z Sosnowca
26) opera z arią „Szumią jodły na gór szczycie"
27) imię Różyckiego, kompozytora oper „Diabelski młyn", „Bolesław Śmiały"
29) Michaił, twórca dzieł „Życie za cara", „Rusłan i Ludmiła"
31) rzymski cesarz w tytule opery Pietra Mascagniego
34) imię księcia Chowańskiego, postaci z opery Modesta Musorgskiego „Chowańszczyzna"
35) „... i Eurydyka" Christopha Willibalda Glucka
37) „sportowy" tytuł opery Vivaldiego
38) „Poławiacze pereł" – operoman, „Jezioro łabędzie" – ?
39) Adolf, niemiecki kompozytor („Turandot")

Pionowo:
1) jego jedyna opera nosi tytuł „Fidelio"
2) opera Giuseppe Verdiego, jej tytułowy bohater jest błaznem
3) ... Argento, włoski reżyser filmowy („Ciemności", „Opera")
4) opera skomponowana przez 12 poziomo (jak arlekiny)
5) tytuł opery François-Adriena Boieldieu (skojarz z nawiedzonym zamkiem)
7) kraj kojarzący się z operą „Aida"
9) opera mydlana
11) bohater francuskiego eposu rycerskiego w tytule opery Niccola Piccinniego
14) kurtyzana w tytule dzieła Giuseppe Verdiego
16) opera Romualda Twardowskiego oparta na powieści Josepha Conrada
18) z „Tańcami połowieckimi", skomponowana przez Aleksandra Borodina
19) opera Mozarta (tak czynią wszystkie!)
22) Luciano Pavarotti lub Placido Domingo
24) rzęsiste brawa po zakończeniu spektaklu
26) opera Stanisława Moniuszki
28) film Andrzeja Wajdy lub opera Zbigniewa Bargielskiego
30) „... Butterfly"
32) „... Babilonu", melodrama Karola Kurpińskiego (gruzy)
33) „... miłosny", dzieło Gaetana Donizettiego
36) „Noc w operze" Sama Wooda

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 176 z 18.10:

Poziomo: 2) kapusta 6) ulica 9) brzoskwinia 10) limonka 13) kalafior 14) porzeczki 17) oliwki 19) rzodkiewka 21) bera 23) kosztela 24) rzepa 25) chrzan 26) rzewień 28) śliwa 29) nielot 31) koperek 32) dary 34) nowalijki 35) nasiona 37) dymki 38) sałata 39) dynia

Pionowo: 1) wiśnie 2) kabaczki 3) przecier 4) tykwa 5) sklepy 7) figa 8) picie 11) morela 12) granaty 13) karota 15) winorośl 16) oberżyna 17) orzeszek 18) kisiel 20) witamina 22) stoisko 23) kartofelki 25) czereśnia 27) marynata 30) cebula 31) kokos 33) pory 36) sad

HASŁO:
SAMO ZDROWIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34392298

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 0c26237a5c